

EWA MONASTERSKA

ŻYCIE Z BLONDYNKĄ

2002

TMN

Dedykuje mężowi i synowi

*...Bóg podobno dał nam wolną wolę
tylko ja nie wiem
czemu wolę
blondynki*

Miłosz Kamil Manasterski
Tajemnica egzystencji.

CZEŚĆ PIERWSZA

Jakub

Ewelinę poznałem na studiach. Zapisalem się na kurs hiszpańskiego organizowany przez uniwersytet. Bardzo chciałem, aby tym razem się udało. Jestem tępym mułem, jeśli chodzi o języki obce. Przez jakiś czas po uzyskaniu oceny dostatecznej na maturze żyłem w przekonaniu, że jako tako władam angielskim. Przekonanie to szybko przysło, już drugie zajęcia z lektoratu przyniosły wrażenie, że jestem bardzo tępym mułem. Po pierwszym kolokwium moje przecucia sprawdziły się w stu dwudziestu procentach

— Nie sądziłam, że w tak prostym tekście można zrobić tyle błędów — powiedziała nasza nauczycielka, patrząc, nie wiadomo, czemu, na mnie. — Pan Jakub poprawił nawet rekord uczelni w liczbie błędów. Moje gratulacje! — Podała mi kartkę prawie tak czerwoną od jej poprawek jak moja twarz w tym momencie.

Ponieważ zawstydzanie i kompromitowanie mnie weszło w nawyk mojej lektorce, zacząłem unikać jej zajęć. Zaowocowało to warunkiem. Myślę, że gdybym miał gorszą średnią, po prostu by mnie wylali. Na szczęście oprócz angielskiego szło mi nieźle, a w porównaniu z technikum nadzwyczaj dobrze. Poza tym obiecałem solennie, że od października pójdę na inny lektorat z pierwszym rokiem. Oczywiście na kurs dla początkujących.

Hiszpański okazał się całkiem przyjemnym językiem. Za to moi młodszy koledzy tworzyli wyjątkowo niewydarzoną grupę. Działali mi na nerwy, jak sądzę z wzajemnością. Zachowywali się jak dzieci. Wśród nich wyróżniały się trzy, może cztery dziewczyny i dwóch facetów zachowujących się, jakby byli parą. Postanowiłem wykorzystać swoją szansę — byłem przecież „starym” studentem, znałem wykładowców, nauczyłem się kombinować na uniwerku, żeby dostać stypendium i nie narobić się niepotrzebnie. Dwie dziewczyny odznaczały się urodą i sposobem bycia. Brunetka i blondynka. Obie wysokie, zgrabne, bystre.

Mój wybór padł na blondynkę. Dlatego, że ostatnio spotykałem się z brunetkami bez większych sukcesów. Również dla tego, że zawsze chodziła w mini i można było się delectować jej szczupłymi i piekielnie zgrabnymi nogami. Dlatego też, że po zajęciach nie przyjeżdżał po nią żaden facet szpanerską bryką. Wolnym krokiem szła na przystanek tramwajowy, czasem w towarzystwie koleżanek, najczęściej jednak sama. Na zajęciach siadała w pierwszych rzędach i z lekkim zawstydzaniem wyjmowała z futerału okulary, w których, jak się później przyznała, powinna chodzić cały czas. Źle się w nich czuła, choć wyglądała szczególnie. Nadawały jej

specyficznego uroku kobiety wykształconej i pewnej siebie — lekarki, prawniczki, nauczycielki akademickiej. Przeczyła krążącym wszędzie dowcipom o głupich blondynkach, które zresztą sama lubiła opowiadać. No i wyglądała ślicznie w tych delikatnych złotych oprawkach, a szkła minimalnie powiększały jej oczy.

Parę razy z rzędu celowo spóźniłem się na zajęcia. Zażenowany, przepraszając nauczycielkę i skoncentrowanych studentów, starałem się usiąść jak najbliżej blondynki, niby to próbując ograniczyć wywołane zamieszanie, zajmując pierwsze lepsze wolne miejsce. Za którymś razem udało się. Siedziała sama przy oknie i spoglądała z melancholią gdzieś w otchłań granatowo-purpurowego nocnego nieba wielkiego miasta. Nie zwróciła na mnie specjalnej uwagi — wypadłem zupełnie naturalnie. Ot, przypadek, wolne miejsce. Pierwsza część operacji przebiegła pomyślnie. Teraz potrzebny był kontakt...

Spóźniony ma przywilej pytania o to, co było, nierozumienia nowych słówek. Najuprzejmiej, jak potrafiłem, zapytałem o jeden czy drugi zwrot. Była miła, uwierzyła w mój szczerą entuzjizm. Po chwili razem rozwiązywaliśmy ćwiczenia. Kolejny etap przebrnąłem pomyślnie. Nieocenioną pomoc zaoferowała mi sama nauczycielka. Kiedy przepisywaliśmy zdania z tablicy, zapytałem moją koleżankę o jedno z nich:

— Co to znaczy?

Zajrzała do swoich notatek i przetłumaczyła:

— Czy napijesz się ze mną kawy?

Na to czekałem.

— Oczywiście. Może być jutro, po zajęciach?

Spojrzała na mnie zaskoczona i zaczęła się śmiać. Spojrzałem w jej oczy najgłębiej, jak mogłem.

— Jestem Ewelina — powiedziała po chwili.

— Kuba.

To było bardzo sprytne.

„Brylancik — pomyślałem — brylancik”. Jeśli podrywanie kobiet jest grą, to ta zagrywka była mistrzowska. Już miałem coś odpowiedzieć, choć nie byłem w stanie podtrzymać poprzedniego poziomu konwersacji. Z pomocą znowu przyszła mi nauczycielka.

— Pan Jakub skoncentruje się na czytance i przeczyta nam bardzo ładnie na głos.

Muszę przyznać, że mimo mojego nieuctwa, które nieuchronnie wychodziło ze mnie coraz bardziej w miarę zaawansowania kursu, czytanie po hiszpańsku szło mi dobrze i sprawiało mi sporą przyjemność. Chrząknąłem cicho, obniżyłem głos i tonem najbardziej uwodzicielskim rozprawiłem się z czytanką, której co prawda nie potrafiłem do końca zrozumieć.

— Pan Jakub nawet tekst o szaletach miejskich potrafi wyrecytować jak poemat miłosny powiedziała nauczycielka, kiedy skończyłem. — Nie myślał pan o szkole aktorskiej?

Na drugi dzień Ewelina przysłała w krótkim płaszczu i nie zawodnej spódniczce mini. Może gdyby nie chodziła w mini, na co dzień, byłbym skłonny łudzić się, że to dla mnie. Najważniejsze, że nie zawiodła, i wszyscy na ulicy będą się za nami oglądać.

— Gdzie pójdziemy? — zapytała. — Nie znam miasta — dodała po chwili.

„No i bardzo dobrze” — pomyślałem.

— Byłaś w Irish?

— Nie.

Specjalnie wybrałem odległy pub. Spacer z tak reprezentacyjną kobietą należał do niezwykłych przyjemności. Lepszy był by tylko spacer za rękę. O tej porze powinienem spotkać jakichś znajomych, może koleżanki z mojego roku. Na pewno wściekną się i jutro będą wypytywać. Mógłbym oczywiście wybrać inny lokal taki, w którym na pewno będzie ktoś z uniwersytetu. Moją próżność postanowiłem zaspokoić przechadzką, na miejscu lepiej było się nie rozpraszać. O tej porze w Irish powinien być spokój. Poza tym nie jest tam zbyt tanio.

Kiedy szliśmy uliczkami starego miasta, zauważyłem na rogu zgarbioną staruszkę z koszykiem jesiennych kwiatów. Jestem potwornym egoistą i kupuję kobietom wyłącznie te kwiaty, które ja lubię, niezbyt zważając na ich upodobania. Najchętniej fiołki, różne jesienne kwiatki, których nazw nie znam, a które kupuję od starszych ludzi czekających na ulicach na zakochanych. W chwilach bardziej szczególnych róż. Kiedyś byłem w nieszczęśliwym związku z dziewczyną, która nienawidziła róż, a ja znosiłem je jej mimo ciągłych upomnień. Niestety z każdym rokiem życia staję się coraz bardziej uparty. Trudno mnie przekonać, że gerbery są wyjątkowo romantyczne, a najładniejsze są żółte chryzantemy, takie, jakie zawsze moja rodzina kupuje na 1 listopada. Któregoś dnia nienawidząca róż dziewczyna wrzuciła bukiet przepięknych niebieskich róż do kubła na śmieci. Zrobiła to zaraz po tym, jak nie wyraziłem chęci psucia sobie randki spotkaniem z jej przyjaciółką, która właśnie przeżywa rozstanie ze swoim chłopakiem (drugie w tym tygodniu).

— Wiesz, co zrobię z twoimi cholernymi różami? Zaraz zobaczysz.

I pokazała mi, jak róże znikają wśród odpadków.

— Obiecuję przynieść mnóstwo żółtych chryzantem — wycodziłem przez zęby. — Na twój pogrzeb! — Obróciłem się na pięcie. I tyle mnie widziała.

Więcej nie dzwoniła. Pewnie czekała, aż ją przeproszę. Ja — ją? To ona powinna mnie błagać o wybaczenie. Kretynka, wyrzuciła bukiet niebieskich róż. Takie same ojciec dał mojej matce, kiedy prosił ją o rękę.

— To dla mnie? — ucieszyła się Ewelina, kiedy podałem jej wiązankę czegoś, co wyglądało ślicznie i nie było z pewnością ani chryzantemą, ani gerberą. — Dziękuję — powiedziała i pocałowała mnie w policzek.

W myślach obiecałem jej niebieskie róże. Cały bukiet.

Ewelina

Jakuba poznałam na uczelni. On był na drugim roku, ja dopiero zaczynałam studia. Przychodził do mojej grupy na hiszpański. Zwracał na siebie uwagę, bo był ciągle nadąsany i traktował wszystkich z góry. „Koty” — prychnął z pogardą, kiedy wszyscy z uporem czekali na spóźnionego wykładowcę, mimo iż było już po kwadransie. „Zachował się jak bufon” — tak powiedziała później moja koleżanka, Teresa. Chyba miała rację.

Jakub cały czas próbował zaznaczyć, że jest ze starszego roku. Chrząkał, kiedy lektorka wygłaszała jakieś uwagi rozpoczynające się od „Wiem, że dopiero skończyliście liceum, ale...”. Nie dawał spokoju, aż nie dodała na końcu „Pan Jakub zresztą wie, jak to jest”. Demonstracyjnie spóźniał się na zajęcia i wygłupiał przy czytaniu na głos. Trzeba przyznać, że robił to nie bez wdzięku — czytanie przychodziło mu z łatwością (prawie się nie mylił,) miał miły głos, niezbyt niski, ale przyjemny. Mimo to nie sadziłam, że go kiedykolwiek polubię.

A jednak w jakiś sposób było mi miło, bo widziałam doskonale, że z całej grupy tylko mnie jedną tak naprawdę dostrzega. Kiedy ktoś źle traktuje wszystkich prócz ciebie jednej, musisz zacząć o nim lepiej myśleć. Kuba był dla mnie zawsze uprzejmy, przepuszczał mnie w drzwiach, w kolejce do szatni, pomógł mi pozbierać kosmetyki, kiedy urwał mi się pasek od torebki (coś okropnego, tyle za nią zapłaciłam!). I patrzył na mnie jak głodny wilk, kiedy myślał, że tego nie widzę. Nawet Dorota to zauważyła: „Wiesz, on nas wszystkich ma w głębokim poważaniu. Wszystkich prócz ciebie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego”. — Głupia krowa z tej Doroty zachowywała się, jakby była zazdrosna.

Kiedy tak powiedziała (i okropnie mnie rozzłościła), spojrzałam na Jakuba inaczej. Na tle chłopców z mojego roku korzystnie się wyróżniał. Był pewny siebie, inteligentny, niebrzydki. W końcu przyszło mi do głowy, że cała ta bufonada była tylko po to, żeby zwrócić moją uwagę. Najpierw odrzuciłam tę myśl jako przejaw próżności. Wiem, że podobam się chłopakom, ale nie każde dziwne zachowanie faceta tłumaczy się tym, że chciałby mnie poderwać. Jakub uważa, że pierwszy rok to ciotki, i nie stara się tego przed nami ukrywać.

Tak sobie myślałam o Kubie i jego zachowaniu. Po chwili babka od hiszpańskiego wyrwała Jakuba do czytania jakiejś głupoty. Robiła to dość często — chyba też sądziła, że jego żarty to niezła rozrywka. Kiedy Jakub deklamował czytanekę o hiszpańskiej szkole, jakby relacjonował jakiś mecz sportowy, zauważyłam, że ukradkiem obserwuje moją reakcję. Może jednak rzeczy-

wiecie nie jest takim bufonem. Może naprawdę chce zwrócić na siebie moją uwagę. Jak na razie z pewnością zwrócił uwagę nauczycielki, która obiecała mu najtrudniejsze zadanie na kolokwium.

W końcu Jakub dosiadł się do mnie na zajęciach. Co prawda, trochę mu w tym pomogłam. Znając już jego obyczaj spóźniania się i siadania w pierwszej wolnej ławce, zajęłam miejsce na samym przedzie i dopilnowałam, żeby koło mnie było wolne. Chciałam sprawdzić, czy Jakub wykorzysta okazję. Miałam wrażenie, że pierwsze, co robi po wejściu do sali, to stara się mnie zlokalizować.

— Dzień dobry. Tramwaj mi uciekł.

Jakub wchodząc, zrobił nieszczęśliwą minę na użytek nauczycielki.

— Pan to ma problemy z tymi tramwajami — odpowiedziała lektorka.

— Autobusy to w ogóle mnie nie zabierają, proszę pani. — Bez namysłu ulokował się przy mnie.

Po chwili zaczął się dopytywać, co robiliśmy, co to za nowe słówka, dlaczego to tak się pisze. Ta jego niezwykła gorliwość była bardzo podejrzana — nie zauważyłam, żeby wcześniej specjalnie się skupiał na przebiegu zajęć. Lektorka akurat była w wyśmienitym nastroju i opowiadała o hiszpańskich toaletach publicznych.

— Co to znaczy? — zapytał Jakub, po raz trzydziesty wskazując na zdanie „Przepraszam, gdzie jest damska toaleta?”.

Udałam, że szukam czegoś w notatkach, i postanowiłam sobie z niego zażartować:

— Czy napijesz się ze mną kawy?

— Oczywiście. Może być jutro, po zajęciach?

No, nie! Nie mógł nie zauważyć, że nie ma w tym zdaniu nic o kawie! Jest naprawdę bystry. Facetom trzeba zawsze pomagać, ale mało który potrafi z tej pomocy skorzystać. Przecież miałam wolny wieczór. Czemu nie spróbować?

Następnego dnia Jakub czekał na mnie przed uczelnią. Poczułam się fantastycznie — cała grupa widziała nas razem. Żaden z moich facetów nigdy nie pokazał się przed moją szkołą. Zazdrościłam innym dziewczynom, które chociaż brzydsze, zawsze mogły liczyć, że ktoś je przyprowadzi albo odprowadzi. Ja na ogół chodziłam sama. Zimą, kiedy było ślisko, latem, kiedy było gorąco, wiosną, kiedy było za romantycznie, żeby chodzić samemu. Chodziłam, więc sama — do dziś. Teraz czekał na mnie facet, może nie najpiękniejszy, jakiego miałam, ale za to tak cudownie olewający długie nogi Doroty, wielkie oczy Moniki i duży biust Kaśki. Teraz przeszły koło niego i nawet nie spojrzął na żadną z nich choćby przez ułamek sekundy, mimo że Dorota wyglądała dzisiaj fantastycznie. Postanowiłam, że będę dla niego wyjątkowo miła tego wieczoru.

— Gdzie pójdziemy? — zapytałam. — Nie znam miasta — dodałam za chwilę tonem w rodzaju „Zrób ze mną, co chcesz”.

— Byłaś w Irish?

— Nie — skłamałam.

— Spodoba ci się.

Nie spodoba mi się, ale trzeba będzie iść przez całe stare miasto, które wygląda prześlicznie o tej porze. Poza tym w Irish pracuje Dominika.

Jakub naprawdę jest rewelacyjny. W Irish są wyjątkowo ładne kelnerki każdy z moich facetów mimowolnie gapiłby się im w dekolty i miał w oczach sprośne propozycje przy składaniu zamówienia. A Jakub nic! Kiedy składał zamówienie, patrzył tylko na mnie, no i w kartę, ale to chyba konieczne. W pewnym momencie kelnerka wypięła przed nim swój tyłek (Boże, muszę się odchudzać!), ścierając rozlaną herbatę z sąsiedniego stolika. Nawet nie drgnął! Nadaje się idealnie na przyjęcia pełne silikonu. Nie przyniesie wstydu, tak jak ten chłopak Dominiki, którą zaprosiła na pokaz bielizny damskiej (Dominika ma wujka projektanta mody). Cały wieczór gapił się na rozneglizowane modelki. Kiedy Dominika zapytała w końcu, czy ona już go nie interesuje, ten idiota — jej za-chwilę-już-tylko-były-chłopak powiedział:

— No wiesz, ciebie już widziałem w bieliźnie...

W sumie Dominika była sama sobie winna. Należało zrobić inny prezent na urodziny temu durniowi. Oczywiście on był skończonym idiotą, skoro nie potrafił jej powiedzieć czegoś miłego w stylu „Żadna z nich nie jest tak zgrabna jak ty”. Nie usprawiedliwia to wcale głupoty Dominiki. Nie mam pojęcia, czego się spodziewała, zabierając go na pokaz. Nie rozumiem też kobiet, które łążą z facetami po nocnych lokalach i patrzą, jak ci napalają się na striptizerki. Może liczą na korzyści z ich erekcji?

Dominika powinna o tym wszystkim doskonale wiedzieć, bo przecież sama jest kelnerką. Nic tak nie przyciąga facetów do lokalu jak ładne kelnerki. Muzyka muzyką, ceny cenami, dziewczyny mogą być, ale nie muszą, a kelnerki są zawsze. Więc facet idzie tam, gdzie są ładne. Słono płaci, uśmiecha się i daje napiwki. Tacy właśnie są faceci. A potem mówią, że byli z kumplami i oglądali w pubie mecz. Już ja dobrze wiem, co oni tam oglądali!

Jakub

W Irish są rewelacyjne kelnerki. Trzeba się cały czas pilnować, jeśli jest się na randce z dziewczyną. Pamiętam, jak raz wybrałem się z Iwoną na drinka i wypilem o jednego za dużo. Ona zaczęła mi opowiadać, jak zdawała maturę, pisząc pracę z polskiego białym wierszem. A ja z nudów i nadmiaru alkoholu na zupełnie pustym żołądku (czasem nie trzeba dużo wypić, wystarczy nic nie jeść) przestałem jej słuchać i wlepiłem oczy w dekolt szefowej zmiany.

— Czy ty mnie słuchasz? — zapytała zirytowana Iwona.

— Tak, trójeczka — powiedziałem chyba do siebie.

— Jaka trójeczka!? Piątka nie trójeczka, piątka.

Spojrzałem na jej biust.

— No nie, nie przesadzajmy. Góra trójeczka.

— Kwestionujesz moją ocenę?

— Tylko w przypadku twojego biustu.

Kompletna kompromitacja. Iwona więcej nigdzie ze mną nie poszła, a przecież jest najładniejsza na naszym roku. Ma piękne, długie, kręcone, brązowe włosy (przypuszczam, że farbowane, ale kto to może wiedzieć na pewno?). Przestała nawet mówić mi „cześć” na korytarzu. W sumie dziwię się, że nie dostałem wtedy od niej w twarz. Poprzestała na oblaniu mnie malibu, co strasznie rozśmieszyło kelnerkę. Właśnie tę, na którą się tak gapiłem.

Siedzimy w Irish, a ja zupełnie trzeźwy i opanowany przenoszę oczy znad karty bezpośrednio na Ewelinę, mimo że stoi przy mnie najładniejsza dziewczyna na zmianie. Ta panna jest prawdziwym bóstwem, ja jednak dotąd nie wymyśliłem żadnego sposobu na jej poderwanie. Wydaje się to bardzo łatwe, wystarczy coś powiedzieć, kiedy podejdzie.

— Ma pani śliczną fryzurę — powiedziałem do niej kiedyś, gdy zobaczyłem chaotyczną plątaninę jej ciemnych włosów i czerwonych wstążek.

— Dziękuję. Życzy sobie pan coś jeszcze?

Właśnie, dlatego, że kelnerki są tak wystawione na strzał, strasznie trudno jest je ustrzelić. To profesjonalistki, które zawsze wiedzą, jak splawić faceta. Poza tym podrywanie kelnerek jest do pewnego stopnia niebezpiecznym zajęciem.

— Pani ma bardzo ładne czerwone usta — powiedział raz mój kolega, przyszedł reżyser filmowy, kiedy jedno z bóstw przyniosło mu piwo. — Ale zdaje mi się, że są troszeczkę pomalowane.

— Słucham? — Bóstwo spojrzało na niego z lekkim niepokojem, ale i z pewnym zainteresowaniem.

— Co za dziw? Wiadomo, że kobieta to istota pusta — ciągnął ze spokojem Tomek.

— Puchu marny, jak mówi poeta... to przecież znane

Ale, proszę pani, czy to przeszkadza w prawdziwej miłości?

Pani pozwoli, że ją do domu odprowadzę...

Co, nie zawiera pani w pracy znajomości?

Nie rozumiem... Ja przecież pani nie zawadzę...

Skąd panią znam? To dobre!

Widziałem jak z kinematografu

Wychodziła pani zeszłym razem w towarzystwie gości...

Szukałem pani! Jak babcię kocham! A tu trzeba trafu,

Że znowu panią widzę... Co za zbieg okoliczności!

Pani wybaczy, że ja tak mówiłem na pani usta...

Ale moja pani, w dzisiejszych czasach...

Bo tak to mi się pani podoba...

Nie lubię, gdy niewiasta jest niesubtelna.

Są guściki i gusta, A pani to w sam raz...

— Dominika, czy ten facio ci się narzuca? — zapytał łysy osiłek w dresie zatrudniony w pubie w charakterze ochroniarza dealera.

— Nie, nie, w porządku — uspokoiła jego napięte mięśnie Dominika, która zresztą stała cały czas, cierpliwie słuchając, jak Tomek deklamował. — To śliczne...

— To Tuwim. — Mój przyjaciel, przyszły znakomity reżyser, a obecnie wybitny recytator, skromnie spuścił niebieskie oczęta.

— To było w jakimś filmie, prawda? — powiedziała dziewczyna. Po chwili dodała: — Już wiem! *Młodzi gniewni*, prawda?

— Ee, no tak... — zgodził się ostatecznie Tomek.

Z Dominiką każdy by się zgodził na wszystko.

— Dominikaaaa! — wrzasnął ochroniarz-dealer na całą salę. — Szefowa chce cię widzieć!

Spłoszona dziewczyna uciekła, a Tomek poczuł na sobie skupiony wzrok dresiarza. Jak przypuszczał, tamten starał się zapamiętać jego twarz. Potem pokazywał go jeszcze swoim dwóm kolegom w takich samych dresach i z identycznymi fryzurami.

Tak, więc zadawanie się z kelnerkami jest bardzo niebezpieczne. Nawet, jeśli wykujesz cały wiersz, wszystko może pójść na marne. Nauczony doświadczeniem Tomka, zamiast podziwiać wypięty tyłek dziewczyny sprzątajacej sąsiedni stół, namiętnie patrzyłem w oczy Eweliny i tłumaczyłem jej, jak walczyć z systemem.

— Możesz zmieniać grupy. To daje ci szansę ominięcia największych kanalii, jakie przydzielili ci na zajęcia. Ale nie wolno ci tego robić bez zgody dziekana. Powinnaś napisać podanie, a wtedy przepiszą cię do innej grupy. Do podania musisz dołączyć obiegówkę od wszystkich dotychczasowych wykładowców i prowadzących ćwiczenia. Muszą wyrazić swoją zgodę na odejście. I już jesteś w innej grupie. Oczywiście, jeśli dziekan się zgodzi.

Ewelina wyglądała na zafrasowaną. Gdybym miał takich wykładowców na pierwszym roku, też byłbym zafrasowany.

— Ale ja nie chcę zmienić grupy. Tylko niektóre zajęcia są za późno. Jak zmienię grupę, te zajęcia będą wcześniej, za to inne później. A może nawet dojdą mi okienka. Zauważyłam, że inne grupy mają sporo okienek...

— Oczywiście, że zmiana grupy nie jest żadnym rozwiązaniem. Musisz ułożyć sobie plan indywidualnie według własnego czasu albo najlepszych wykładowców.

— A ty jak to robisz?

— Wybieram najmniej wymagających i chodzę do nich na zajęcia. Ze swoją grupą mam tylko jedno ćwiczenie w tygodniu.

— Czy żaden z wykładowców nie zorientował się, że nie jesteś z jego grupy? Przecież mają listę?

— Mówię im wtedy, że w dziekanacie jest bałagan i lista jest źle wydrukowana.

— I co wtedy?

— Odpowiadają, że to się czasem zdarza, i dopisują mnie do swojej listy.

Boże, jaka ona wydaje się naiwna. Dobra uczennica. Na pewno nie chodziła na wagary i miała same dobre oceny. Może nawet była najlepsza w szkole. Muszę nauczyć ją odrobiny cwaniactwa, w przeciwnym razie gotowa przez najbliższe pięć lat siedzieć nad książkami w bibliotece. A przecież nie jest to całkowicie zgodne z moimi planami.

— Chyba muszę się od ciebie sporo nauczyć — powiedziała z rozkosznym uśmiechem.

Zadrzałem, bo mimo całej jej słodkiej naiwności wyczuwałem w niej coś groźnego. W tym zmysłowym sposobie jedzenia wuzetki, w tej zabawie ze szklanką czaiła się samoświadomość potęgi kobiecości. Bóg jeden wie, kto kogo i czego będzie uczył...

— Dlaczego wybrałeś ten kierunek? Sprawiasz wrażenie, że nie jesteś entuzjastą nauki? — zapytała.

— Kończyłem technikum. Cała szkoła sami faceci. Postanowiłem iść na jakiś sfeminizowany kierunek.

— To dobrze wybrałeś. Ale zupełnie ci nie wierzę.

— Dlaczego? — Mój przyjaciel, Tomek, postanowił iść na reżyserię filmową. Wiesz, jak tam jest, setka kandydatów i trzy miejsca. Straszny przesiew. Chłopak gimnastykował się przed komisją, jak mógł. On naprawdę nieźle zna historię kina i jak zacznie opowiadać o filmach, to nikt go nie przegada. W dodatku chodzi na najnudniejsze filmy i potem opowiada, jakie to było zachwycające przeżycie. Pytam się go, o czym był ten film, a on mi mówi „Facet przez cały film

jedzie kosiarką do trawy”. Tylko on chodzi na takie rzeczy do kina i nie zasypia w trakcie seansu. Ale tam, na filmówce, zbierają się podobni wariaci z całej Polski i Tomek nie jest już takim niezwykłym okazem. Więc zdaje ten egzamin przed komisją, opowiada co i jak, aż w końcu ktoś go zapytał po prostu „A dlaczego chce pan zostać reżyserem?”. Tomek zawahał się chwilę, czy ma skłamać czy wyznać prawdę... i powiedział „Bo dziewczyny lecą na reżyserów”. Na sali konsternacja, Tomek myśli, że już po nim, a goście z komisji nic. Popatrzyli na niego, pokiwali głowami i ten najważniejszy w końcu mówi „Jest pan przyjęty”.

- Czy on, ten twój kolega, jest przystojny?
- W ogóle. Nigdy nie miał dziewczyny.
- Więc zlitowali się nad nim?
- To możliwe.
- Ale ty chyba nie potrzebujesz litości...
- Dlatego nie zostałem przyjęty na reżyserię.

Ewelina

Jakub odprowadził mnie na tramwaj. Wiedziałam, że trudno było mu pozostać na przystanku — chętnie odprowadziłby mnie dalej. Najchętniej wprost do sypialni. Pocałowałam go w policzek na pożegnanie i szybko wskoczyłam do dziewiętnastki. Później będę musiała się przebrać, ale przynajmniej mam już z głowy pożegnanie z Kubą. Faceci pod koniec pierwszej randki zawsze rzucają jakieś głupie uwagi. Chyba boją się o to, jak wypadli, i próbują w ostatnich sekundach nadrobić straty. Wysłuchiwanie tych tekstów jest naprawdę nieznośne.

— Chcę ci powiedzieć, że wspaniale się z tobą bawiłem i uważam cię za najwspanialszą kobietę na świecie... Mam nadzieję, że lubisz mnie choć trochę i... No wiesz, co mam na myśli...

— Wiesz, powinniśmy się jeszcze spotkać i dokończyć tę rozmowę o Chagallu. Chciałbym poznać twoje zdanie na temat jego malarstwa...

— Mogę do ciebie zadzwonić? Spotkasz się ze mną jeszcze? Obiecuję, że następnym razem nie pójdziemy na film karate...

— Przepraszam cię za tę bluzkę. Mam nadzieję, że Krwawa Mary da się sprać. Zadzwonię do mamy i zapytam, jakiego proszku użyć.

— A może jednak pójdziesz do mnie? Mam nowy album Danuty Rinn, moglibyśmy razem posłuchać...

Nawet ci najbardziej inteligentni w przestrachu plotą trzy po trzy. Dlatego wolałam uciec Kubie, niż pozwolić mu się skompromitować i zepsuć miły wieczór.

Kwiatki, które mi kupił, przyjemnie pachną.

Ciekawe, jaką Patrycja zrobi minę, kiedy przyjdę do domu z bukietem. Będę musiała wymyślić jakąś historię... A może powiem jej prawdę. Nie, lepiej nie. Patrycja jest straszną plotkarką, zaraz wszyscy będą o tym wiedzieć, może się nawet wygadać przed Gregiem.

— Szłam ulicą i jakiś facet dał mi ten bukiet tak jej powiem.

— I co, chciał się z tobą umówić? — zapyta Pat.

— Nie. Dał mi te kwiaty i powiedział, że przepięknie wyglądam.

— Ojej, to takie romantyczne — jęknie Patrycja i doda: — Mnie się to nigdy nie zdarzyło...

Oczywiście będzie mi strasznie zazdrościć. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłam — mogłam sama sobie kupić kwiaty.

Dlaczego ta dziewczyna stojąca naprzeciwko tak mi się przygląda? Coś musi być nie tak. Próbuje przejrzeć się w szybie. Włosy w porządku, makijaż w porządku, płaszcz, o Boże, znowu poszło mi oczko. Nowe rajstopy. Czemu Jakub nic mi nie powiedział? Jaki on miły, nie chciał mnie denerwować... Muszę jakoś wrócić do domu. Szkoda, że nie włożyłam dzisiaj dłuższego płaszcza. Chociaż nie, wcale nie żałuję.

Czyżby Pat gdzieś wyszła? Miała być już o tej porze. Chyba nie umówiła się z jakimś facetem... Na pewno zostawiła kartkę. O właśnie, to jej pismo.

Ewelino!

Bardzo cię przepraszam, że to tak nagle, ale musiałam się wyprowadzić. Wyjeżdżam do Gdańska. Pieniądze za trzy miesiące czynszu oddam później. Mam nadzieję, że szybko znajdziesz nową współlokatorkę.

Twoja Pat

Z wrażenia usiadłam na szafce z butami, nie zważając na ostre brzegi. Moje rajstopy i tak były do wyrzucenia. Nie, tego się nie spodziewałam. Nie zostawiła nawet telefonu...

Nagle, jak rażona gromem zerwałam się i rzuciłam biegiem do swojego pokoju. Otworzyłam szafkę z bielizną i... No nie, ona mnie okradła... Jak mogła... Cholera jasna!

Po przejrzaniu wszystkich szafek okazało się, że brakuje mojej suszarki Browna (na gwarancji), depilatora Philipsa, w połowie pełnego flakonika perfum Kenzo, całego flakonika Joopa, kosmetyczki z całą zawartością, tostera (kupiłyśmy go na spółkę) i ośmiuset złotych w gotówce (nie licząc tego, co była mi winna wcześniej). Dobrze, że nie nosimy tych samych rozmiarów, bo nie miałabym się, w co ubrać. Na szczęście Patrycja ma za tłusty tyłek, żeby włożyć którąkolwiek z moich rzeczy. Wredna suka!

Przeliczyłam zawartość portfela. Na szczęście rano zabrałam ze sobą trzysta złotych. Zostało mi dwieście pięćdziesiąt z groszami. Akurat uparłam się, żeby płacić za siebie w pubie. Ojej, kwiaty... Muszę je włożyć do wody. Mam nadzieję, że nie zabrała wazonów.

Zadzwonił telefon. Może to Patrycja?

— Cześć! — To była Dominika.

— Cześć!

— Widziałam cię na starym mieście z facetem. Fajny.

— Ta...

— Coś z nim nie tak?

— Nie, z nim wszystko w porządku. Gorzej z Patrycją.

— Nie przejmuj się Pat. Przecież to wariatka. Przeżywa kolejną depresję na tle braku faceta. Mam nadzieję, że nie włączyłaś głośnego mówienia w telefonie...

— Nie mogę się nie przejmować Patrycja. Wyprowadziła się, jak mnie nie było. Nie dość, że nie oddała za czynsz za trzy miesiące, to jeszcze mnie okradła...

— O Boże, Ewelino, czuję się winna... Przecież to ja ci ją poleciłam...

To dobrze, że czuła się winna. Ktoś powinien czuć się winny, a Patrycja na pewno tak się nie czuje.

— Dużo ci ukradła?

— Prawie tysiąc w gotówce. Do tego dwie buteleczki perfum, suszarkę, wszystkie kosmetyki, toster...

— A biżuteria?

Boże, biżuteria...

— Poczekaj chwilę! — Rzuciłam słuchawkę i pobiegłam sprawdzić szuflady... — Nie ma nic...

— Ewe, tak mi przykro. Będę u ciebie za pół godziny. Zgłosiłaś to już na policję?

— Na policję?

— A dlaczego nie?

Właściwie, dlaczego nie. Chociaż...

— Wiesz, mam lepszy pomysł...

— Nie żartuj!

— Okradła cię, a ty ją jeszcze chronisz? Czy ona zasługuje na lojalność?

— Nie o to chodzi. — Pociągnęłam nosem. — Znam kogoś, kto szybciej ją znajdzie.

— On?

— Tak.

— Myślę, że zasłużyła sobie na to.

— Ja też tak sądzę.

— To na razie. Zaraz przyjadę.

Myśl o zemście poprawiła mi humor i dodała apetytu. Postanowiłam coś przekąsić, zanim przyjedzie Dominika. A niech to szlag! Lodówkę też wyczyściła...

Jakub

Odprowadziłem Ewelinę na przystanek tramwajowy. Prawdę mówiąc, miałem zamiar odprowadzić ją do domu, ale kompletnie mnie zaskoczyła. Najpierw czekała na piątkę. Podjechała dziewiętnastka, wszyscy wsiedli, motorniczy daje sygnał do odjazdu, a Ewelina nagle całuje mnie w policzek i wskakuje do tramwaju. „Dziękuję ci za miły wieczór” — zdążyła powiedzieć i odjechała. A ja zostałem na przystanku z głupią miną. I oczywiście zupełnie nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Postanowiłem, zamiast do domu, wpaść do Tomka. Tomek, co prawda zupełnie nie zna się na kobietach, ale dobrze mi życzy, więc na pewno powie coś uspokajającego.

— Bała się, że będziesz ją molestował w bramie — powiedział.

— Słucham?

— No wiesz, odprowadzisz ją pod dom i na klatce albo w bramie będziesz chciał ją pocałować.

— Co ty! Na pierwszej randce?

— Nie całowałeś się nigdy na pierwszej randce?

Jak mu to powiedzieć, że jestem, hm, odrobinę staroświecki...

— Pewnie, że się całowałem. Wiele razy. Zawsze całuję się na pierwszej randce. W bramie albo na klatce schodowej. A potem idziemy do niej albo do mnie i... no wiesz.

— Sam widzisz. Najwyraźniej chciała tego uniknąć.

Co za wredny gnojek. A ja myślałem, że mnie pocieszy.

— Sądzisz więc, że nie powinienem sobie robić zbytnej nadziei?

No dobij mnie, stary. Proszę bardzo, wystawiam ci się jak kaczka pod lufę.

— Wiesz, czytałem ostatnio artykuł w „Playboyu”, że kobieta w ciągu czterdziestu sekund ocenia, czy pójdzie z facetem do łóżka czy nie pójdzie.

— W czterdzieści sekund?

— Tak. Najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Wszystko, co zrobisz później, nie ma już najmniejszego znaczenia.

— To przerażające.

Pomyślcie tylko, wasze pierwsze czterdzieści sekund... Jakie było pierwsze czterdzieści sekund moje i Eweliny... Czy przypadkiem nie wszedłem do sali, gdzie siedziała ze swoją grupą, i zapytałem „To wy jesteście te koty, które mają hiszpański?”. Ktoś odpowiedział coś twierdzącego. „Zróbcie mi miejsce, dzieciaki”.

Jeśli dobrze pamiętam, kiedy przechodziłem między ławkami, zawadziłem o czyjąś teczkę i walnąłem na podłogę. Kiedy podniosłem oczy, zobaczyłem czyjeś długie nogi w pończochach samonośnych i koronkowe majteczki. To była Ewelina.

— A nie mówiłem? Liczy się tylko pierwsze czterdzieści sekund — ucieszył się Tomek, kiedy opowiedziałem mu o moich pierwszych czterdziestu sekundach z Ewelina.

— To raczej nie był najlepszy początek.

— Żartujesz! W ciągu pierwszych czterdziestu sekund widziałeś jej majtki! Każdy by tak chciał.

Właściwie, dlaczego rozmawiam z tym idiotą? Przecież on nigdy nie miał dziewczyny.

— Dostałem kosza od tylu kobiet, że bardzo dobrze wiem, czego one oczekują od mężczyzny — odparł Tomek, kiedy podzieliłem się z nim uwagami na temat jego kompetencji. — Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, musisz mi najpierw odpowiedzieć na kilka pytań.

Jak mogłem się nie zgodzić? Potrzebowałem pomocy.

— Powiedz, jak była ubrana.

— Była w mini i obcisłej bluzce.

— W jakim kolorze?

— Co w jakim kolorze?

— W jakim kolorze była bluzka i spódnica.

— W czarnym. Spódnica była czarna, a bluzka zielona. Albo odwrotnie. Chociaż bluzka chyba była szara. Tak, myślę, że bluzka była szara.

Tomek popatrzył na mnie jak na człowieka przegranego.

— Tak jak myślałem. Jesteś beznadziejny. Kobiety chcą, że byś zapamiętał, jak były ubrane na pierwszej randce. Czytałem o tym w „Elle”. A ty nie pamiętasz nawet podstawowych rzeczy, nie wspominając o dodatkach jak buty, torebka, biżuteria...

Tomek zalicza się do tych współczesnych mężczyzn-eksperymentatorów, którzy sięgają po prasę kobiecą jako źródło informacji o najszybszych potrzebach płci przeciwnej. To dlatego uchodził w pewnych kręgach za znawcę niewieściej duszy.

— Jezu, po co miałbym to wszystko pamiętać?

Mój przyjaciel spojrzał na mnie jak na głąba.

— Przydałoby ci się trochę lektury „Elle” albo „Como”.

— „Como”? Chyba miałem to w ręku. To jakaś gazeta o astronomii?

— „Cosmopolitan”? To pismo babskie, ty baranie!

W końcu po to mamy przyjaciół, żeby mogli nas bezkarnie obrażać.

— Więc po co miałbym pamiętać, co miała na sobie?

— Kobiety myślą, że zależy ci na nich, skoro pamiętasz, jak są ubrane. Dla nich to ważne. Spędzają wiele czasu na ubieraniu się.

Chciałem powiedzieć, że ja też, bo nigdy nie mogę znaleźć czystych skarpetek, ale powstrzymałem się. Tomek mógłby mnie źle zrozumieć.

— Myślę, że ta bluzka była jednak szara.

— Nigdy nie będziesz miał dziewczyny, jeśli nie potrafisz zapamiętać, jak jest ubrana! I kto to mówi?!

— Następnym razem będę sobie notował.

— Jeśli będzie jakiś następny raz.

Sadysta. Po prostu sadysta.

— Teraz mi powiedz, dokąd ją zabrałeś.

— Do Irish.

— Gapiłeś się na kelnerki?

— No co ty.

— Przecież to Irish. Nie zapomnę, jak to było z Iwoną... Strasznie śmieszna historia. Będę żałował do końca życia, że mu powiedziałem.

— Nie gapiłem się na kelnerki.

— A Dominika była?

— Nie, była tylko ta ruda i ta ze świetnym tyłkiem.

— A mówisz, że się nie gapiłeś!

— Bo się nie gapiłem. Pilnuję się. Spojrzałem raz czy dwa, jak płaciłem rachunek.

— Płaciłeś za nią?

— Tak. To źle?

— Nie wiem. W „Tinie” pisali, że jeśli dziewczynie nie zależy na facecie, to nie pozwala mu płacić za siebie. Jeśli facet płaci za nią, to znaczy, że bierze też za nią odpowiedzialność. A w „Como”, że jeśli płaci sama za siebie, to oznacza, że jest silna i niezależna, i on musi włożyć więcej wysiłku, żeby ją zdobyć.

— To mam włożyć więcej wysiłku czy nie?

Zignorował moje pytanie.

— Jadła czy piła?

— Jadła i piła. Piła colę i zjadła wuzetkę.

Tomek zasepił się. Wyglądało na to, że nie mam szans.

— Coś nie tak? Powiedz wreszcie! Nie ukrywaj tego przede mną. Jest bardzo źle?

— Pomyślałem, że dawno nie jadłem wuzetki.

Dlaczego on mnie musi tak denerwować?

— Co to znaczy, że zjadła wuzetkę?

— To bardzo dobrze dla ciebie. Znaczą, że czuła się przy tobie bezpieczna.

— To ważne?

— Bardzo. Dziewięćdziesiąt procent czytelniczek „Twojego Stylu” zadeklarowało, że w związku z mężczyzną najważniejsze dla nich jest poczucie bezpieczeństwa.

— To niesamowite, jak ty się znasz na kobietach — powiedziałem z podziwem. — Aż dziw, że sam, no wiesz... — dodałem zupełnie niepotrzebnie.

— Ja szukam swojego ideału... Wiem, że gdzieś jest. Raz nawet widziałem ją przelotnie.

— Tak, pamiętam. — Nie miałem ochoty kolejny raz słuchać tej historii. Tomek szedł ulicą i nagle ze sklepu z odzieżą sportową wyszła cudowna dziewczyna — jego ideał. Co prawda, kiedy go pytałem, jak wyglądała i w co była ubrana, nie potrafił mi podać bliższych szczegółów, jednakże był pewny, że to jego ideał. Stał i patrzył za nią, jak odchodzi. I wtedy, po kilkunastu metrach, ona się obejrzała. Od tej pory szuka jej wszędzie. Parę razy był już blisko, ale potem mówił, że jednak się pomylił. Że to nie jego ideał.

— Dała ci swój telefon?

— Jasne.

— No to, chłopie, jesteś na najlepszej drodze do sukcesu. Tylko nie spieprz tego teraz.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

— O nic się nie martw. Zawsze możesz liczyć na mnie, a ja, mówię ci, bracie, znam się na kobietach. Tylko mnie słuchaj, a już niedługo będziesz w jej sypialni.

I właśnie, dlatego trochę się martwię. Bo ja zawsze go słucham.

Ewelina

Zadzwoiłam do Grega, trochę popłakałam i poczułam się lepiej. Zwłaszcza po tym, jak napisałam na kartce piętnaście razy „Ja, Ewelina Wagner, nie przejmuję się żadnymi problemami”, tak jak każe Scott Adams. W zasadzie dziesięć razy zupełnie wystarczy, ale ten dzień był wyjątkowy.

Dominika jakby się domyśliła, że w lodówce pusto (w końcu znała Patrycję lepiej ode mnie). Przywiozła ze sobą frytki i kurczaka z rożna. Wszystko strasznie tłuste. Nie zapomniała też o czekoladzie.

— Czekolada jest dobra na stres — powiedziała, rozpakowując zakupy.

— Najpierw zjemy kurczaka — ustaliłam porządek obrad.

— Powiedz coś o tym chłopaku, z którym cię widziałam.

— Ma na imię Jakub.

— Ładne imię.

— Studiuje ze mną na uniwersytecie.

— Na twoim roku?

— Nie, rok wyżej.

— Eee, młody.

— Jest po technikum. Dwa lata starszy. I bardzo opanowany.

— Co to znaczy?

— Kiedy jest ze mną, nie gapi się na inne dziewczyny.

— Gdzie byliście?

— W Irish.

— W Irish? I nie gapił się na kelnerki?

— W ogóle.

— To rzeczywiście świetny facet. Pożyczysz mi go na urodziny?

Jakoś było mi nie na rękę ciągnąć dalej rozmowę o Kubie. W końcu Dominika przyjechała po to, żebyśmy mogły obgadać tę wstrętną złodziejkę. Postanowiłam delikatnie przypomnieć jej o tym.

— Jestem wstrząśnięta tym, co zrobiła Patrycja.

— Rzeczywiście, to straszne. Czy te perfumy, które ci ukradła, to było to Joop?

— Tak, Kenzo i Joop.

— Kenzo też? Och, kochanie, to naprawdę straszne. Kosztowały cię przecież fortunę.
— Wystarczą jej na jakiś tydzień. Wiesz, jak ona się tym oblewa. Czuć ją na kilometr.
— Rzeczywiście ona z tym trochę przesadza.
— Trochę? Prawie straciłam przy niej węch. Cieszę się, że się wyniosła.
— Nie zapomnę, jak raz wybrała się do pracy w zielonej spódnicy, wiesz, tej ładnej. I włożyła do tego ohydny różową bluzkę.
— To była moja spódnica. Zanim przytyła, pożyczalam jej ciuchy. Dziękuję Bogu, że stała się gruba, bo przynajmniej zostawiła mi ubrania.
— To ładnie z jej strony.
— Ładnie?
— Że tyje i jest coraz brzydsza!!!
— Żebyś wiedziała, ile ona potrafi zjeść.
Co prawda, potem biegnie do łazienki i wszystko zwraca.
Trzeba przyznać, że obgadywanie wrogów naprawdę podnosi na duchu.
— Czytałaś swój horoskop? — zapytała Dominika.
— Nie, a masz „Wróżkę”?
Dominika wyciągnęła z torebki gazetę.
— Ty jesteś, z której dekady Lwa?
— Z pierwszej — odpowiedziałam obrażona. — Moja przyjaciółka powinna była pamiętać takie rzeczy. — Wiesz, ja mam coś lepszego niż „Wróżka”. — Postanowiłam jej trochę dopiec.
— Chyba, że Patrycja mi zwędziła.
Wstałam i zaczęłam przeglądać regał z książkami.
— Znalazłam! — oznajmiłam prawie wesoło.
— Co to jest? — zapytała Dominika.
— Znakomite horoskopy na cały rok. — Podałam jej kilka książek. — Każdy dzień jest opisany.
— Ten rok już się kończy... — złośliwie zauważyła Dominika.
Czy ja mam do niej pretensje, kiedy przynosi „Wróżkę”? Czytamy horoskopy, przeżywamy już nasze przyszłe klęski i nowych facetów, a na koniec okazuje się, że to stary numer!
— Wiem, że rok się kończy. Kupiłam tę książkę na wyprzedży. Bardzo tanio. Listopad i grudzień są całkowicie aktualne.
— Horoskopy z „Wróżki” zawsze mi się sprawdzają...
— W zeszłym tygodniu mówiłaś coś innego.
— Horoskop trzeba umieć czytać. Nie należy traktować go dosłownie.
— A jak mam go traktować? W przenośni?
— Jesteś strasznie rozdrażniona.
— A jaka mam być? Zostałam okradziona niemal ze wszystkiego. Lepiej obgadujmy jeszcze Patrycję.

Dominika wołała jednak astrologie.

— Posłuchaj, to twój horoskop na dziś... „Udane spotkanie z mężczyzną może być zapowiedzią równie udanego związku. Na twojej drodze pojawią się jednak pewne przeszkody związane z finansami. Spodziewaj się telefonu z interesującą propozycją, która jednak początkowo może wydawać się mało atrakcyjna. Nie zmarnuj swojej szansy, ulegając powierzchownym ocenom”.

Spojrzałam do książki.

— To horoskop na ubiegły rok. Był bardzo tani.

O dziesiątej zadzwonił Jakub. Rozmowa była trochę dziwna.

— Cześć. Wiesz, bardzo mi się podobałaś w tej szarej bluzce.

— Jakiej szarej bluzce? Ja nie mam szarej bluzki.

— Powiedziałem szarej? Miałem na myśli zieloną. Tę, w której byłaś dzisiaj...

— Dzisiaj byłam w granatowej.

— W granatowej. Aha. I spódnica też była ładna. Ta czarna.

— Masz na myśli tę szarą, którą miałam na sobie?

— Szara. Tak, chodzi o tę szarą. Wyglądałaś ślicznie.

— Dziękuję. Wszystko u ciebie w porządku?

— Jasne. Wszystko OK. Ale wiesz co, nie pamiętam, w jakim kolorze miałaś buty... Było ciemno...

— W takim samym jak torebka.

— Aha. Buty i torebka. Czarne?

— Czarne.

— Rozumiem, czarne.

— Czy ty to sobie notujesz?

— Nie, coś ty. Ja tylko tak, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że to wszystko pięknie harmonizowało z twoimi kolczykami.

— Nie miałam kolczyków.

Oczywiście zostawiłam je w domu, żeby Patrycja mogła je spokojnie ukraść.

— Bez kol-czy-ków.

— Kuba, czy ty jesteś trzeźwy?

— Trzeźwiutki. Wypiłem tylko piwo. Jedno. Dwa. Trzy.

— To dwa czy trzy?

— Czekaj, liczę. Jedno, potem dwa, trzy. Sześć.

— Wiesz co, zadzwoń do mnie, jak się wyśpisz.

— Cicho, umawiam się. — Usłyszałam, jak mówi do kogoś innego. — Mogę? Naprawdę mogę jeszcze do ciebie zadzwonić?

— Tak — powiedziałam to w złą godzinę. — Idź spać. Miałam ciężki wieczór.

— Już idę spać. Dobranoc — powiedział do mnie. — Daj mi spokój, spać mam iść. —
Usłyszałam, zanim odłożył słuchawkę.

Spałam już, kiedy o północy zadzwonił telefon. W pierwszej chwili pomyślałam, że dzwoni matka Patrycji, by powiedzieć mi, że jej córka wpadła pod pociąg. Zerwałam się z łóżka.

— Czeeeeść, to jaaaaaa. Nie mogłem zasnąć.

Usłyszałam w słuchawce pijany głos Kuby.

— I dlatego dzwonisz tak późno?

— Jest późno? Tomek, jest późno?

— Jest późno — powiedział jakiś głos.

— To ja zaraz kończę.

— Mam nadzieję. Muszę się wyspać, żeby jakoś jutro wyglądać.

— Posłuchaj, to bardzo ważne. Mam jej powiedzieć? — To ostatnie nie było do mnie.

— Mów — powiedział drugi głos.

— Wiesz, co, zadzwonię później...

O nie! Tylko nie później. O pierwszej, drugiej, a może trzeciej nad ranem?! Postanowiłam być stanowcza.

— Powiedz mi to teraz!

— Co?

— To, co miałaś mi powiedzieć.

— Aha... No, więc, czy ja, czy mogę cię zaprosić na kolację? No wiesz, do mnie... Ugotuję coś.

Dobrze słyszałam, on będzie gotował?

— Umiesz gotować?

— Tomek, czy ja umiem gotować?

— Umiesz. Jesteś guru. Jesteś mistrz patelni i czempion krytych kotłów, he, he, — odpowiedział mu Tomek.

— Umiem gotować. Przyjdiesz?

Kolacja u niego... Czy ja wiem? Może powiem, że nie, i wyłączę telefon? Gotowy dzwonić całą noc.

— Kiedy?

— Jutro mam kaca... Pojutrze?

— Dobrze. A teraz bądź grzecznym chłopcem i połóż się spać. Niech Tomek ci opowie jakąś bajkę na dobranoc.

— I co? Zgodziła się? — Usłyszałam głos Tomka.

— Masz mi opowiedzieć bajkę.

— Ty chyba jesteś pijany — stwierdził Tomek.

— Dobranoc, Ewelino.

— Dobranoc. Nie pijcie nic więcej.

— Ale my nic nie pijemy. — W tle usłyszałam brzęk szkła.

— Dobranoc. — Odłożyłam słuchawkę.

Ledwie zdążyłam zasnąć, kiedy znów zadzwonił telefon. Zaczynam żałować, że Patrycja nie ukradła aparatu.

— Czeeść. To jaaaaaa. Zapomniałem podać ci mój adres...

Jakub

Jezu, jak mi się chce pić... Jezu, jak mnie boli głowa... Powinienem już chyba wstać, żeby zdążyć na zajęcia. Podniosłem się z łóżka i odsłoniłem okno. Zawsze łatwiej podnieść się na duchu, kiedy świeci słońce, nawet, jeśli moje brudne szyby zatrzymują większą część światła. Kiedy były myte ostatnio? To już ponad rok... Jak na rok, to nawet nie są takie brudne...

Pić... Trzeba natychmiast coś wypić. Na stole stoi pół butelki zwietrzałego żywca. To chyba całe zasoby wody pitnej w tym mieszkaniu, jeżeli zwietrzałe piwo zalicza się do tej kategorii. Mimo całej sympatii dla browaru w Żywcu, próbuję przebić się w stronę zlewu. Chwiejnym krokiem omijam przewrócone krzesło i stół. Zawadzam o blat stołu, który bardzo rozrósł się podczas tej nocy. Ostrożnie stawiam stopy pomiędzy książkami, maszyną do pisania, talerzami ze śladami konsumpcji. Tuż przed samym zlewem natrafiam na ludzkie ciało spoczywające na podłodze. Sprawdzam, czy jest puls.

— Spadaj — mówi do mnie ciało Tomka.

W końcu osiągam zlew. Moje mieszkanie nigdy jeszcze nie było takie duże i pełne niebezpieczeństw. Wodociągi miejskie tym razem mnie nie zawiodły. Woda równa się życie.

Wracam do łóżka tą samą drogą, po swoich śladach jak saper, który zapędził się na pole minowe. W zasadzie powinienem iść też do łazienki, ale to jeszcze dalej niż do zlewu. Próbuję odtworzyć w umyśle kilka ostatnich godzin. Zaraz, czy ja wczoraj... Przypominają mi się telefony do Eweliny i momentalnie trzeźwieję ze wstydu... Muszę zaraz do niej zadzwonić, przeprosić za wszystko... Gdzie jest ten cholerny aparat?

Zawsze imponowały mi amerykańskie standardy kabli telefonicznych. Ich długość umożliwia chodzenie z telefonem po całym mieszkaniu i przybieranie pozycji stosownych do sytuacji rozmówcy. Mojemu aparatowi zapewniłem przewód umożliwiający nawet wyjście na balkon (gdybym go miał). Mój telefon nie tkwi na metrowej smyczy, przywiązany do gniazdka, które zgodnie z tradycją polskiej telefonii umieszczane jest w najmniej sensownych miejscach. Dzięki temu mogę swobodnie dzwonić, leżąc w łóżku, pijąc w kuchni herbatę albo przechadzając się po całym mieszkaniu. Dzięki temu nie mam pojęcia, gdzie znajduje się mój aparat obecnie. Kabel ginie gdzieś pośrodku pokoju. Od miesiąca nie miałem prócz Tomka innych gości, co wpłynęło niekorzystnie na wystrój mojej kawalerki. Tomek nie jest istotą szczególnie wrażliwą na porządek, ja też na pedanterię nie cierpię. Teraz jednak wolałbym wiedzieć, gdzie ostatnio zostawiłem aparat, kiedy pijany dzwoniłem do Eweliny.

Po wstępnych, a następnie bardziej szczegółowych badaniach topografii terenu czuję się całkowicie bezsilny. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to obudzić Tomka.

— Czego chcesz?

W jego tonie wyczuwam niechęć.

— Wstawaj, musisz mi pomóc.

— Już wstaję — mówi i obraca się na drugi bok.

— Wstawaj, jak cię proszę. — Mam nad nim przewagę fizyczną, ale korzystam z niej, tylko, gdy zajdzie taka konieczność. Jeśli nie wstanie za chwilę, to zajdzie.

— No już, już... — mruczy Tomek i podnosi się z dywanu. — Co się stało?

— Po drugiej stronie ulicy jest automat telefoniczny. Idź tam i zadzwoń do mnie. Masz tu kartę.

Sprawia wrażenie, jakby nie do końca mnie zrozumiał.

— Odwaliło ci? Nie możesz ze mną normalnie porozmawiać? A ty nie możesz sam wyjść? Ja tu zostanę i znajdę telefon — proponuje mi Tomek.

Nie wiedziałem, że taki z niego leń.

— Muszę zostać, na wypadek gdyby dzwoniła Ewelina — tłumaczę.

Tomek wreszcie się zgadza, ale nie może wyjść tak od razu, tylko musi iść do łazienki, napić się czegoś, uczesać... Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Zapisałem mu numer na kartce, na wypadek gdyby zapomniał. W końcu wychodzi. Po jakichś pięciu minutach (chyba szukał automatu) usłyszałem, że coś dzwoni, bardzo cicho i bardzo daleko. Mam nadzieję, że Tomek nie skończy, zanim nie odbiorę — nie ustaliliśmy tego wcześniej, a nie powinienem dzisiaj liczyć na jego inteligencję. Chyba w ogóle nie powinienem na nią liczyć. Telefon odnajduje się w wannie. Cały mokry, bo Tomek brał prysznic. Na szczęście jeszcze działa, tylko trochę kopie prąd. Wytarłem go ręcznikiem i wybrałem numer Eweliny. Wczoraj w nocy dzwoniłem tyle razy, że już znam go na pamięć. Eweliny jednak nie ma albo ma wyłączony telefon. Ta droga kontaktu z nią jest nieskuteczna.

— A właściwie, dlaczego musisz do niej zadzwonić? — pyta mnie Tomek po powrocie.

Muszę mu przypomnieć, żeby oddał mi kartę telefoniczną. Tomek szybko się przyzwyczaja do pożyczonych rzeczy.

— Bo jak byłem wypity, zaprosiłem ją na kolację. Ty mi kazałeś — wypominam przyjacielowi.

— Pamiętam. Kazałem ci, bo wiedziałem, że na trzeźwo przyjdzie ci to z trudem. Ale przecież zgodziła się, więc, w czym problem?

Zgodziła się. Rzeczywiście. Przyjdzie jutro. Do mnie. Na kolację. Do tego chlewu...

Rozejrzałem się po mieszkaniu. Mam czas do jutrzejszego wieczoru. Nie pamiętam, na którą się umówiłem, ale skoro na kolację, to nie przed południem. Muszę tylko umyć okna, przeprać firany, powiesić zasłony, pomalować pokój, przykleić odpadające płytki w łazience, znaleźć miejsce dla tych wszystkich rzeczy zaparkowanych na dywanie, odskrobać jedzenie od podłogi w kuchni, pozbyć się trupiego zapachu w korytarzu, no i ugotować coś wykwintnego. Jasne, że zdążę.

— Pomógłbym ci, ale mam kolokwium z angielskiego — powiedział Tomek.
— To ty mnie w to wrobiłeś!
— Nie żartuj. Czy ja ci kazałem ją podrywać?
— Ta kolacja to był twój pomysł...
— Mój? Ja pokazałem ci tylko drogę do celu, zresztą jedną z wielu możliwych. To ty wczoraj mówiłeś, że Ewelina mogłaby być matką twoich dzieci.

— Mówiłem coś o dzieciach? Musiałem być nieźle narąbany.
— O dwójce, trójce dzieci. Chciałeś, żeby miały po matce urodę i biust. Domyślam się, że biust po Ewelinie miały mieć córki. Nie powiedziałeś tego, ale tak przypuszczam.

To okropne, kiedy opowiadają ci o czymś, co zrobiłeś, jak byłeś pijany, a czego nie pamiętasz. Najpierw myślisz, że świadek tych wydarzeń zwyczajnie cię wkreca, chce ci wmówić coś, do czego nie jesteś przecież zdolny. W takiej sytuacji trzeba zadać pytanie pomocnicze, żeby fałsz szybko wyszedł na jaw.

— Mówiłem coś jeszcze? — zapytałem, udając zażenowanie.
— Pamiętam, jak przed zaśnięciem wymyślałeś imiona dla swojego potomstwa.
— I co wymyśliłem?
— Jak dziewczynka to Luiza, na cześć jednej panny z Sosnowca, w której się nieszczęśliwie zabujałeś. Oczywiście, pod warunkiem, że Ewelina się zgodzi...

Rany, on chyba tego nie zmyśla... Muszę przestać pić. Natychmiast! Jak przestanie mi się kręcić w głowie, poszukam w książce telefonicznej klubu Anonimowych Alkoholików.

— Pamiętaj, obiecałeś, że będę ojcem chrzestnym twojej córeczki... — przypomina mi przyjaciół.

Żeby mnie tak nie bolała głowa, na pewno bym mu się odgryzł historyjką o tym, co on robił po pijanemu. Ale głowa bolała mnie piekielnie, więc poszedłem do kuchni poszukać pomidorówki.

— Co robisz? — Tomek przyłapał mnie na gapieniu się w torebkę z pomidorową instant.
Zastanawiające, że nasi przyjaciele po imprezie zawsze wyglądają lepiej niż my i lepiej się czują, nawet, jeśli wypili więcej.
— Ktoś mi mówił, że na kaca niezawodnie pomaga pomidorowa.
— Nie zastanawiaj się, tylko spróbuj. Na pewno ci nie zaszkodzi.
— Tylko, że nie pamiętam, czy rozpuszczona czy w proszku...

Kiedy Tomek zbierał się do wyjścia, a ja zbierałem myśli i koszule z podłogi, zadzwonił telefon. Pobiegłem do łazienki odebrać. Pomyślałem, że to Ewelina.

— Cześć, Kuba!
To nie była Ewelina.
— A cześć...
— Nie cieszysz się, że dzwonię?

— Nie. To znaczy tak. Jasne, że się cieszę. Cieszę się bardzo.
Możesz zadzwonić później, jak wyjdę?
— Dzwonię do ciebie, bo postanowiłam zrobić ci niespodziankę na moje urodziny.
Niespodzianka na jej urodziny? Ona chyba nie chce przyjechać?
— Przyjeżdżam dzisiaj!
— Ale dzisiaj nie możesz...
— Wyjdiesz po mnie na dworzec?
— Nie mogę. Jestem chory.
— To, dlatego masz taki dziwny głos. Biedactwo, nikt się tobą nie opiekuje...
— Tomek się mną opiekuje. Opiekuje się mną bardzo dobrze. Nie przyjeżdżaj, bo się zarażisz.
— Jeśli Tomek się nie zaraził do tej pory, to ja też się nie zarażę... Bardzo cierpisz?
— W tej chwili ogromnie.
— Będę o siódmej.
— To świnią!
— Mów głośniej, bo straszny tu ruch. Dzwonię z komórki ojca.
— Mam świnkę. To bardzo niebezpieczne i bardzo zakaźne.
— Nie przejmuj się mną, ja już miałam świnkę. W dzieciństwie. Ale tobie to grozi poważnymi powikłaniami. Mam nadzieję, że byłeś u lekarza.
— Byłem. To znaczy dopiero pójdę.
— Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Przyjadę, to wszystko mi opowiesz. A teraz się prześpij. Pa!
Tylko jej było mi potrzeba. I świnki.
— Agnieszka przyjeżdża — powiedziałem do Tomka.
— No widzisz, a martwiłeś się, że będziesz sam sprzątał. Przyjedzie, to zrobi porządek.
— Jak przyjedzie, to nie będzie chciała wyjechać...
Muszę koniecznie zaraz popić czymś tę pomidorową.

Ewelina

Rano, kiedy zobaczyłam swoją twarz w lustrze, bardzo się zdenerwowałam. Niby płakałam tylko trochę — najpierw sama, potem przy Dominice i jeszcze przed snem — a oczy mam okropnie zapuchnięte. Moja cera przypomina skórę wczorajszego kurczaka, pod względem zawartości tłuszczu. Koszmar. Muszę zaraz coś z tym zrobić. Gdzie położyłam kosmetyczkę? Prawda, Patrycja mi ją ukradła. I jak ja mam teraz iść na zajęcia?

Wygrzebałam wszystko, co miałam ze sobą w torebce. Dobrze to, żeby poprawić urodę w ciągu dnia, ale nie żeby ją zrobić rano. Na pierwszych zajęciach miałam czytać referat. A sklepy kosmetyczne otwierają dopiero o dziesiątej. Co robić?

Pode mną mieszka dziewczyna z filmówki. Rozmawiałam z nią parę razy na klatce. Może mogłabym pójść do niej się umalować?

Już to widzę. Dzyń, dzyń...

— Dzień dobry...

— O Boże! To ty, Ewelina? Ktoś cię pobił? Nie bój się, nikomu nie powiem...

Ten pomysł raczej odpada. Hipermarkety są czynne od dziewiątej. Ale to i tak za późno. Zajęcia mam o ósmej. Poza tym musiałabym przejechać w takim stanie całe miasto, a nie mam tak dużych okularów słonecznych, żeby zakryć nimi całą twarz.

Zakupy przez Internet! Zamówię wszystko w sklepie i każę sobie dostarczyć do domu. Przywiozą mi to w ciągu dwóch dni. Poza tym nie mam komputera. Dobrze, że go nie kupiłam, chociaż Patrycja mnie na to namawiała.

Postanowiłam nie iść dzisiaj na zajęcia. Pójdę do lekarza i powiem, że miałam bolesny okres. Albo powiem wykładowcom prawdę że okradła mnie współlokatorka. Tak zrobię. W końcu każda studentka ma okres, ale nie każda ma taką współlokatorkę.

O tej porze roku o siedemnastej jest już całkiem ciemno. Wtedy pójść do sklepu z kosmetykami. Najbliższy jest dwie przecznice stąd. Sąsiedzi wrócą już z pracy, a koleżanki będą jeszcze na uniwerku. Nie powinnam nikogo spotkać. A na razie zrobię sobie okłady z herbaty na oczy. Czy Patrycja zostawiła herbatę? Jest tylko zielona. Nie jestem pewna, czy nie będę miała potem zielonych oczu. Z jedzenia zostały tylko resztki kurczaka i dwie zimne frytki. Zjem to, a potem

będę się odchudzać do szóstej po południu. Jestem trochę głodna, ale przecież nie mogę wyjść z mieszkania. Nie tylko, dlatego, że źle wyglądam. Patrycja ma przecież klucze i mogłaby wrócić i wynieść resztę rzeczy. Na przykład...

Deskę do prasowania. Właśnie. To bardzo dobra deska do prasowania, jest prawie nowa. Patrycja najwyraźniej o niej zapomniała. Jeżeli działa w zorganizowanej grupie przestępczej, a Patrycja nie wygląda, jakby była w stanie zrobić cokolwiek samodzielnie, to może też przyjść tu z jakimiś kolesiami i wynieść meble. Nie, zdecydowanie nie mogę opuszczać mieszkania, co najmniej do piątej po południu, to znaczy do czasu, kiedy Patrycja myśli, że jestem na zajęciach.

Boże, moje oczy. Ta zielona herbata zupełnie nie pomaga. W jakiejś gazecie czytałam, że zielona herbata staje się dobra dopiero po trzecim parzeniu. Może powinnam ją najpierw zaparzyć kilka razy?

Dobrze jest leżeć głodna na łóżku przez cały dzień z kompresem na oczach i tłuczkiem w rękę, na wypadek gdyby wróciła moja współlokatorka. Można sobie spokojnie pomyśleć o wszystkim. Na przykład wracając do mojego ulubionego tematu ciekawe, za ile Patrycja opchnęła paserowi moją suszarkę? Ciekawe, czy coś wytarguje dodatkowo za cztery tryby suszenia A końcówki? Sprzedaje w komplecie czy każdą osobno zastawi w lombardzie, kiedy zabraknie jej na wino?

— Błagam, niech mi pan da chociaż cztery złote. Tą końcówką można robić genialne afro.
— Widzę już ją, jak się wdzieczy przed paserem. Uśmiecha się, pokazując te swoje krzywe zęby. Na nosie ma ogromne okulary zakrywające siniaki — pamiątkę po ostatniej romantycznej randce zorganizowanej przez jej alfonsa.

— Pięćdziesiąt groszy — mówi facet z lombardu. — Dałbym więcej, gdybyś przyniosła wszystko w komplecie. A tak, miałem problem, żeby sprzedać suszarkę bez końcówek. Kto mi tera kupi same końcówki?

— Chociaż złotówkę — Patrycja spuszcza z tonu, bo przypomniało jej się, że po drodze widziała w parku kilka butelek. Jeśli szybko tam wróci, może jakoś uzbiera na belta.

Facet daje jej złotówkę. Patrycja całuje go w rękę i wychodzi szukać porzuconego szkła. Nie może iść za szybko, po ostatniej nocy lekko kuleje.

— Ty, mała! — woła za nią facet z lombardu. Jest niski, gruby i strasznie się ślini. Jak buldog Dominiki. Tylko że brzydszy. Moja była współlokatorka wraca, kuszykając.

— Potrzebujesz forsy?

Patrycja kiwa głową.

— Może mogę ci pomóc — mówi właściciel lombardu. — Jeśli tylko... — przerywa mu dzwonek telefonu.

Zaraz, przecież to u mnie dzwoni.

— To ja, Greg.

— Och, Greg, jak dobrze cię usłyszeć. Teraz już tylko tobie mogę zaufać...

— Nie masz dzisiaj zajęć?

— Nie poszłam. Czuję się okropnie. Jestem strasznie przybita... Nie mam nawet czym się umalować.

— Głowa do góry, maleńka. W życiu zdarzają się gorsze rzeczy.

— Byłam do niej tak przywiązana, O wszystkim jej mówiłam...

— O wszystkim?

— No prawie...

— Nie martw się, wici już rozesłane. Ktoś ją na pewno namierzy...

— Ale ja swoich rzeczy już nie odzyskam.

— Kupię ci nowe. Ładniejsze.

— Och, Greg, jaki ty jesteś dla mnie dobry. Nie zasługuję na ciebie. Co jej zrobią, jak ją znajdą?

— To, co się robi takim dziwkom. Nauczą ją rozumu. Nikt nie będzie bezkarnie cię krzywdził...

— Och, Greg... Kiedy tak mówisz...

— Co, maleńka?

— Powiem ci, jak przyjedziesz.

— Wpadnę o ósmej, dobrze?

— Będę czekała.

— To na razie.

Mam jeszcze wiele spraw do załatwienia.

— Cześć, Greg.

— Cześć, maleńka.

O ósmej. Jutro. Czyli zdążę się umalować i kupić coś do jedzenia. Mogę się jeszcze położyć. O czym to ja myślałam? Aha...

Cztery miesiące później Patrycja przychodzi znów do lombardu.

— Końcówek do suszarek już nie skupujemy — mówi do niej obleśny właściciel. — Masz coś innego?

— Dziecko — mówi Patrycja.

— Dziecko... — zastanawia się chwilę paser. — Chodź na zaplecze, pogadamy...

Moja była najlepsza przyjaciółka idzie za nim. Zna już drogę.

— Co to za dziecko? Chłopiec, dziewczynka?

— Nie wiem.

— Słuchaj, ja kota w worku nie kupuję. Gadaj wszystko. Duże jest? Zdrowe?

— Jestem w czwartym miesiącu.

— Żartujesz sobie ze mnie? Czy ja wyglądam na kretyna, co kupuje dzieci na przedpłaty?

— To twoje dziecko — mówi Patrycja, wskazując na swój brzuch.

— Wynos się stąd! Nie znam cię, więcej tu nie przychodź. Będzie mnie latawica szantażować! — Paser wyrzuca ją na ulicę. — Żebyś cię już nigdy więcej nie widział!

Boże, jakie to smutne, zaraz się popłaczę...

Nie żał mi Patrycji, należy się jej, za to, że tak mnie potraktowała. Ale co jest winne dziecko? Pewnie urodzi się w więzieniu, bo w końcu policja ją znajdzie. Jeśli urodzi się w kryminale, to przynajmniej będzie miała jakąś opiekę. Dziecko może się urodzić z wadami, przecież matka przez całą ciążę paliła, piła, ćpała i zadawała się z najgorszym elementem. Biedactwo... Ojciec się go wyparł jeszcze przed urodzeniem. Na pewno będzie upośledzone. To naprawdę okropne.

Muszę wstać po chusteczki. Znowu będę miała zapuchnięte oczy. Wszystko przez Patrycję, moją współlokatorkę. Moją najlepszą przyjaciółkę. Zalecała się nawet do Grega. Ale Greg nie poleciał na pierwszą lepszą. O nie. On się zna na kobietach. Od początku mu się nie podobało, że będę z nią mieszkała.

Muszę się uspokoić, bo mam mało chusteczek. Dopiero teraz przypomniało mi się, że obiecałam Kubie przyjść jutro na kolację. Śmieszny ten Kuba. Właściwie nie powinnam była się zgodzić. Znam go od niedawna. Poza tym nie lubię facetów, którzy piją. Dominika mówi, że wszyscy piją, ale Grega jeszcze nie widziałam pijanego. Owszem, on potrafi wypić i to sporo, ale nigdy się nie upija. Ma mocną głowę. A Kuba nie, więc nie powinien pić.

Z drugiej strony był taki słodki, kiedy był pijany. Mówił miłe rzeczy, chociaż bez sensu. I zapamiętał, jak byłam ubrana. Jeszcze nie spotkałam faceta, który by pamiętał, co miałam na sobie na randce. Tak, Kuba jest naprawdę słodki. I potrafi gotować!

Jakub

Zupełnie nie wiem, jak symulować świnkę. Tomek mówił, żebym się nie martwił, bo ze mnie jest kawał świni i Agnieszka przecież to zauważy. Czasem mam wrażenie, że on mi po prostu zazdrości. Na litość boską, czego? Agnieszki???

Z kobietami to jest ciężko. Najpierw człowiek strasznie się martwi, że nie ma żadnej w pobliżu. Upija się do nieprzytomności z najmniej przystojnym kolegą ze szkoły, bo cała reszta już dawno paraduje z przepięknymi pannami. Zastanawia się godzinami, czy iść na siłownię, kupić sobie dres i ogolić głowę. A potem trafia mu się taka Agnieszka. I zaraz tęskni do tych pijatyk z ostatnim niezareczonym kumplem ze szkoły i do cudownego czasu nieujarzmionej wolności.

Agnieszka jest bardzo dziwną dziewczyną. Właściwie to delikatnie powiedziane. Zazwyczaj mówię o niej, że jest stuknięta. Oczywiście nie przy niej i nie za głośno. Trochę się jej boję, bo jest czarownicą. Odgraża się, że jeśli ją zostawię, ona zginie i będzie mnie dręczyć do końca życia. Krótko i intensywnie. Powoli zaczyna mi być wszystko jedno już się czuję intensywnie dręczony, choć ona ciągle żyje.

Kiedy mi powiedziała, że jest czarownicą, nie potraktowałem tego serio. Zazwyczaj nie traktuję serio tego, co mówi Agnieszka. Gdyby jej posłuchać, można by usłyszeć wstrząsające historie. Na przykład o tym, jak znalazła czołg. Była w lesie na grzybach i znalazła ponemiecki czołg w dobrym stanie, z niewielkim przebiegiem. Po zweryfikowaniu tej opowieści przez jej siostrę okazało się, że prawda była trochę inna. To nie czołg Agnieszka znalazła, tylko klapę od czołgu, nie ponemiecką, tylko porosyjską, nie w lesie, tylko na poligonie, gdzie rzeczywiście zbierała grzyby, chociaż tego nie wolno. No i jak tu wierzyć Agnieszce, jeśli mówi, że jest czarownicą.

Czołg, czołgiem, ale z tą czarownicą to prawda. Najpierw włożyłem to między bajki. W końcu miałem do czynienia z zapaloną miłośniczką *Muminków i Opowieści z Narnii*. Aż do czasu, i gdy strasznie się pokłóciliśmy. Przyznaję sprowokowałem ją.

— Nie pójde z tobą na głupi koncert jakichś alternatywnych kapel folkowych... W życiu! Wbij sobie do głowy, że jedyne połączenie słowa „alternatywny”, jakie toleruję, to alternatywna narzeczona!

Wiedziałem, jak jej dopiec! Myślałem, że się popłacze, ale ona tylko wpadła w furję.

— Ty prymitywny produkcie kultury masowej! Ty wredny szowinisto! Cały czas chodzi ci tylko o seks!

No nie, tylko nie to. Rozumiem, że szowinista, ale cały czas to jej chodziło o seks. Nie chciała go uprawiać ze mną. Ciągle bolały ją jakieś części ciała. Poza tym mówiła, że lepiej się czuła, jak była dziewicą.

— Jesteś rozkapryszonym dzieckiem. Nie dojrzałaś do związku ze mną! — Zaatakowałem ją bronią, którą zwykle ona podnosiła na mnie. Ha, ha, no i co teraz wymyśli?

— Nienawidzę cię!

Jak miło to usłyszeć. Oby była konsekwentna jest na bardzo dobrej drodze, by zniknąć wreszcie z mojego życia raz na zawsze.

— Nie wiem, czemu cię tak kocham...

A jednak nie była konsekwentna w sposób, jakiego bym sobie życzył.

— Nie kochasz mnie. Tylko tak ci się wydaje.

— Nie będziesz mi mówił, czy cię kocham czy nie!!! — Powrócił mój ulubiony ton. Kiedy się złościła, wyglądała naprawdę nieładnie. Tak mniej więcej przebiegała nasza kłótnia.

W sumie bawiłem się całkiem nieźle, może nie tak dobrze jak na meczu Widzewa, ale zawsze odrobina emocji... I wtedy to się stało. Agnieszka usiadła w kącie i przestała się do mnie odzywać. Było to miłe z jej strony, ale zarazem niepokojące. Po minucie zacząłem się o nią martwić. Jak jest zdrowa, to zawsze coś mówi.

Nagle zauważyłem, jak wielki, ciężki, metalowy żyrandol (stanowczo zbyt duży do jej mieszkania) zaczął się chwiać. Tak po prostu. Nie było żadnych wstrząsów, żadnych tirów parkujących pod oknem, sąsiedzi nie tupali, a żyrandol się chwia. Wstałem z fotela, zatrzymałem żyrandol i wróciłem przed telewizor. Zaraz miał być magazyn sportowy.

Po jakichś trzech minutach obracam się, żeby sprawdzić, jak tam ma się żyrandol, i widzę, że już się nie buja... tylko kręci w kółko, jak jakieś wahadełko gigantycznego różdżkarza. Stałem jak wryty, bo przecież zazwyczaj lampy spokojnie zwisają sobie w dół. A ta się kręci i to coraz szybciej.

— Widzisz to? — pytam Agnieszkę.

Nic nie odpowiada, tylko robi tę swoją głupią minę w stylu „chciałeś, to masz”. Przypomina mi się to, co mówiła mi kiedyś o czarownicach. Chwytam żyrandol i zatrzymuję ręką. To nie średniowiecze, ja nie wierzę w złe czarownice i dobre wróżki (choćabym nawet chciał wierzyć, przynajmniej we wróżki). Wracam przed telewizor pochłonąć nową porcję reklamy. Agnieszka się nie odzywa, i bardzo dobrze. Pomiędzy proszkiem do prania i nową renówką przewija się mnóstwo dużo bardziej atrakcyjnych kobiet, które mają mi coś do powiedzenia.

Po trzech minutach znowu obracam się, żeby spojrzeć na lampę...

— Ty to robisz? — pytam w końcu Agnieszkę, bo żyrandol na pewno nie obraca się sam z siebie. — Przestań, słyszysz! Przestań!

— Nie kłóć się ze mną więcej — mówi Agnieszka i żyrandol się zatrzymuje.

Od tej pory się nie kłócimy.

Nie wiem, jak udała się jej ta sztuczka z żyrandolem. Później parę razy próbowałem go uruchomić, oczywiście nie samą siłą woli. Okazało się, że zmuszenie tego przedmiotu, by się kręcił w jakimś określonym kierunku, jest trudne, nawet wtedy, gdy mamy do dyspozycji dwie ręce i cierpliwość.

Tak, więc we wszystkich rozmowach ze mną Agnieszka ma pewien milczący, ale bardzo przekonujący argument. Przez pewien czas żyłem w lęku, że moja narzeczona potrafi także czytać w moich myślach. Jednak nie, nie potrafi. Nawet nie potrafi mnie słuchać. Za to żyrandole obraca znakomicie. Każdy by chciał taką kobietę.

Od paru tygodni opracowuję strategię operacji pod nazwą „Agnieszka precz od Kuby”. ze zmiennym powodzeniem, jeżeli chodzi o wdrażanie planu w życie. Sukcesem niewątpliwie jest to, że Agnieszka zdecydowanie rzadziej do mnie dzwoni i nie przyjeżdża częściej niż raz na dwa tygodnie, co w wakacje byłoby niemożliwe. Tak się pocieszam, bo prawdopodobnie chodzi jednak o to, że bardzo jest przejęta tymi swoimi studiami. Prawdę mówiąc, nie wiem, co studiuje. W każdym razie coś związanego ze sztuką, tak wnioskuję z jej opowieści. Ciągłe mówi, że to było piękne, tamto wspaniałe, jeszcze inne cudowne i głębokie.

Ryzykuję nieustannie życie, umawiając się z innymi kobietami i próbując pozbyć się Agnieszki. Żyję w ogromnym stresie, przez co coraz więcej pije. W dodatku nikt nie rozumie moich problemów. Mój najlepszy przyjaciel zupełnie nie ma pojęcia o sprawach damsko-męskich. Nie ma też żadnej wiedzy o czarownicach i czarach. Zamiast podtrzymywać mnie na duchu, Tomek każe mi się wybrać do psychiatry. Mówi, że mam wspaniałą dziewczynę i jestem szczęściarzem w porównaniu z nim. Przypuszczam, że Agnieszka mu się podoba, chociaż kiedy o to pytam, odpowiada wymijająco.

— Jest dziewczyną mojego przyjaciela, zatem nie liczy się dla mnie jako kobieta — mówi Tomek, a ja jestem wzruszony jego lojalnością. Oczywiście wolałbym, żeby był mniej lojalny i zaczął Agnieszkę podrywać.

Skojarzenie Agnieszki z Tomkiem jest jednym z wariantów operacji „Agnieszka precz od Kuby”. O ile lojalność Tomka jest do pokonania (w zasadzie już się łamie, od kiedy poznałem Ewelinę), o tyle przeszkodą jest sama delikwentka.

— Kocham cię, prosiaczku! — mówi mi świeżo po lekturze *Kubusia Puchatka* w tłumaczeniu Ireny Tuwim.

— Tak — odpowiadam bez cienia radości w głosie.

— Nic mi więcej nie powiesz?

— Zrobisz coś na kolację?

Aby pozbyć się Agnieszki z mojego życia, przeszedłem przyspieszony kurs męskiego szowinizmu. Moim instruktorem był mój wuj, wielokrotny rozwodnik. Kto jak kto, ale on potrafi skutecznie pozbyć się kobiety (za cenę pewnych ustępstw dom, samochód, meble, domek letniskowy itp.).

— Musisz ją nieustannie źle traktować — mówił wuj, spoglądając na mnie z troską i niepokojem.

— Nie wiem, czy potrafię... W końcu to kobieta...

— Zaraz ci pokażę, jak to zrobić — powiedział mój wuj i zawołał swoją nową żonę. — Henia! Cho no tu!

— No, tyle musi ci wystarczyć — powiedział mi wuj po godzinie lekcji pogładowej. — Nie stać mnie na kolejny rozwód, a już dostarczyłem jej adwokatowi okazji do sporego zarobku.

Tak, więc wuj kosztem swojego szczęścia rodzinnego uczył mnie złego traktowania kobiet, co przyniosło wymierne rezultaty. Im gorzej traktuję Agnieszkę, tym większe mam wyrzuty sumienia, a ona jest coraz bardziej we mnie zakochana.

— Uwielbiam, kiedy jesteś taki stanowczy — powiedziała mi, kiedy wylałem do zlewu cały garnek ugotowanej przez nią zupy, uznawszy, że jest zbyt pomidorowa (to była pomidorowa).

Nie mogłem patrzeć w jej maślane oczy, nie mogłem patrzeć też w lustro. Bez słowa wyszedłem z kuchni i wróciłem po trzech godzinach kompletnie pijany, co jeszcze bardziej ją zauroczyło. A przecież nie pochodzi z rodziny patologicznej. Zupełnie nie rozumiem.

— Ona mnie w ogóle nie słucha — żalę się Tomkowi. — Żyje we własnym wyimaginowanym świecie.

— Wyimaco? — pyta Tomek, który wypił już cztery piwa przy mnie, a nie wiem, ile przedtem.

I z kim ja mam porozmawiać o moim parszywym życiu? Kto mnie zrozumie? Kto?

Ewelina

Greg przyjechał jak zawsze z pięciominutowym spóźnieniem. Jak zawsze miał problemy z zaparkowaniem swojego pięknego mercedesa. Jak zawsze wyglądał fantastycznie w nowiutkim garniturze od Hugo Bossa.

— Cześć, maleńka! Wyglądasz marnie. To nowa sukienka?

Zrobiłam najsmutniejszą z moich min.

— Stara. Tylko ta mi została...

Greg pokręcił ze zdumieniem głową.

— Nie mówiłaś, że ubrania też zabrała...

Nie mówiłam.

— Nie zdążyłam zajrzeć do szafy. Nie przyszło mi to do głowy. — Moja twarz wyrażała głęboką rozpacz. — Wiesz, to takie przerażające uczucie, przyjść do domu i nie znaleźć w nim tego, czego się spodziewasz... Ale nie stójmy na korytarzu. Wejdz do środka...

Greg powiesił na wieszaku marynarkę i odłożył reklamówki, które przywiózł ze sobą.

— Usiądź na taborecie. Albo nie, na materacu — zaproponowałam.

— A gdzie masz fotele, kanapę, telewizor — zdziwił się jeszcze bardziej Greg i stanął bezradnie na środku pokoju.

— A jak myślisz?

— Ona?

— A niby kto? Dominika pożyczyła mi materac, żebym miała, na czym spać. Dobrze, że przynajmniej na nią mogę liczyć.

— Nie martw się — powiedział uspokajająco Greg. — Jutro pojedziemy na zakupy. Będziesz miała wszystko nowe, ładniejsze. A teraz zjedzmy coś, dobrze? Jestem strasznie głodny. Przywiozłem kurczaka i frytki.

Podniosłam się z podłogi i poszłam do kuchni. Po chwili rzuciłam się w jego ramiona z oczami pełnymi łez.

— Co się stało, Ewe, co się stało? Mów!

— Och, Greg... — jęknęłam. — Nie mam sztućców!

— Już dobrze, już dobrze... Sztućce też kupimy... Zrobiłem ostatnio bardzo dobry interes, będziemy się cieszyć prowizją — mówił Greg, głaszcząc mnie uspokajająco po głowie.

- Greg, jaki ty jesteś dla mnie dobry... Co ja bym bez ciebie zrobiła...
- Nie mów tak. Dałabyś sobie doskonale radę...

Dominika powiedziała, że przesadziłam. Że nie wolno mi tak wykorzystywać Grega. Ale co ona tam wie, przecież ma bogatych rodziców, którzy kupują jej wszystko, co zechce.

Dominiczka chce to, Dominiczka chce tamto, tatuś zaraz biegnie i kupuje. Dominika od pewnego czasu próbuje się od nich uniezależnić i dlatego zaczęła pracować jako kelnerka. Tylko że jej pensja plus napiwki starczą ledwie na kosmetyki i dojazdy do pracy (stale się spóźnia i musi brać taksówkę, a jak wraca z pubu o drugiej, to też nie czeka na nocny autobus). Trzeba przyznać, że napiwki ma całkiem sute. W tej branży wszystko zależy od tego, jak dziewczyna wygląda.

Dominika wcale nie jest dobrą kelnerką. Na początku ciągle coś tłukła, oblewała klientów, zrzucała ze stołu... I zauważyła, że faceci wcale się na nią nie złością (pod warunkiem, że nie oblewa im spodni wrzątkiem). Widząc nieporadność Dominiki, chętniej nawiązują rozmowę, współczują jej tak ciężkiej pracy, pretensji, których zaraz wysłucha od szefowej, i dają jej większe napiwki żeby zrekompensować wszystkie te przykrości. Teraz Dominika systematycznie coś tłucze przy klientach.

— O Boże, przepraszam — mówi do klienta, pod którego nogami leżą szczątki cukiernicy. Dominika jako profesjonalistka nie rozbija już naczyń wypełnionych płynem zawsze można kogoś opryskać i zamiast nici sympatii reakcja będzie agresywna. — Nic się panu nie stało? — pyta zaraz troskliwie, nachylając się po skorupy.

— Nie, wszystko w porządku — odpowiada gość, korzystając skwapliwie z możliwości zajrzenia Dominice za dekolt.

— Jestem taka niezgrabna — tłumaczy się Dominika.

— Wręcz przeciwnie — próbuje komplementu klient.

— Wie pan, już trzecia rzecz dzisiaj mi leci z rąk. Szefowa mnie po prostu wyrzuci. Nie zarobię nawet na to szkło.

— Każdemu może się zdarzyć — odpowiada gość, z zainteresowaniem oglądając teraz pozostałości Dominiki krzątającej się wokół jego krzesła.

— Spojrzałam na pana i trach... po cukiernicy — mówi Dominika, a facetowi już jest gorąco.

— Chętnie za nią zapłacę — mówi klient.

— Słucham? — Przepraszam, muzyka jest za głośna.

— Mówię, że zapłacę za nią. Za tę cukiernicę.

— Ależ nie! To przecież nie pana wina...

— Może i moja. Jakby mnie tu nie było, pani by się mnie nie wystraszyła i cukiernica byłaby cała...

— Ale ja się pana wcale nie wystraszyłam... Przecież pan wcale nie jest straszny... — mówi Dominika i lekko się czerwieni.

Nie mam pojęcia, jak ona to robi, ale potrafi zalać się rumieńcem, kiedy tylko uzna to za konieczne.

Oczywiście klient jest już jej. A cukiernice sama kupuje, żeby nikt nie miał do niej pretensji za niszczenie firmowych rzeczy. Zresztą są to najtańsze cukiernice, jakie można dostać w sklepach. Nigdy jej za to nie potępiałam, natomiast ona uznała mój pomysł za wysoce niestosowny i nieetyczny.

— Wiesz, myślę, że przeginasz — powiedziała Dominika, kiedy poprosiłam ją, żeby pomogła mi wynieść z domu meble.

Przecież nie dam rady sama wynieść kanapy, a nie chcę o nic prosić sąsiadów, którzy chyba mnie nie znoszą. Może z wyjątkiem tej dziewczyny z filmówki, która mieszka pode mną.

— To bardzo ładnie z jego strony, że zaoferował ci pomoc w kłopotach, ale nie powinnaś tego nadużywać — tłumaczy mi Dominika. — No i nie powinnaś robić z Patrycji jeszcze większej złodziejki. To nieuczciwe.

Może gdybym powiedziała Dominice, jak za jej plecami wyrażała się o niej Patrycja, nie miałyby ochoty brać teraz jej strony. Jestem jednak zbyt delikatna, żeby powtórzyć jej takie grubiaństwa. Poza tym boję się, że mogłaby mi nie uwierzyć. Powie, że robię z Patrycji demona, bo ukradła mi kilka rzeczy. Ciekawe, jak Dominika czułaby się, gdyby to ją okradła.

— Czy mogłabyś przyprowadzić swojego chłopaka z kolegą, bo sama nie dam rady wynieść kanapy? — Udałam, że nie słyszałam jej morałów.

Chłopak Dominiki jest dość silny, w każdym razie tak przechwala się Dominika. Poznała go na wiejskiej dyskotecie był jedynym gościem, z którym ochrona nie mogła sobie poradzić. Do tej pory nie mogę pojąć, dlaczego Dominika się z nim spotyka. Nie czepiam się tego, że jest ze wsi. Nie o to chodzi. Problem w tym, że to okropny prymityw, który nie pasuje do takiej inteligentnej laski jak Dominika.

— On jest taki silny — mówi Dominika, kiedy pytam ją, o co chodzi w tym, że jest z Markiem.

— Czy to ci naprawdę tak bardzo imponuje? — zadaję pytania pomocnicze. — O czym wy w ogóle rozmawiacie? Przecież on nawet nie skończył zawodówki.

— O samochodach — odpowiada Dominika.

— O samochodach? Przecież ty się nie znasz na samochodach. Nawet nie masz prawa jazdy.

— On mi opowiada o swoim BMW.

— Kupił sobie BMW? Za co? Przecież jeździł maluchem.

— Nie, nie kupił sobie BMW. Opowiada mi o BMW, które sobie dopiero kupi. Mówi, że w takim BMW to będę dopiero wyglądała — rozmarzyła się moja przyjaciółka.

Dominikę czasem trudno zrozumieć. Przykro mi to mówić, bo przecież to moja najlepsza przyjaciółka, od kiedy Patrycja mnie okradła.

— Posłuchaj, przecież gdybyś poprosiła rodziców, to mogliby ci kupić BMW... — zaproponowałam nieśmiało.

Dominika robi minę, jakby zobaczyła żywego słonia na środku mojego pokoju.

— BMW? Po co mi BMW? Przecież ja nawet nie mam prawa jazdy.

I jak tu zrozumieć kobiety?

— Kanapa? Pozbywasz się jej? Jest przecież bardzo ładna — zapytała Dominika, kiedy wspomniałam przez telefon o wynoszeniu mebli.

— Możesz ją sobie wziąć, tylko zorganizuj mi szybko transport.

Dominika od razu zmieniła ton na dużo przyjaźniejszy.

— Jasne, już dzwonię po Marka.

I tak zatkałam Dominice usta kanapą. Potem się okazało, że chciała jeszcze krzesła. W końcu krzesła sprzedałyśmy, a pieniądze za nie dałam na sierociniec. Telewizor pożyczył Marek, na próbę. Obiecał, że kupi, jeśli się będzie dobrze sprawował.

Jakub

Agnieszka trochę się spóźniła, czym zrobiła mi nadzieję, że zaniechała przyjazdu. Niestety, tak się nie stało. Obwiązałem sobie twarz koszulą i liczyłem na to, że Agnieszka jednak nie zna się na śwince lepiej niż ja.

Otworzyłem jej drzwi, prezentując wyjątkowo zboląłą minę. Nie było to bardzo trudne — zawsze mam taką minę, kiedy przyjeżdża.

— Ojej, jak ty źle wyglądasz — powiedziała na przywitanie.

— Miło, że przyjechałaś, chociaż nie chciałem. Ty też nie wyglądasz najlepiej.

— Wszystko przez te pociągi. Zawsze taki tłok w piątki. Jestem strasznie zmęczona.

— Trzeba było zostać.

— Najpierw rzeczywiście chciałam przyjechać w przyszłym tygodniu, kiedy powiedziałeś, że jesteś chory. Ale jak powiedziałeś, że to świnka, postanowiłam, że od razu przyjadę. Musimy zadbać o twoje klejnoty.

— Słucham?

— O klejnoty. Lekarz nic ci nie powiedział?

— Lekarz? Co miał mi niby powiedzieć?

— Czy ty w ogóle byłeś u lekarza?

— Nie. Nie byłem... Byłem u lekarki. Wiesz, że nie lubię lekarzy.

— Co za różnica?

— Zasadnicza. Wolę, kiedy bada mnie... kobieta. Czuję się nieswojo, gdy dotyka mnie obcy mężczyzna.

— A gdybyś go znał lepiej?

— Daj spokój!

— Więc co powiedziała ta twoja lekarka?

— Że do wesela się zagoi.

Zupełnie niepotrzebnie palnąłem z tym weselem. Gotowa to wykorzystać przeciwko mnie.

— Co ci przepisała?

Wesele zostawiła w spokoju, ale i tak zadaje coraz trudniejsze pytania.

— Mam brać aspirynę, witaminę C i herbatę z cytryną — powiedziałem niepewnie.

— I coś jeszcze? Tylko tyle?

Mówiła, że najlepiej pomaga spokojne leżenie w domu i nieprzyjmowanie gości.

— Konował. — Agnieszka wyraziła swoją dezaprobatę.

— To bardzo dobry lekarz. — Dlaczego ona musi ciągle obrażać wszystkie kobiety, które znam? — Leczyła mojego brata...

— Mówiłeś, że twój brat nie żyje. Zdaje się, że zmarł na grypę — przypomniała mi Agnieszka.

— Ona miała wtedy urlop! Gdyby była na miejscu, mój brat na pewno dalej by żył! — Gdybym był kobietą, w tym miejscu uznałbym za stosowne rozplakać się z żalu za utraconym rodzeństwem. Ale w tym związku to ja byłem macho, więc tylko zrobiłem grobową minę.

— Przepraszam — powiedziała skruszona Agnieszka. — Po prostu martwię się o ciebie. Zrobię ci herbatę z cytryną.

— Nie mam cytryny — powiedziałem ponuro, żeby odczuła niestosowność swojego zachowania.

— Przywiozłam ze sobą. — Agnieszka udała się do kuchni. — Ale tu brudno! — skomentowała warunki panujące w moim mieszkaniu.

— Jestem chory, nie mogę sprzątać!

— Nie martw się, ja to zrobię.

Jedyna dobra wiadomość.

A może nie jedyna?

— Jutro wyjeżdżasz? — zapytałem, kiedy postawiła przede mną szklanekę brązowego wrzątku.

— Wyjadę, jak ci się poprawi. Jak trzeba będzie, zostanę cały następny tydzień.

Co za przerażająca informacja.

— A twoje studia? Nie są ważne?

— Ty jesteś ważniejszy. Wypij herbatę.

Niby udaje, że o mnie dba, a chce, żebym poparzył sobie podniebienie.

— Wiesz, jutro jest kwinkanki Księżycy i Merkurego. Sprawdziłam to w pociągu. Pozbieram dla ciebie zioła.

A więc postanowiła mnie otruć. Może jednak potrafi czytać w moich myślach?

— Czy ty potrafisz czytać w moich myślach? — zapytałem wprost.

— Co takiego, głuptasku?

— Czy czytasz w moich myślach? I nie nazywaj mnie głuptaskiem.

— Jesteś głuptaskiem, skoro zadajesz takie pytania. Oczywiście, że nie czytam w twoich myślach. Jak miałabym to robić?

Może jednak nie wie, że umówiłem się z Ewelina? Może nie chce mnie otruć?

— Lepiej już się połóż. Ja pójdę zrobić coś z tą kuchnią — powiedziała Agnieszka i przykryła mnie kocem, chociaż nie było mi zimno. Nie chciało mi się spać, ale wolałem udawać, że śpię, niż rozmawiać z Agnieszką.

Rano, po przebudzeniu spostrzegłem, że Agnieszka leży koło mnie. Ostrożnie wstałem i zajrzałem do kuchni. Lśniła czystością. Może Tomek ma rację, mówiąc, że powinienem przestać szukać? Czy Ewelina dałaby radę tak wyszorować moją kuchnię w ciągu jednego wieczoru? Może to ze mną jest coś nie tak, a nie z Agnieszką?

Wróciłem do pokoju, rozmyślając nad tym, jakie to ze mnie bydlę. Dziewczyna przejechała czterysta kilometrów, kiedy się do wiedziała, że mam świnkę. A ja? Ja ją tylko oszukuję i obrażam.

Spojrzałem na Agnieszkę. Leżała na boku z potarganymi jasnymi włosami, spośród których wyglądały ciemne odrosty. Z jej otwartych ust sączyła się strużka śliny, wprost na moją poduszkę. Na palcach podszedłem do telefonu i cichutko wyniosłem go do łazienki.

— Tomek? Cześć, tu Kuba.

— A cześć. Obudziłeś mnie.

— Przepraszam, stary, musisz mi pomóc.

— Śniło mi się, że jestem z Dominika, wiesz, tą kelnerką z Irish. Właśnie zdejmowałem jej stanik, kiedy zadzwoniłeś.

— Słuchaj, bardzo cię przepraszam, ale mam problem z Agnieszką.

— Co, poznała się, że nie masz świnki?

— Nie, pójdzie zbierać dla mnie ziółka. Muszę się uwolnić od niej na dzisiejszy wieczór.

— Tylko na dzisiejszy? Myślałem, że w ogóle chcesz się od niej uwolnić...

— Żartujesz sobie ze mnie, a sytuacja jest poważna. Jestem umówiony z Ewelina.

— Ty to masz farta, dwie kobiety naraz...

— Obudź się! Agnieszka jest u mnie. A Ewelina ma przyjść na kolację. Kiedy Agnieszka ją zobaczy, zabije mnie i ją, a potem ciebie.

— A mnie za co?

— Bo cię nie lubi! Stary, proszę cię, zabierz ją gdzieś na wieczór. Na jakiś koncert albo teatr alternatywny. Cokolwiek będzie alternatywne, na pewno jej się spodoba.

— Jest coś takiego dzisiaj, jakieś alternatywne show czy jakoś tak...

— Widzisz! Jak chcesz, to potrafisz!

— Ale na to są strasznie drogie bilety!

— Ja stawiam. Nieważne, ile kosztują. Zapłać, potem ci oddam.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Zajęte! — krzyknąłem. — Muszę kończyć, zadzwoń, jak będziesz miał bilety.

— Rozmawiasz przez telefon w łazience? — zapytała Agnieszka, gdy zobaczyła mnie z aparatem.

— Tylko jak dzwonię do rodziców. Bardzo się denerwuję i wtedy lepiej mieć blisko do... no wiesz...

Przy śniadaniu postanowiłem rozwiązać problem dzisiejszego wieczoru.

— Wiem, że masz w poniedziałek urodziny. I właśnie dlatego przygotowałem dla ciebie bardzo fajny prezent.

Nie ma to jak dobra reklama.

— Naprawdę, prosiaczkę?

— Tak. Właściwie to niespodzianka i nie mogę powiedzieć ci szczegółów.

— Niespodzianka? Dla mnie? Jaki jesteś wspaniały...

— Nic się chyba jednak nie stanie, jeśli powiem ci, że to jedyna w Polsce, nieprawdopodobnie alternatywna impreza, na którą zdobyłem bilety. Naprawdę sporo mnie to kosztowało.

— Impreza? Alternatywna? Kiedy? — Oczy Agnieszki rozjarzyły się na słowo „alternatywna”.

— Dzisiaj.

— Ale ty jesteś chory.

— Właśnie, dlatego poprosiłem Tomka, żeby z tobą poszedł. Będziesz miała towarzystwo...

— Nie lubię Tomka. Poza tym mam się tobą opiekować...

— Proszę, idź na tę imprezę. Nie psujmy sobie zabawy moją chorobą. Wyobraź sobie, że idziesz tam ze mną.

— Ale...

— Nie ma żadnego ale. Bardzo chciałem zrobić ci prezent. Czy to moja wina, że w twoje urodziny mam świnkę?

— Mam te bilety. Pożyczyłem pieniądze od ojca. Obiecałem, że oddam jutro — zatelefonował Tomek.

— OK, kiedy się zaczyna?

— O siódmej. To się nazywa „Alternatywna rewia i kabaret”...

— Nieważne przerwałem mu. Zabierz ją stąd o szóstej, będę miał czas zamówić coś do jedzenia z restauracji. Jeszcze jedno, bądźcie tam jak najdłużej. Najlepiej zabierz ją jeszcze do knajpy albo do siebie. I zatrzymaj na całą noc.

— Na całą noc? Przecież to twoja dziewczyna!

Jaki on czasem głupi.

— Zapomnij o tym, że to moja dziewczyna. W ogóle o tym nie myśl. Rób z nią, co chcesz, tylko nie wracajcie przed północą.

— Dobra, przyjadę do ciebie o szóstej.

— Dzięki. Świetny z ciebie kumpel.

Odetchnąłem z ulgą. Wszystko zmierzało w dobrym kierunku. Agnieszka właśnie zabrała się za sprzątanie pokoju. Zdaje się, że wszystko będzie dobrze. Byle tylko Ewelina przyszła.

Ewelina

Na drugi dzień znowu nie poszłam na zajęcia. To znaczy chciałam iść, nawet się przygotowałam, ale rano Greg przyjechał zabrać mnie na zakupy. Stwierdziłam, że wobec konieczności dokonania zakupów moje kształcenie się może trochę poczekać.

Zjeździliśmy wszystkie salony z meblami, żeby wybrać coś odpowiedniego. Potem kupiliśmy piękny, dwudziestojednocalowy telewizor. Greg nie zapomniał też o ubraniach chyba nigdy nie kupiłam sobie tylu rzeczy. Kupiliśmy też sztuce, te, które od dawna mi się podobały. A na koniec zabrał mnie do jubilera...

Cudowny dzień. A wszystko dzięki Patrycji!!! Kto by pomyślał, że tyle będę jej zawdzięczać.

Obiecałam Gregowi, że upiekę ciasto. Pogrzebałam w przepisach babci i w szafkach. Na prosku do pieczenia znalazłam przepis na babkę. Szybko wyjęłam potrzebne składniki. Okazało się, że nie mam mąki. Ubrałam się i wyszłam, żeby ją kupić w spożywczym w bloku obok. Jak na złość był remanent. Trudno do następnego jest jakieś czterysta metrów. Na szczęście idzie się przez park i jest bardzo przyjemnie.

Wracając z mąką i zapachem do ciasta (postanowiłam, że będzie pachnieć migdałami), nie oparłam się pokusie, żeby usiąść na chwilę na ławce w parku i cieszyć się ostatnimi promieniami jesiennego słońca. Spojrzałam na zegarek — miałam jeszcze sporo czasu do przyścia Grega, najwyżej ciasto będzie stygło, kiedy przyjdzie. Nie będzie miał o to pretensji, skoro upiekłam je specjalnie dla niego. A że ciepłego ciasta nie wolno jeść (ciekawe dlaczego), to się nie wyda, jeśli będzie miało zakalec.

Kiedy tak siedziałam, myślałam o Gregu, o tym, czy jestem w stanie jakoś zasugerować mu konieczność zakupu kuchenki mikrofalowej.

— Zaraz przyniosę ciasto powiem Gregowi. — Mam nadzieję, że będzie ci smakowało. Niestety trochę się przypaliło. Ale jak się zeszkrobie spód, będzie dobre. Trzeba też odciąć trochę z góry i z boku. Mam fatalny piekarnik... Gdybym miała porządną kuchenkę mikrofalową, to, co innego... No, ale taka kuchenka kosztuje fortunę... Może w przyszłym miesiącu, po wypłacie... Zatrudniłam się jako sprzątaczką w fabryce. Będę sprzątała na nocnej zmianie.

Ciekawe, czy Greg uwierzyłby mi, że w kuchence mikrofalowej można upiec ciasto. Lepiej nie przeginać.

Przed ławką stała tabliczka z napisem „Nie deptać trawników!” i mniejszym dopiskiem „Szanuj zielen”. Zupełnie nie przeszkadzało to młodej dziewczynie o nieprawdopodobnie jasnych blond włosach, poruszającej się zygzakiem wśród trawy. Schylona chodziła wolno od kępki do kępki, jakby szukała czegoś bardzo ważnego.

— Szukasz czegoś? Pomóc ci? — Odezwała się we mnie solidarność okularników. Pomyślałam, że może szuka szkieł kontaktowych albo po prostu nie widzi tego, czego szuka. Mnie się to zdarza dość często, jeśli zostawię w domu okulary i coś upadnie mi na ulicę.

— Dziękuję. Poradzę sobie. Zbieram zioła — odpowiedziała dziewczyna i spojrzała na mnie z sympatią. Chyba z sympatią.

— Zioła? W parku?

— Jest właśnie kwinkunks Księżycy i Merkurego. To idealny moment na zbieranie ziół — wyjaśniła, nie odrywając swych czujnych oczu od trawnika.

— No tak — powiedziałam zaintrygowana, żeby jakoś wyrazić swoje zainteresowanie. — Zupełnie zapomniałam, że dzisiaj kwinkunks.

— Kwinkunks — poprawiła mnie blondyna. — Mój chłopak ma świnkę i strasznie cierpi — dodała po chwili. — Prosił mnie, żebym coś zrobiła, bo umrze. Wiesz, jacy są faceci, nie potrafią znieść bólu.

— Wiem — odpowiedziałam. — Gdyby mieli rodzić dzieci, ludzkość dawno by wymarła. Dziewczyna zaśmiała się.

— Narzekają, że muszą się codziennie golić... Spróbowałiby się wydepilować... Widziałas gdzieś babkę?

— Prawdę mówiąc, zupełnie się na tym nie znam. Miałam słabe oceny z biologii.

— A szkoda. Zioła bardzo się przydają. — Popatrzyła na mnie tak, że ciarki przeszły mi po krzyżu. — Na migreny i... facetów.

— Skąd wiesz, że mam problemy z... migreną? — zapytałam kompletnie zaskoczona. Zielarka usiadła przy mnie na ławce.

— Tak mi się jakoś pomyślało. Zgadłam?

— Ale nie zgadłaś drugiego. Nie mam problemów z facetami — powiedziałam z satysfakcją. Niech sobie nie myśli.

— Tak ci się tylko wydaje. — Znowu popatrzyła na mnie tym świdrującym wzrokiem. — Z nimi zawsze są problemy.

— Z nimi zawsze są problemy — powtórzyłam mechanicznie. — Pewnie masz rację. — W każdym razie nigdy nic nie wiadomo — zgodziłam się.

— Muszę już iść. Nie znalazłam jeszcze babki, a kwinkunks niedługo się skończy. — Podniosła się z ławki.

— Poczekaj, jak masz na imię? — Chciałam dokończyć tę rozmowę.

— Agnieszka.
— A ja Ewelina.
— Miło mi cię było poznać, Ewelino.
— Czy mogłabyś dać mi swój telefon, na wypadek gdyby, no wiesz... migrena? — zapytałam.
— Albo facet?
Uśmiechnęłam się.
— Nigdy nie wiadomo...
Teraz i ona się uśmiechnęła.
— Nie jestem stąd. Ale mieszka tu mój chłopak. Bywam tu co jakiś czas. Jeśli chcesz, to dam ci numer do niego.
— Będę ci wdzięczna.
Jest bardzo pewna siebie, skoro daje mi numer telefonu do swojego faceta.
— Chociaż lepiej nie. Dam mój numer do domu, tak łatwiej mnie złapać. — Po chwili jednak zwątpiła, czy powinna poznać mnie ze swoim chłopakiem.
— Nie ufasz mu?
— Kubie? Nie sądzę, żeby ci się spodobał. I nie byłby w stanie poderwać żadnej dziewczyny. To kompletny nieudacznik...
Nie mówiłabym takich rzeczy o moim mężczyźnie, nawet gdyby był kompletnym nieudacznikiem.
— Przepraszam, że zapytam... To, dlaczego z nim jesteś? — Byłam chyba niedelikatna.
Agnieszka zawahała się
— Przepraszam, nie powinnam się wtrącać. — Postanowiłam wycofać się z głupiej sytuacji.
Agnieszka zastanowiła się jeszcze chwilę.
— Mamy idealny horoskop. Nasze dzieci będą genialne — odpowiedziała.
A ja myślałam, że powie, że jest świetny w łóżku.
— Dlatego tak martwi mnie ta świnka. Wiesz, czym to grozi chłopakowi w tym wieku.
— To rzeczywiście problem.
— Naprawdę muszę już iść. — Zabrała z ławki koszyczek z zielskiem.
— Zadzwoń do ciebie.
— Na pewno. — Uśmiechnęła się i poszła szukać babki w krzakach za ławką. Dziwna dziewczyna.
Moje ciasto! Greg przychodzi za godzinę!
O Boże, zupełnie zapomniałam o kolacji u Kuby. Przecież wieczorem ustawiamy z Gregiem meble. Muszę zaraz do niego zadzwonić. Jestem wstrętna, że nie powiedziałam mu wcześniej, że nie przyjdę. Mam nadzieję, że jest w domu albo ma automatyczną sekretarkę.
— Tu poradnia zdrowia psychicznego. Mówi ordynator Woźniak. — Usłyszałam wesoły głos.
— Cześć, tu Ewelina.

— O, cześć!

— Słuchaj, wiem, że obiecałam ci dzisiaj przyjść na kolację... Ale nie mogę. Naprawdę. To nie wykręt.

— O nie! Tyle się nagotowałam... — Wyglądało na to, że jest kompletnie załamany.

— Bardzo cię przepraszam...

— Przepadnie ci kurczak po hiszpańsku, sałatka meksykańska i deser lodowy z lodów własnej roboty...

Zdaje się, że on naprawdę potrafi gotować. Niesamowity chłopak. Szkoda, że tego nie spróbuję.

— Naprawdę ugotowałeś to wszystko dla mnie?

— Naprawdę. Przyjdź... Chociaż na, godzinkę. Zjesz wszystko i uciekniesz.

Gdyby mieszkał gdzieś blisko...

— Nie mogę, ale jakoś ci to zrekompensuję. Posłuchaj, w przyszłym tygodniu ja zapraszam cię na kolację. Do mnie.

— W przyszłym tygodniu? Serio? — Ucieszył się.

Greg wyjeżdża we wtorek do Londynu. Ma wrócić dopiero w piątek. We wtorek umówiłam się już z Dominiką.

— Może w środę? Co o tym myślisz?

— Środa? Znakomicie. O ósmej?

— Zapisz sobie mój adres...

Jakub

Jak to się wszystko zawsze znakomicie składa. Jakie ja mam niesamowite szczęście. Jak świetnie sobie radzę z przeciwnościami losu... Zwała mi się na głowę Agnieszka, ale i tak mam wolną chatę, w dodatku posprzątaną. Cały dzień muszę leżeć w łóżku i nie ma mowy o gotowaniu, ale wszystko świeże i wykwintnie podane przywożą mi z restauracji. I wtedy Ewelina dzwoni, że nie przyjdzie.

Już nie chcę liczyć, ile wydałem na ten wieczór. Nie stać mnie na fundowanie Tomkowi i Agnieszce alternatywnych wieczorów rozrywki. I także nie stać mnie na jedzenie z tej restauracji. Ale to wszystko nieważne. Gdyby przyszła, w ogóle bym się nad tym nie zastanawiał. Ewelina rozzłościła mnie strasznie i odkryłem, że nie potrafię się na nią złościć. To niesamowite, że nie pozwoliłem sobie na żadną z tych sarkastycznych uwag, jakimi obrzucam Agnieszkę od rana. Ani odrobiny złośliwości, choć miałbym przecież prawo do uzasadnionych pretensji.

Prawda, obłaskawiła mnie niemal natychmiast, proponując kolację u siebie. To oczywiście rozwiązanie znakomite pod każdym względem nie muszę sprzątać, gotować, wynosić butelek do skupu. Tylko dlaczego dzisiaj, skoro już uporałem się z rozlicznymi przeciwnościami losu, Ewelina postanowiła nie przyjść? Gdyby zadzwoniła, chociaż godzinę wcześniej, przynajmniej poszedłbym z Agnieszką na alternatywny wieczór rozrywki. A tak siedzę sam w domu, przy pełnym jedzenia stole. Jedyne, co mogę zrobić, to poczekać z tym wszystkim na Agnieszkę i powiedzieć, że to kolacja na jej cześć. Tylko, że kazałem Tomkowi wracać z nią jak najpóźniej, a tymczasem robię się strasznie głodny. Muszę zobaczyć, co jest w lodówce. Mhm... Zupa szczawiowa? Agnieszka rzeczywiście pichciła jakieś zielsko przed samym wyjściem. Nie lubię szczawiowej, ale trudno. Może na zimno będzie lepsza?

Ohydne!!! Jak ona coś takiego mogła ugotować? To już ja lepiej sobie radzę w kuchni! Nie mogła kupić jakiejś normalnej zupy w proszku? Wylałem to wszystko do klozetu, żeby nie musiał tego jeść po jej powrocie. Szkoda, że nie gotuje tak jak sprząta, byłoby jej łatwiej znaleźć męża.

Sprawdzam, co jeszcze można zjeść, ale Agnieszka uparła się na generalne porządki i wyrzuciła wszystkie zapasy żywności. Twierdziła, że to jedzenie „przeterminowane” i że mogę się zatruć. Też coś. Jadłem wcześniej i jakoś się nie zatrułem. A teraz jestem strasznie głodny...

Kurczak był naprawdę znakomity. Początkowo zamierzałem zostawić część dla Agnieszki, ale przecież z sałatki także powinna się ucieszyć. Lody też zjadłem, i tak prawie się rozpuściły, bo zamrażalnik w moim starym mińsku jest do niczego. Kiedy Agnieszka wróci, czeka na nią wykwinna kolacja przy świecach — sałatka i szampan! Że też nie zostawiłem dla niej trochę jej własnej zupy szczawiowej!

Tomek jest naprawdę moim najlepszym kumplem. Biedaczysko, męczy się z Agnieszką od czterech godzin. No właśnie, już dziesiąta, może zjem trochę tej sałatki. Po prostu spróbuję, czy jest dobra. Jeśli wrócą po północy, nie będę miał apetytu. Lepiej teraz trochę przekąszę.

Sałatka była tak dobra, jak wyglądała. Przypomniało mi się, że Agnieszka nigdy nie jada niczego po dwudziestej. Jest w tej kwestii bardzo zasadnicza — podobno od jedzenia o tej porze się tyje. Do jutra sałatka byłaby nieświeża, więc zjadłem całą. Nie mogę przecież podsuwać Agnieszce „przeterminowanego” jedzenia — mogłaby się zatruć. A wtedy znowu ja musiałbym się nią opiekować.

Już prawie północ. Mam chandrę. Czuję, że Ewelina nigdy się we mnie nie zakocha. Na pewno nawet się jej nie podobam. Dzisiaj wystawiła mnie do wiatru. Ta kolacja w środę to tylko wymówka, żebym nie marudził i nie wydzwaniał do niej. Ona jest taka ładna. I mądra. To zaskakujące, ale mimo jej urody ona nie pociąga mnie fizycznie, tak jak powinna pociągać taka dziewczyna. Bardziej liczy się dla mnie, jak się zachowuje, co mówi, jak się śmieje. Wcale nie myślę o tym, żeby iść z nią do łóżka. Oczywiście nie mam nic przeciwko, nawet bardzo bym chciał, ale wcale mi się z tym nie spieszy ani nie wydaje mi się to najważniejsze. Prawdopodobnie to wpływ tych wszystkich głupich pism kobiecych, które podsuwa mi do czytania Tomek.

Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy. Ewelina nigdy mnie nie pokocha. Jestem kompletnym nieudacznikiem. Nie potrafię nawet nauczyć się hiszpańskiego. Nie jestem bogaty i moi rodzice nie kupią mi pięknego samochodu. Nawet nie studiuje na jakimś modnym kierunku, jak prawo, marketing czy medycyna. Poza tym Ewelina na pewno ma już jakiegoś faceta. Jak mawia mój znajomy, „Taki towar sam nie chodzi”. Jestem wstrętny, że tak o niej mówię.

Ja tu cierpię, a mój przyjaciel bawi się w najlepsze z moją dziewczyną. Już minęła pierwsza, a oni jeszcze nie wrócili. Kto wie, może są u niego w domu i właśnie TO robią... Nie wytrzymam, muszę się napić!

Wypiłem całego szampana i wcale nie czuję się lepiej. Właściwie boli mnie brzuch. Za dużo zjadłem, a ten szampan, chociaż nie był przeterminowany, nie bardzo mi posłużył. Wyobrażam sobie, jak Tomek i Agnieszka leżą w łóżku (on na niej).

— Przestań! Nie mogę... Ze względu na Kubę... — mówi Agnieszka.

Ten skureczybyk, mój przyjaciel, na chwilę się powstrzymuje i mówi:

— On chciałby, żebyśmy TO zrobili!

— Chciałby? Dlaczego? — dziwi się Agnieszka, bawiąc się włosami. Swoimi włosami. Na głowie.

— Jest chory — mówi Tomek, ten oszust i naciągacz. — Wie, że nie może dać ci szczęścia. Już nigdy nie będzie mógł ci go dać...

— Och, nie mów tak... — protestuje Agnieszka, jednocześnie rozpinając biustonosz.

Szampan mi zaszkodził. Dobrze, że Ewelina go nie piła. Biedna Agnieszka! Pchnąłem ją do łóżka z Tomkiem! Nikomu bym tego nie życzył. Brrr...

Oczywiście Agniecha może odmówić, a wtedy biedny Tomek na pewno wpadnie w depresję. Będzie mówił, że jest zupełnie bezwartościowym facetem i że żadna kobieta nigdy go nie zechce. Wtedy będę musiał mu powtarzać, że to nieprawda, że na pewno będzie miał dziewczynę, jedną, dwie, trzy, ile zapragnie, kiedy nasze rówieśniczki trochę zmadrzeją i poznają się na tym, co to jest prawdziwy facet. Rówieśniczki albo te, które teraz dopiero idą do ogólniaka.

Pocieszanie przyjaciela należy oczywiście do moich obowiązków i nigdy z tego się nie wykręcam. Jednak jeśli chodzi o Tomka problemy z kobietami, rzecz już jest tak nudna, że czasem tracę cierpliwość i zamiast go uspokoić, mówię coś, co jeszcze bardziej utwierdza go w jego kompleksach.

— Nie przejmuj się stary, one interesują się tylko bogatymi — mówię, a on wtedy wścieka się, bo wie, że moim rodzicom powodzi się lepiej niż jego matce.

— Wiesz, te najładniejsze są strasznie próżne — powiedziałem mu innym razem, a on na to, że w takim razie umówi się z moją siostrą.

I tak zamiast go uspokajać, tylko złoścę go lub dołuję. Jestem złym przyjacielem. Pcham Tomka w ramiona takiej strasznej jędzy jak Agnieszka. Tego się nie robi przyjacielowi. Ciekawe, czy w lodówce jest jakieś piwo. Wezmę szkło, nie lubię pić z puszki.

Śniło mi się, że zasnąłem na kanapie, a Agnieszka obudziła mnie silnym ciosem w szczękę.

— Gdzie jest ta suka? — wrzasnęła moja chodząca na siłownię dziewczyna.

— Jaka suka? — powiedziałem półprzytomnie, gwałtownie wyrwany ze snu z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu lekko złagodzonego przez poduszkę. — Ja nie mam żadnego psa!

— Gdzie jest ta... Ta, z którą urządziłeś tu sobie romantyczną kolacyjkę!

— Ewelina? — Byłem senny, zaatakowany i pod wpływem alkoholu.

— Więc jest ktoś inny. — Rozpłakała się Agnieszka. — Dlaczego mi to robisz? Dlaczego jesteś taki wstrętny! Wszyscy faceci są ohydni...

— Właściwie to jeszcze nic nie zrobiłem — próbowałem się tłumaczyć.

— Tak się starałam — nie przerywała Agnieszka — przyjechałam, żeby ci było przyjemnie, opiekowałam się tobą w zdrowiu i chorobie. Byłam ci matką i kochanką. Zbierałam dla ciebie zioła i kapsle od piwa, bo mówiłeś, że można wygrać samochód. Jesteś wstrętną, żalowaną i obrzydliwą świnią. W dodatku wcale nie masz świnki.

— Uspokój się. To wszystko tylko zły sen.

— Zły sen?

— Tak. Zły sen. Zjadłem za dużo i mam niestrawności. Może nawet powinienem iść do toalety i mój układ nerwowy sygnalizuje mi to w ten sposób.

— Ty cholerny egoisto!!! A masz! — Przyłożyła mi znowu. — Zły sen? Ja ci dam zły sen; Ja jestem twoim złym snem? Wolałbyś, żeby przyśniła ci się Ewelina? A mama mnie ostrzegła, nie wiąż się z nim, to impotent!

— Co takiego?

— Impertynent! Zaraz, to ty jednak nie masz świnki?

— Nie mam żadnej suki ani żadnej świnki.

— Czyli możemy mieć dzieci?

— Tak. Nie! Jakie znowu dzieci? Żadnych dzieci!

— Zamknij się, bo ci znowu przyłożę — powiedziała Agnieszka i zaczęła się rozbierać. — Zróbmy to teraz!

— Co? — zdziwiłem się, a kiedy rozpięła stanik, wrzasnąłem: — Przestań, nie rób tego!

— Jesteś wstrętną egoistyczną kreaturą! Jesteś alkoholikiem i babiarzem! — mówiła, zdejmując resztę ubrania. — Weź mnie!!!

Czy mogłem odmówić?

Mogłem.

Ale nie odmówiłem.

Obudził mnie cios w szczękę. „To tylko zły sen” — pomyślałem i ostrożnie otworzyłem oczy. Był już dzień. Na stole walały się resztki jedzenia i moje ubranie. Leżałem na kanapie, nagi, obok mnie Agnieszka, tylko w pończochach.

— Za co? — zapytałem, rozmasowując szczękę.

— Za to, że jesteś babiarzem, i za to, że przez ciebie wczoraj się nie zabezpieczyłam.

Ewelina

— Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek — powiedział Greg. On zawsze wie, kiedy powiedzieć kobiecie coś miłego. Mój wspomniały, cudowny mężczyzna.

Cztery godziny później zadzwoniłam do Dominiki.

— Co się stało? — zapytała natychmiast, gdy usłyszała w słuchawce, że mówię z zapchanym nosem.

— Krek saprał bnie na kolacje do SPATiF-u.

— Och, to cudownie, kochanie! — Dominika pomyślała, że muszę płakać ze szczęścia. — I to zrobiło na tobie takie wrażenie? Wydawało mi się, że raz już z nim byłeś w SPATiF-ie... Mieli zmienić tam wystrój wnętrza.

— Sbienili. Jest okropnie.

— I to cię tak zdenerwowało? Naprawdę, Ewelino, nie powinnaś...

— Nie to... Krek powiedział, że sieu rozejdzie ze swojou żonou.

— Nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałam.

Przedmuchałam nos i powiedziałam jeszcze raz:

— Powiedział, że rozejdzie się ze swoją żoną.

— To fantastycznie! Gratuluję!

— Czego? Myślisz, że on to zrobi naprawdę?

— Ale mówiłaś...

— Zawsze powtarzał, że nie może ze względu na dzieci. Że gdyby były większe, to wtedy byłoby inaczej... I nagle sam wyskakuje z rozwodem... On bnie oszukuje... — Znowu się rozkleiłam.

— Może dzieci podrosły. — Dominika próbowała usprawiedliwić Grega.

— Jetno ba tfa latka, trukie tszy...

Dominika zgodziła się ze mną w końcu, że Greg chciał mnie zranić, obiecując, że zostawi żonę i dzieci. Poradziła, żebym pomyślała o jakimś innym facecie. Na przykład o tym Jakubie, którego ostatnio poznałam.

Dwa dni później zadzwonił do mnie Jakub. Oglądałam właśnie „Milionerów”.

— Cześć, Ewelino. — Był jakiś zasepiony.

— Cześć, Kuba. Coś taki smętny? Masz jakiś problem? — Obiecałam Dominice, że będę dla niego miła. Zresztą nie musiałam się do tego przymuszać.

— Mam problem, i to bardzo duży. Widzisz, nie powiedziałem ci wszystkiego o sobie... Takie słowa zawsze wzbudzają niepokój.

— Powiedz mi to teraz... — Przygotowałam się na najgorsze.

— Widzisz... — Nie przechodziło mu to jakoś przez gardło.

— Mów, Kuba!

— Kiedy się poznaliśmy... Wiesz, ja cały czas byłem z kimś. Nie mówiłem ci o tym, nie wiem, czy mi wybaczysz, ale nie miałem nieuczciwych zamiarów... Chciałem się z nią rozstać... Naprawdę chciałem... To było już postanowione. Nie potrafiłem tylko jej tego powiedzieć...

— To bywa trudne. Rozumiem cię... — Nadal starałam się być dla niego miła, choć zaczynałam czuć złość.

— Wczoraj postanowiłem, że dłużej tego nie mogę ciągnąć. Że nie mogę nikogo oszukiwać, ani jej, ani siebie, ani ciebie... Chciałem po prostu wyjść na prostą...

— I bardzo słusznie. — Zachęciłam go, kiedy znowu przerwał.

— Właśnie zamierzałem jej o tym powiedzieć... Przygotowałem sobie wszystko w myślach. Ale zanim zdążyłem się odezwać, Agnieszka powiedziała mi, że jest w ciąży...

No, nie!

— W ciąży? Jest tego pewna?

— Sprawdzała wahadłkiem... Wiesz, my staraliśmy się zawsze jakoś zabezpieczyć... Ale wszystkie środki dają tylko te dziewięćdziesiąt kilka procent skuteczności... Nigdy sto. — Tak powiedziała Agnieszka...

— I co zamierza z tym zrobić?

— Ona? Oczywiście, że chce urodzić. Mówi, że zdarzyło się to wszystko za szybko, ale jest bardzo szczęśliwa.

— A ty?

— Nie wiem... Nie mam pojęcia. Nie byłem na to przygotowany. Wiem tylko, że nie mogę jej teraz tak zostawić...

— Kochasz ją?

— Trudno to powiedzieć o kobiecie, która nosi moje dziecko, ale nie. Nie kocham jej. Jestem zrozpaczony.

— Była już u lekarza? Może to fałszywy alarm?

— Jutro mamy iść.

Zrozumiałam wszystko. „Mamy”. My. On i ona.

— To ładnie z twojej strony, że tak się tym przejąłeś... Zaopiekujesz się nią...

— Prawdę mówiąc, to bardziej ona mną... Kiedy powiedziała, że jest w ciąży, zemdlałem z wrażenia.

— Ale nie zostawiasz jej w trudnej sytuacji.

— Wszystko tak się skomplikowało... Tak się skomplikowało... Czuję się winny wobec Agnieszki, czuję się winny wobec ciebie...

— Wobec mnie? Dlaczego?

— Nie powiedziałem ci nic...

— Ale ja nie pytałam. Ty również nie pytałaś mnie, czy mam kogoś.

— A masz?

— Mam. To dość poważny związek. Owszem, ma swoje kryzysy, raz jest gorzej, raz jest lepiej. Ale myślę, że wszystko skończy się dobrze. W każdym razie staram się, żeby tak się stało.

— Chyba rozumiem...

— Teraz ja będę miała wyrzuty sumienia, że nie powiedziałam ci sama od razu. Chyba dlatego, że pomiędzy mną a moim facetem ostatnio się nie układało... Myślałam, że może... Ale teraz, to już zupełnie inna sprawa...

— Taaak...

— Niezależnie od wszystkiego, nadal możemy być przyjaciółmi... Bardzo lubię twoje towarzystwo i mam nadzieję, że jest to odwzajemnione uczucie.

— Jasne, że odwzajemnione... Bardzo odwzajemnione.

— W takim razie zostanmy przyjaciółmi. A tą ciążą jeszcze tak się nie przejmuj, póki lekarz wszystkiego nie potwierdzi. Dziewczyny czasem strasznie panikują.

— Chciałbym, żebyś miała rację. Dziękuję za wszystko... przyjaciółko.

CZEŚĆ DRUGA

Jakub

Dwudzieste siódme urodziny. Wczoraj skończyłem dwadzieścia siedem lat. Dziesięć lat temu wyobrażałem sobie, że będzie całkiem fajnie mieć dwadzieścia siedem lat. Jest wiek, do którego lepiej się nie przyznawać. Na przykład dwadzieścia trzy lata. Zupełnie nie wiadomo, co. Czy to jeszcze studenciak, czy już poważny człowiek. Trochę lepiej brzmi dwadzieścia cztery. Najlepiej dwadzieścia pięć. Ładnie. Ćwierć wieku. Imponujące, że ktoś zdecydował się przeżyć na tej planecie całe ćwierć wieku, nawet, jeśli pamięta z tego tylko połowę. Potem jest dużo gorzej. Ludzie w wieku dwudziestu sześciu lat nie mogą wzbudzać w nikim zaufania. Podobnie jak szesnastolatki, czternastolatki i dwudziestolatki. To takie momenty, kiedy nie wiadomo w ogóle, jak los się potoczy. Dwadzieścia sześć lat — niby już po studiach, ale przecież jeszcze bez doświadczenia. Niby dorosły, ale co tam może wiedzieć o dorosłych sprawach. Dopiero dwadzieścia siedem brzmi dumnie. Zdecydowanie lepiej niż dwadzieścia osiem i dwadzieścia dziewięć. To ostatnia chwila, żeby można się było dobrze zapowiadać. Już za rok ludzie na pewno zaczną cię rozliczać. Za dwa lata trzydziestka, a ty nie masz domu, samochodu ani żony. Nie dorobiłeś się firmy ani posady. Okropnie jest mieć dwadzieścia osiem lat. Prawdopodobnie jednak to nieuniknione, jeżeli zależy nam na dojściu do trzydziestu dwóch.

Trzydzieści dwa to dla mężczyzny zaczarowana liczba. Nastolatki już spoglądają z szacunkiem i bez najmniejszych obaw o potencję. Trzydzieści dwa to już mężczyzna dojrzały u szczytu swojej atrakcyjności. Nie żeby trzydzieści pięć było złym wiekiem, ale przy niezdrowej diecie i tej ilości witamin dodawanych do każdego produktu umówmy się, że dla większości z nas od trzydziestu pięciu już bliżej niż dalej do końca. Ale z trzydziestu dwóch ciągle roztańczają się wspaniałe perspektywy i możliwości. Świetnie jest być dyrektorem w wieku trzydziestu dwóch lat albo uznanym artystą, albo właścicielem cenionej firmy (jeśli właściciel ma trzydzieści dwa lata, firma z zasady musi być ceniona).

Oczywiście te przyjemności dopiero przede mną i trzeba będzie za nie słono zapłacić w dwudziestym ósmym, dwudziestym dziewiątym i trzydziestym pierwszym roku życia. Choć jak się teraz nad tym zastanawiam, na pewno najgorsze będą dwadzieścia osiem i dwadzieścia dziewięć. Żeby jakoś temu przeciwdziałać, powinienem w tym roku podjąć sensowne działania przygotowujące mnie do łagodnego wkroczenia w trzydziestkę.

Prawdopodobnie przydałoby się zrobić coś z moim życiem zawodowym. Choć nie wiąże się to bezpośrednio, warto pomyśleć nad dokończeniem jakichś studiów. Brak tytułu magistra może być mi wypominany w wieku dwudziestu ośmiu lat. Dobrze, powiedzmy sobie szczerze już jest

mi wypominany, ale jeszcze mało dotkliwie. Tak, trzeba by chociaż dotrzeć do absolution. Jak prezydent. Potem fajnie się mówi: „Wiesz, tyle pracy, żona, dzieci, kiedy miałem napisać tę pracę?”.

I znowu dotarłem do sedna sprawy. Myślę, że powinienem się już ożenić. Nie, dlatego, że w wieku trzydziestu dwóch lat trzeba mieć żonę i dzieci. Niekoniecznie musi być to takie dobre. Ale kobiety zaczynają podejrzewać mężczyznę w tym wieku, jeśli jest ciągle kawalerem, o różne złe rzeczy. Bo może to jakiś kryptogej? Albo żadna nie mogła z nim wytrzymać dłużej niż tydzień? Jak ma się milion dolarów, nie trzeba się tym martwić, ale jeśli w interesach będzie mi szło tak jak obecnie, to za pięć lat mogę mieć co najwyżej milion dolarów... długu.

Myślę, że w wieku trzydziestu dwóch lat dobrze jest być po rozwodzie. Dokładnie po, lecz nie w trakcie. Pożycie małżeńskie powinno trwać jakieś trzy lata, tak żeby nie było wątpliwości, że zawiniła żona. Sprawy rozwodowe ciągną się czasem bardzo długo, więc żeby wyjść na prostą w stosownym momencie, trzeba zacząć zaraz po trzydziestce. To znaczy... Rany, muszę się pospieszyć! Nawet nie mam kandydatki!

Na szczęście zupełnie inaczej szuka się kandydatki do rozwodu niż kandydatki na żonę. Kandydatka do rozwodu nie musi być bardzo miła. Dobrze, by nie lubił jej nikt z moich przyjaciół wówczas staną za mną murem w trakcie rozprawy. Nie powinna dobrze gotować, prasować ani dbać o dom. Zaniedbany dom to bardzo dobry argument. Niedoprasowana koszula, żeby w pracy wszyscy widzieli, jak żona dba o męża. Kanapki z dżemem przez cały rok. Gdzie ja znajdę taką kobietę? To może być trudniejsze niż znalezienie dobrej żony.

Na przykład Agnieszka. Pozornie wydaje się spełniać wszystkie wymogi. Moi przyjaciele jej nie cierpią, od kiedy zaczęła im wróżyć na przyjęciu u Tomka.

— Anieszko, to jest Paweł — przedstawiłem jej faceta, który zajmuje się public relations w jednej z agencji reklamowych. — Pawle, to Agnieszka.

— Kuba opowiadał mi o tobie. — Wyszczrzył zęby Paweł, prezentując swój aparat. W wieku dwudziestu sześciu lat przypomniało mu się, że ma krzywy zgryz. Mówiłem, że to fatalny wiek.

— Ty to źle skończysz — odpowiedziała Pawłowi Agnieszka, a ten nie wiedział, czy się śmiać czy wpaść w panikę.

— Ożenisz się z kobietą, która nie będzie cię szanowała. Własne dziecko cię zrujnuje. Powiedziałabym więcej, ale nie chcę ci psuć humoru.

— To my już pójdziemy. — Złapałem Agnieszkę za ramię i poprowadziłem ją w ciemniejszy kąt mieszkania, gdzie, miałem taką nadzieję, jasnowidzenie będzie jej przychodzić z większym trudem.

— O, cześć, Kuba. — W ciemnym kącie Beata siedziała na jakimś facecie, w tych ciemnościach nie byłem w stanie go rozpoznać. — Czy przedstawiś mnie swojej przyjaciółce? — zapytała Beata, gdy wahałem się, co zrobić w sytuacji, gdy Agnieszka ma swój proroczy wieczór.

— Hm, Beato, to moja przyjaciółka, Agnieszka. Nie pochodzi z cygańskiej rodziny, a blond to naturalny kolor jej włosów. Agnieszko, to Beata. Beata nie wierzy we wróżby i jasnowidzów.

— Jak to nie wierzę? — zaperzyła się Beata. — Uwielbiam sobie wróżyć i codziennie czytam horoskopy... Czy mogłabyś mi coś powiedzieć o mojej przyszłości? Chcesz obejrzeć moją rękę?

Agnieszka ni stąd, ni zowąd rozplakała się.

— Chcesz iść do domu? — spytał Agnieszkę na wszelki wypadek.

— Co się stało? — zapytała Beata.

— Będziesz miała smutne życie — powiedziała Agnieszka i pobiegła do łazienki. Po drodze wpadła jeszcze na Gośkę.

— A ty nigdy nie będziesz miała dzieci — krzyknęła w jej stronę, zamykając drzwi do ubikacji.

Gośka była jedyną osobą zadowoloną z przepowiedni Agnieszki.

Niestety, wśród swoich rozlicznych i powszechnie znanych wad i wariactw ma Agnieszka także pewne zalety. Na przykład fioła na punkcie czystości. Potrafi wstać w nocy i czyścić zlewozmywak. Odbija jej też na punkcie zdrowej żywności. Nawet nie kupiłaby normalnego dżemu do tych moich kanapek. Musiałby to być dżem z tofu. I na pewno byłbym najzdrowiej odżywianym mężem w całej firmie. Pojęcia nie mam, jak miałbym się z nią rozwieść.

Wśród moich wolnych koleżanek jest jeszcze Gośka. Gośka nie jest zbyt atrakcyjna, co akurat w tym przypadku w niczym nie przeszkadza. Ba, to nawet dobrze wszyscy będą liczyć na to, że poślubiłem ją dla jej wspaniałych zalet. Pokochałem złote serce w brzyduli. Kobiety będą o mnie mówić „Patrz, taki facet, mógłby mieć każdą (chyba przesadziłem), a ożenił się z biedną i brzydką. Musi ją bardzo kochać”. Można powiedzieć, że Gośka to znakomita partia dla mnie. Choćby dlatego, że owe zalety, o które byłaby podejrzywana, w rzeczywistości nie istnieją. Paulina gotuje gorzej niż ja (bo nie wie, w których restauracjach zamawiać, żeby przyjechało ciepłe i świeże). Jest strasznie kłótniwa i nienawidzi dzieci. To też wspaniała cecha u przyszłej rozwódki. Tylko nie wiem, czy się zgodzi za mnie wyjść.

Nie mogę przyjść do Pauliny z wiechciem kwiatów i zacząć jej wmawiać, że się w niej zakochałem. Nigdy mi nie uwierzy. Kiedy pracowaliśmy w jednej firmie, zbyt wiele przykrych rzeczy powiedziałem jej na jej temat. Nawet gdyby mi uwierzyła, to i tak nic z tego... Niewiele osób wie, ale Gośka nie lubi mężczyzn... Ja dowiedziałem się zupełnie przypadkiem i obiecałem dalej nie rozpowiadać. Więc powiedziałem to tylko Tomkowi i Agnieszce (żeby jej wytłumaczyć, dlaczego Gośkę ucieszyła informacja, że nie będzie miała dzieci). Rzecz jasna, im też kazałem nie mówić nikomu. Myślę, że w tej chwili wiedzą to już... wszyscy.

Nawrócenie lesbijki nie jest niemożliwe. Mówi się, że jak spotka odpowiedniego faceta (na przykład mnie), to dziewczyny nie będą jej interesować. Gdzie ja mam telefon?

— Cześć, Gośka, tu Kuba.

— Cześć, Kubuś. Jak ci się powodzi?

— Nieźle. Wczoraj skończyłem dwadzieścia siedem lat. Jeśli to jakieś osiągnięcie.

— He, he! Pewnie, że osiągniecie. Wiele osób nigdy już nie skończy dwudziestu siedmiu lat.

— Słuchaj, chciałbym ci zadać delikatne pytanie... Takie wiesz, między nami.

— Wal śmiało.

— Co sądzisz o ślubach?

— O ślubach? Rewelacja.

— Naprawdę?

— Jasne. Każda dziewczynka marzy o tym, żeby się pokazać w sukni ślubnej.

— Czyli nie masz nic przeciwko?

— Dlaczego miałabym mieć? Oczywiście mogę sobie tylko pomarzyć...

— Nie mów tak, może się ktoś znajdzie...

— Kuba, nie o to chodzi. Nawet już by się ktoś znalazł...

— Już...?

— Tylko że ja jestem realistką i nie wierzę, że w tak katolickim kraju jak Polska będą kiedyś możliwe śluby par homoseksualnych.

 Czyli z Goską raczej się nie rozwiode.

Ewelina

Kiedy przyjechała po mnie biała limuzyna, ciągle nie mogłam w to uwierzyć. Wszystko stało się jakoś tak nagle, jeśli można użyć słowa „nagle”, mając na myśli związek istniejący już od siedmiu lat. Było przecież między nami bardzo różnie. Piąty rok był zupełnie zmarnowany — ja pojechałam do Stanów, Greg miał się zająć swoim życiem, swoją żoną i dziećmi. Rozmowy o rozwodzie zaczęły mnie nudzić już parę lat temu. Greg, kiedy wyczuwał, że we mnie coś pęka, w chwilach, gdy przestawałam widzieć sens w tym, że jesteśmy razem, sam wracał do tego tematu. Obiecywał, przysięgał i nie zamierzał niczego realizować. W końcu powiedziałam, że póki nie przyniesie mi dokumentu z sądu, że jest już wolnym mężczyzną, niech więcej nie mówi o tym. Nie mówił. Przez dwa lata nic nie mówił, aż wreszcie poprosił mnie o rękę. Zabrał mnie do najdroższej restauracji w mieście i wyciągnął pierścionek z brylantem. Z boku przygrywał nam na skrzypcach autentyczny Cygan, a szef sali otworzył szampana, kiedy powiedziałam „tak”. Do pierścionka było dołączone oświadczenie sądu, że Greg nie jest już mężem swojej żony. Jak miałabym się nie zgodzić!

Jedziemy, więc do kościoła piękną białą limuzyną.

— Chwileczkę, będziecie mieli ślub kościelny, mimo że on jest po rozwodzie?

Skrzywiłam się. Zawsze się do czegoś doczepi. Jakby szczegóły były takie ważne.

— Greg z poprzednią żoną miał tylko ślub cywilny, więc nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy wzięli ślub w katedrze — odpowiedziałam.

— Dlaczego w katedrze? Przecież to nie twoja parafia.

Och nie, zaraz wybuchnę.

— W katedrze i już! Co tu ma do rzeczy parafia?!

— Dobrze, niech tak będzie. A w której katedrze?

O nie... Wypytuje się, jakby była zaproszona.

— Nie wiem, w której. Bardzo dużej i pełnej kwiatów. Mogę dalej, czy chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?

— Nie, nie. Mów.

— Wchodzimy do środka po czerwonym dywanie.

— Czerwonym?

— ????

— Nic, nic, nie przerywaj sobie.

— Więc wchodzimy do środka, grają organy. Cały kościół jest pełen gości.

— Mówiłaś, że to katedra.

— Katedra? A katedra to nie kościół?

— W porządku. Niech tak będzie.

— Greg prowadzi mnie do ołtarza i staje obok. Jestem nieprawdopodobnie szczęśliwa. Dziwi mnie tylko trochę obraz na ołtarzu. Przedstawia świętego z czymś przy nodze, co przypomina piłkę.

— Futbolówkę?

— Nie, trochę większą, jakby lekarską. Białą lekarską piłkę. Ale to nieważne. Zaczyna się msza. Jestem strasznie podniecona, tyle lat czekałam na tę chwilę. W końcu najważniejsze. Ksiądz pyta najpierw mnie „Czy ty, Ewelino Wagner, będziesz...” i tak dalej.

— Co i tak dalej?

— No tak jak na ślubie. Przysięga małżeńska.

— Aha. I co powiedziałaś?

— A co miałam mówić? Oczywiście powiedziałam „TAK”.

— I?

— I ksiądz zapytał Grega, czy bierze mnie za żonę. Usłyszałam takie zduszone „TAK”, jakby z wątpliwościami albo chrypką. „Ogłaszam was mężem i żoną”, powiedział ksiądz.

— Czulaś się fantastycznie?

— Tak, naprawdę fantastycznie. Ale wtedy spojrzałam na mojego męża i widzę jakiegoś zupełnie obcego faceta, który próbuje mnie pocałować, a Greg stoi z boku i uśmiecha się radośnie...

— Obudziłam się.

Monika rozejrzała się po pokoju. Jej oczy zatrzymały się na zegarze ściennym.

— To już trzeci sen ze ślubem w tym miesiącu...

— Czwarty. Poprzedni śnił mi się dwa razy.

— I zawsze przed ołtarzem dzieje się coś dziwnego, co nie pozwala ci na zawarcie małżeństwa z Gregiem.

— Jaś Fasola był całkiem śmieszny.

— Jaś Fasola?

— Tak, z tego pierwszego snu. Jaś Fasola był świadkiem i zgubił obrączki.

— Racja. — Monika zajrzała do notatek. — Wtedy obudziłaś się w dobrym nastroju i dopiero gdy zaczęłaś się zastanawiać nad snem, nastrój ci się obniżył. A jak było tym razem?

— Płakałam. Zaraz po przebudzeniu.

— Ile razy?

— Cały dzień. To była sobota.

Monika zapisała coś w notatniku. Tym razem ja zerknęłam na zegar. Pomyślałam, że zamiast okrągłej tarczy ze wskazówkami, w gabinecie mógłby stać taksometr. W ten sposób łatwiej byłoby się zorientować, co do ceny moich wynurzeń i wartości porad.

— Ewelino — Monika przybrała jak najbardziej służbowy wyraz twarzy mający potwierdzać, że jest dobra w tym, co robi — powinnyśmy teraz starannie przeanalizować poszczególne elementy twojego snu, aby dotrzeć do sedna przekazu. Chciałabym na początek wiedzieć, z czym kojarzy ci się biel.

— Biel? Ze ślubem — odparłam niemal automatycznie.

— Dobrze — zapisała Monika. — A limuzyna?

— Z seksem.

— Z seksem?

— Zrobiliśmy to raz w limuzynie. Naprawdę, nie we śnie.

— Mhm... A z czym kojarzy ci się czerwony chodnik?

— Z seksem.

— Czy wy... Czy robiliście to na chodniku?

— Dwa razy.

— Jasne. Pozostaje tylko piłka. Dlaczego powiedziałaś, że to piłka lekarska?

— Nie wiem. Tak powiedziałam, bo była większa od piłki do kosza i wydawała się dość ciężka. W szkole mieliśmy takie piłki...

— W szkole? W której klasie?

— Nie jestem pewna... W podstawówce. Chyba używaliśmy ich w szóstej klasie, może w siódmej...

— A więc w okresie dojrzewania.

Monika zdawała się zadowolona ze związku wykrytego pomiędzy piłką a moim dojrzewaniem. Postanowiłam trochę utrudnić jej pracę.

— W liceum też mieliśmy piłki lekarskie.

— Białe? — Monika nie dawała się tak łatwo zbić z tropu.

— Nie, brązowe. W podstawówce też były brązowe.

— A święty z obrazu... Czy przypominał ci kogoś?

— Nikogo. To był normalny święty. Taki z aureolą i brodą.

— Z brodą? Czy twój ojciec nosi brodę?

— Nosi. Co to ma do rzeczy?

— Ha! Moim zadaniem jest znajdowanie powiązań pomiędzy faktami pozornie bez znaczenia.

Może powinnam poprosić, żeby pokazała mi swój dyplom. Na pewno obrazi się, jeśli to zrobię.

— Nie znam się za bardzo na psychologii, ale mam wrażenie, że zamiast powiedzieć mi po prostu, o co chodzi w moim śnie, naginasz wszystko pod jakąś seksualną teorię. Coś w rodzaju zazdrości o matkę albo ojca...

— Dobrze, że poruszyłaś ten temat...

— Moniko, błagam...

— Skoro nie jesteś jeszcze gotowa... Wróćmy zatem do snu. Powiedziałaś, że chcesz wiedzieć, jaki komunikat próbuje ci przekazać twoja podświadomość?

— Coś w tym rodzaju.

— To bardzo proste i gdybyś się nad tym zastanowiła, zrozumiałabyś to sama, bez mojej pomocy...

Wreszcie powiedziała coś sensownego.

— Niemniej, twój problem polega właśnie na tym, że nie potrafisz w tej chwili racjonalnie spojrzeć na swoją sytuację. Dlatego sama muszę przedstawić ci interpretację tego snu.

— Nie mogę się doczekać.

Chodzenie do psychologa jest bardzo wkurzające. Zaczynam żałować, że dałam się namówić Dominice na te seanse. Chociaż robią tak niemal wszystkie bohaterki amerykańskich seriali i nie powinnam czuć się w związku z tym gorsza. Tylko, że ich terapeutki nie wygadują takich bzdur jak Monika. Gdyby Monika oglądała więcej telewizji, prawdopodobnie byłaby lepszym psychologiem.

— Oglądasz „Ally McBeal”? Albo „Rodzinę Soprano”? — zapytałam nieśmiało.

— Nie mam na to czasu — odpowiedziała Monika.

Teraz już przestałam wierzyć w możliwość sukcesu mojej terapii. Wygląda na to, że niepotrzebnie tracę pieniądze.

— Twój sen — zaczęła pani psycholog, zwracając się do mnie jak do małej dziewczynki — jest kolejną próbą przedostania się do twojej świadomości faktu, że nie będziesz nigdy z Gregiem...

— Och, nie mów tak, proszę...

Czy za to jej płacę? Żeby mówiła mi to, czego nie chcę słyszeć?

— Muszę ci to mówić, bo jestem twoim terapeutą. Zresztą doskonale o tym wiesz, choć robisz wszystko, żeby udawać, że Greg i ty możecie być nadal razem.

— Wcale nie jest powiedziane, że Greg, kiedy...

— O właśnie — przerwała mi Monika. — Właśnie o tym mówię. Śni ci się ślub z Gregiem, ale przed samym ołtarzem zawsze dzieje się coś niepokojącego. Tym razem sygnałem był święty z piłką. Co robi się z piłką?

— Gra...

— To ty jesteś tą piłką. Czujesz, że Greg nie jest wobec ciebie uczciwy, że prowadzi jakąś grę, udając przy tym dobrego ojca rodziny i męża, czytaj świętego...

— Nie... To znaczy chyba tak...

— A potem okazuje się, że wychodzisz za innego mężczyznę...

— Za obcego mężczyznę...

— INNEGO — podkreśliła Monika. — Dla ciebie każdy mężczyzna, który nie jest Gregiem, jest obcym, złym facetem. Od kiedy Greg cię zostawił, nie zainteresowałaś się żadnym INNYM facetem...

Greg mnie nie zostawił...

— Mniejsza z tym. Ten sen mówi o tym. INNI, jak wolisz OBCY, faceci mogą się o ciebie zatroszczyć, zadbać, zaangażować emocjonalnie i dać ci wszystko to, czego nie dał ci Greg. Wszystko to, czego pragniesz. Małżeństwo i rodzinę. I Greg wie o tym doskonale, dlatego w twoim śnie sam się wycofuje z twojego życia i cieszy się, że będziesz z innym mężczyzną. Dlatego Greg na końcu snu uśmiecha się do ciebie.

— Mylisz się. Greg zabiłby każdego faceta, który chciałby wziąć ze mną ślub.

Monika spojrzała na zegar.

— O tym porozmawiamy za tydzień — zakończyła sesję.

Jakub

— Wiesz, ty chyba cierpisz na bigoreksję — powiedział Tomek.

Najpierw nie odzywał się przez trzy miesiące, bo kręcił ten swój film, a teraz pije za moje pieniądze i odplaca mi się wymądrzaniem.

— Pierwszy raz o tym słyszę. Co to jest ta bigoreksja? — Nie mogłem go nie zapytać.

— To jest odpowiednik kobiecej anoreksji.

— Czy wyglądam, jakbym się odchudzał?

— Bigoreksja nie polega na odchudzaniu. Zapadają na nią mężczyźni niezadowoleni z własnego wyglądu. Czy jesteś zadowolony ze swojego wyglądu?

— Ja...? Tak.

— Szczerze?

— No, może bym coś zmienił... Mógłbym na przykład być wyższy. Wiesz, dziewczyny noszą coraz wyższe obuwie, nawet trampki mają piętnastocentymetrowe koturny. Niech dziewczyna ma metr siedemdziesiąt, do tego takie buty... Wyjdę przy niej na karła.

— A widzisz, masz bigoreksję.

— W czym objawia się ta... choroba?

— Czytałem, że bigorektycy mogą godzinami ćwiczyć na siłowni i ciągle być niezadowoleni ze swojej muskulatury, nawet jeśli wyglądają jak kulturyści.

— Ale ja nie chodzę na siłownię...

— Nie chodzisz? Myślałem, że wszyscy chodzą...

— A ty?

— Jasne, że chodzę...

To coś nowego. Tomek zawsze był wrogiem sportu, co widać wyraźnie po jego tuszy.

— Ja co pewien czas kupuję sobie jakiś przyrząd do ćwiczeń.. Ale używam go tylko przez tydzień i odkładam do kąta... — Nie mogłem przecież wyjść na kandydata do choroby wieńcowej.

— Tak jak mówiłem, bigoreksja — stwierdził Tomek. — To dlatego nie masz dziewczyny. A on niby ma? Skąd?

— I co twoim zdaniem powinienem zrobić?

— A bo ja wiem? Nawet nie wiem, czy to uleczalne.

Tomek zawsze wie, kiedy powiedzieć coś miłego.

— Na twoim miejscu poszedłbym do dobrego psychologa.

Znalazł się znawca.

— Mam iść do psychologa, bo nie mam dziewczyny! — wrzasnąłem tak, że wszyscy w pubie spojrzeli na nas.

Tomek rozejrzał się po sali, prosząc uśmiechem o zrozumienie dla swojego cierpiącego kolegi.

— Słuchasz mnie czy nie? — zapytałem; próbując nie myśleć o ludziach, którzy teraz gapią się na mnie.

— Tak tylko powiedziałem. Wiesz, nie leczona bigoreksja...

— Ja nie mam bigoreksji!!! — Usłyszałem własny krzyk.

— Przepraszamy, obiecuję, że to już się nie powtórzy — ogłosił wszystkim Tomek. — Kolega przeżywa kryzys. — Po czym do mnie powiedział ściszym i zarazem stanowczym głosem: — Jeśli nie przestaniesz krzyczeć, to będziemy musieli zaraz stąd wyjść.

Umilkłem speszony, bo rzeczywiście moje zachowanie było nieodpowiednie. Ale przecież on mnie do tego sprowokował!

— Czy panowie życzą sobie coś jeszcze? — zapytała kelnerka, która nagle wyrosła przy naszym stoliku.

— Dwa razy to samo — powiedziałem cichutko.

— Pański kolega nie powinien już więcej pić — zwróciła się kelnerka do Tomka.

Tomek uśmiechnął się do dziewczyny.

— Z pewnością ma pani rację. Dla mnie jeszcze raz to samo, a dla niego cola... — Wolisz dietetyczną czy normalną?

— Chcę piwo — powiedziałem przez zęby. — Nie jestem pijany.

Przyjaciel zdawał się nie zwracać uwagi na moje słowa.

— Na pewno woli dietetyczną.

Kiedy kelnerka odeszła, powiedziałem:

— Robisz ze mnie idiotę!

— To nie ja wrzeszczę na cały pub, że nie mam dziewczyny!

— Mój chłopak miał bigoreksję — powiedziała kelnerka, stawiając przede mną coca-colę. Zdziwiająco, jak szybko zrealizowała zamówienie! — Leczył się u bardzo dobrego psychologa.

— Ja nie mam bigoreksji — powiedziałem bardzo powoli i bardzo dobitnie. — I nie zamawiałem coli.

— I co, pomogło? — zwrócił się do niej Tomek.

— Nie wiem. Odeszłam. Nie mogłam z nim wytrzymać.

Kelnerka zabrała tacę i odeszła również od nas.

— Nie bierz tego do siebie. Kelnerki takie są.

Tomek patrzył na mnie ze współczuciem podobnie jak potężny mężczyzna siedzący przy stoliku naprzeciwko i z uwagą przysłuchujący się naszej rozmowie.

— Przepraszam, że się wtrącam — odezwał się mężczyzna. Był tak miły, że uważał za stosowne przeprosić, nie tak bardzo jednak miły, by się po prostu nie wtrącać. — Doskonale rozumiem, co pan czuje — zwracał się najwyraźniej do mnie.

— Tak pan myśli?

Zupełnie nie wyczuł ironii w moich słowach. Zachęcony wstał od stolika — miał chyba ze dwa metry wzrostu — i zajął wolne krzesło obok nas.

— Widzi pan, ja także mam problemy z bigoreksją... — powiedział.

— To ciekawe — odezwał się jak zwykle nie w porę Tomek.

— To zaczęło się w czwartej klasie ogólniaka. Bałem się poprosić którąś z dziewczyn na studniówkę, bo uważałem, że jestem za niski... — kontynuował nieznajomy.

— Jeśli można wiedzieć, ile pan wtedy mierzył? — zaciekawiał się Tomek.

— Miałem tylko metr osiemdziesiąt osiem.

— No to nie było chyba tak źle...

Tomek ma ledwie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, i to, gdy włoży odpowiednie buty.

— Mnie jednak wydawało się to niewiele. W końcu z rozpaczy nie poszedłem na studniówkę...

— To tak jak Kuba — ucieszył się Tomek. — Co za zbieżność objawów...

— Też pan nie poszedł na studniówkę?

— Byłem na studniówce. — Chcąc nie chcąc, dałem się wciągnąć w tę rozmowę. — I zobaczyłem, jak przed wejściem moja dziewczyna całuje się z jakimś obcym facetem.

— I poszedł się upić gdzie indziej — dokończył za mnie Tomek.

— Nie poszedłem się upijać — sprostowałem. — Potrzebowałem o tym z kimś porozmawiać, więc poszedłem do... baru.

— Czy ten facet, z którym całowała się wtedy pańska dziewczyna, był od pana wyższy? — zapytał nieznajomy.

— Chyba tak... Nie jestem pewny. Nie przyglądałem mu się zbyt długo.

— To by się zgadzało — powiedział jakby do siebie dryblas. — W każdym razie nie chcę teraz panom przeszkadzać... — dodał po chwili.

— Ależ skądże... — wszedł mu w słowo Tomek.

Od kiedy skończył studia, stał się nieznośny.

— Zresztą muszę za chwilę iść — dokończył nieznajomy. — Umówiłem się tu z kobietą, niestety nie przyszła. Kiedyś obiecałem sobie, że nie będę czekał na kobietę dłużej niż pięćdziesiąt dziewięć minut. Zostawię tylko panu swoją wizytówkę. Jestem prezesem Stowarzyszenia Mężczyzn Cierpiących na Bigoreksję. Mamy raz w tygodniu swoje zebrania, grupę wsparcia... Proszę przyjść, pomożemy panu. Spotykamy się we wtorki o dziesiętnastej w siłowni. Tu ma pan adres. — Położył przede mną zadrukowaną z dwóch stron wizytówkę. — Proszę pamiętać, nie jest pan sam — rzucił, odchodząc od stolika.

Nie mogłem w to uwierzyć. Patrzyłem na zadowolonego z siebie Tomka i prezesa stowarzyszenia bigorektyków machającego do mnie z ulicy. Miałem wrażenie, że wszyscy w pubie zerkają co chwila na mnie i pokazują palcem swoim towarzyszom czy towarzyszkom: „Widzisz tego faceta, tam? To bigorektyk”.

Na przykład ta kobieta przy bufecie. Ona naprawdę cały czas na mnie patrzy, a teraz nawet się uśmiecha. Jest chyba koło pięćdziesiątki.

— To dla pana — kelnerka, która niedawno zachęcała mnie do zachowania trzeźwości, postawiła przede mną wymyślnego drinka. — Od tej damy przy bufecie — wyjaśniła, a dama, żeby rozwiać ewentualne wątpliwości, że o nią chodzi, pomachała mi ręką w czarnej rękawiczce. — Prosiła, żeby panu przekazać, że ona też jest wolna — dokończyła kelnerka.

— Chodźmy stąd! — powiedziałem do Tomka.

— Już???

— Już. — Wypiłem duszkiem drinka, omal nie wykluwając sobie oka parasolką, i wstałem od stolika. — I nie mów już nic o bigoreksji, bo mogę cię uderzyć.

Starsza pani przy bufecie wyglądała na zawiedzioną.

Ewelina

Dlaczego żaden facet mnie nie chce? Takie brzydule mają facetów i szykują się do ślubu, a ja od półtora roku jestem sama. Od kiedy Greg...

Nie mogę w to uwierzyć. Wydaję coraz więcej na kosmetyki i ubrania, mężczyźni niby mówią mi komplementy, ale nikt nie ośmiela się zaprosić mnie na kolację. Pewnie nie byłabym w takiej depresji, gdyby ktoś mnie zabrał, chociaż na kawę do najzwyklejszej kawiarni. I nie musiałabym wtedy chodzić do tego początkującego psychologa, mojej niby to koleżanki, Moniki.

Monika jest moją koleżanką, ale bierze honorarium, jak od obcych, W dodatku nie chciała mi pokazać dyplomu. Czasem mam wątpliwości, czy ona zna się na czymkolwiek. Oczywiście mogłabym iść do innego psychologa, ale przecież skoro moja koleżanka pracuje w tym zawodzie...

No dobrze, może byli jacyś faceci, którzy starali się mnie poderwać... Ale byli do niczego. Na przykład ten reżyser. Ślini się natychmiast, kiedy mnie zobaczy. Pani Ewelinko to, pani Ewelinko tamto. Pani Ewelinka na pewno zrobi to znakomicie. Był tak bezczelny, że chciał mnie zaprosić na sylwestra. A przy tym jest niesamowicie gruby i fatalnie się ubiera.

Owszem, dyrektor banku też się mną interesuje. „Jeśli tylko pani będzie potrzebować jakiegoś kredyciku”. Dlaczego tacy faceci zawsze wszystko zdrabiają przy kobietach? Poza tym gość jest żonaty i ma trójkę dzieci z byłą żoną. Wszystko, co zarobi, idzie na alimenty.

Jest jeszcze brat Teresy. Młody, nawet przystojny i... bez pracy. Czy ja mogę wiązać się z facetem, który nie ma stanowiska?

Popełniłam straszny błąd, wybierając sobie kierunek studiów, na którym niemal nie było facetów. Mogłam iść na politechnikę. Na pewno wylaliby mnie po semestrze, tak jak Martę. Ale przez ten czas Marta znalazła sobie faceta i proszę, dzisiaj już jest szczęśliwą mężatką.

A na moich studiach... Czy był ktoś ciekawy? Może tylko Kuba. Tak, Kuba był sympatyczny. Bardzo zabawny. I potrafił gotować. Ciekawe, co teraz robi? Ile on teraz ma lat? Chyba dwadzieścia siedem albo już dwadzieścia osiem. Na pewno ma dobrą pracę i ładną żonę.

A ja? Ciągle tylko mi się śni, jak biorę ślub z Gregiem. Znowu mi się chce płakać... Cholerne Greg... Czemu ja go tak kocham? Boże, miałam tak już nie myśleć...

Mój telefon wydał z siebie dwa przerażające dźwięki. To sygnał, że przyszedł SMS. Jest naprawdę paskudny, ale sama nie potrafię go zmienić. Kto do mnie napisał?

JEŚLI MASZ CZAS DZISIAJ WIECZOREM PRZYJDŹ NA BABSKIE PARTY DO IRISH.
POCZĄTEK O 18. FACETOM WSTĘP WZBRONIONY / DOMINIKA

Odpiszę jej, że mam randkę i nie mogę przyjść. Boże, kogo ja chcę oszukać... Może lepiej ubiorę się i pójdę, zamiast oglądać „Big Brothera”?

OK. TYLKO ŻADNYCH FACETÓW!!! — odpisałam Dominice. Nie dlatego, że przestałam ich lubić, po prostu nie chciało mi się myć głowy.

Włożyłam stare džinsy i luźny sweter. Prawie się nie umalowałam. Kiedy spotykam się z dziewczynami, ubieram się tak, bo wiem, że one też będą na luzie. Co innego w pracy — tam nawet jak nie ma facetów, trzeba wyglądać wystrzałowo. To miało być babskie party bez facetów.

Faceci oczywiście byli. Było ich pełno w całym pubie i wcale nie wyglądali, jakby mieli zbierać się do wyjścia, bo już się zaczynało „babskie party” Dominiki. Dziewczyny ubrały się wystrzałowo i tylko ja wyglądałam skromnie jak Hanna Suchocka i nie roztaczałam żadnych pokus. Na domiar złego przy jednym ze stolików ujrzałam tego grubego reżysera. Siedział z jakimś facetem widziałam tylko jego plecy. Usiadłam najdalej, jak mogłam, żeby przypadkiem mnie nie zauważył. Bądź co bądź mogłabym stracić wielbiciela, a na to w obecnej sytuacji nie mogę sobie pozwolić.

— Co u ciebie, Ewe — zapytała Teresa, koleżanka Dominiki.

— Nic takiego — odpowiedziałam. — Mam dużo pracy przy nowej kampanii reklamowej.

— Ewelina ciągle ma problemy z akceptacją faktów dotyczących jej życia emocjonalnego. Jednak pracujemy nad tym i sądzę, że już niedługo nastąpi znaczna poprawa — zrelacjonowała nieproszona przez nikogo Monika.

— Dziękuję ci bardzo. Teraz już wszyscy są na bieżąco — odparłam urażona, że tak opowiada wszystkim o tym, co robimy na sesjach. To chyba bardzo nieprofesjonalne.

Monika jednak zamierzała dalej opowiadać o mojej terapii, póki nie kopnęłam jej pod stołem w kostkę. Możliwe, że podarłam przy tym jej rajstopy, ale sama się o to prosiła.

— Ewelino, spotykasz się z kimś? — zapytała Teresa.

Monika już otwierała usta, ale spojrzałam na nią groźnie.

— Mam dużo pracy — odpowiedziałam. — Poza tym większość fajnych facetów jest już zajęta, a ja nie chcę dłużej być tą drugą.

Czy one mogłyby zejść ze mnie? Dlaczego nie znajdą sobie jakiejś innej ofiary?

— Mam iść do psychologa, bo nie mam dziewczyny! — krzyknął jakiś facet.

— Patrz, Moniko, masz nowego klienta — zaśmiała się Dominika.

— Może zamiast z Moniką umówimy go z Ewelina? Mała terapia grupowa — zaproponowała Teresa.

— Ja nie mam bigoreksji! — krzyknął jeszcze raz ten sam facet. Ostrożnie wyjrzałam ze swojego kąta.

— Który tak krzyczy?

— Ten, co siedzi z grubasem — wskazała mi Dominika.

Schowałam się z powrotem w swoim kącie. Gdybym nosiła okulary, tak jak kazała mi lekar-ka, albo gdybym mogła nosić szkła kontaktowe, tak jak to sobie wyobrażałam, przyjrzałabym się towarzyszowi reżysera, który właśnie rozglądał się nerwowo po sali. Niestety w ciemnym pubie niewiele widziałam, więc ukryłam się przed jego wzrokiem i przed ewentualnym spojrze-niem jego kolegi.

— Ten pacjent wymaga natychmiastowej interwencji — powiedziała rozbawiona Teresa. — Rusz się, Ewelino.

— On chyba na razie potrzebuje pomocy Moniki. Jeśli oczywiście Monika może komukol-wiek pomóc — odgryzłam się.

— Co to jest ta bigoreksja? Facet zjada za dużo bigosu? — zapytała Dominika.

— Raczej chodzi o to, że nie może jeść bigosu — skrzywiła się Teresa, która chwali się, że robi najlepszy bigos w mieście.

— Bigoreksja jest nowym zjawiskiem, nie do końca jeszcze zbadanym — odezwała się siła fachowa.

— Czy ma to coś wspólnego z impotencją? — zaniepokoiła się Dominika.

— Nie, to zespół związany z nieakceptowaniem swojego ciała, podobnie jak anoreksja u kobiet. Tylko, że dziewczyny chcą być chudsze, a faceci chcą mieć więcej mięśni.

— Ten, co wrzeszczał, na kulturystę nie wygląda.

— Ale ten, który się do nich dosiadł, jak najbardziej.

— Może Ewelinę umówimy z kulturystą?

Mam już dosyć tego ich umawiania. Wyszłabym z pubu, ale nie chcę trafić na reżysera. Poza tym jestem ciekawa, czy ten facet będzie jeszcze krzyczał.

— Może same się umówicie z kulturystą? Dzisiaj macie szansę, jestem w spodniach.

— Och, jaka bojowa!

— Ale nam powiedziała...

— Rzeczywiście, zostawcie ją w spokoju — ujęła się za mną Dominika. — Ciekawi mnie ten facet. Ten, który krzyczał. Ja go skądś znam.

— Może krzyczał w innym pubie?

— Nie... Wydaje mi się, że pamiętam go jeszcze z czasów, kiedy pracowałam tu jako kelner-ka... Ale za słabo mu się przyjrzałam, żeby być tego pewna... — Dominika zawahała się, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze.

— Jest całkiem przystojny — stwierdziła Monika. — To dziwne, że nie ma dziewczyny.

— Może jest gejem? — rzuciła Teresa.

— Jeśli to ten, o którym myślę... — Dominika spojrzała przez chwilę na mnie... — to raczej nie.

— A zatem to może być ciekawy przypadek. Wolny, przystojny i nie gej.

— Ale bigorektyk.

— Twierdzi, że nie.

— To oceni Monika!

— Dobrze. Przyślijcie go do mnie, a powiem wam, czy ma bigoreksję i dlaczego nie ma kobiety,

— O! Już wychodzą... Szkoda.

Dominika spojrzała na mnie i zapytała śmiertelnie poważnie.

— A może poszukasz sobie faceta przez Internet?

— Żartujesz?

— Nie. Moja koleżanka dała ogłoszenie w Internecie i do tej pory dostaje listy od facetów. Różne. Są takie w rodzaju „zrobię ci dobrze” i numer telefonu. Ale sporo było zupełnie sensownych.

— I co, umówiła się z którymś?

— Nie, bo wróciła do swojego chłopaka. Ale chciała się z paroma spotkać. Dam ci później kilka adresów. Wypełniasz tylko formularz, napiszesz parę słów o sobie, zostawiasz e-maila i już!

Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Co mi szkodzi.

— Co miałabym napisać?

— Jakiego faceta szukasz.

— Jakiego faceta szukasz, Ewe? — zapytała Teresa.

— Grega — odpowiedziała Monika.

Tym razem jej nie kopnęłam.

Jakub

Jutro wielki dzień Tomka. Mój przyjaciel twierdzi, że to przełomowy moment w jego życiu teraz się okaże, czy pięć lat studiowania reżyserii i pieniądze sponsorów poszły na marne.

Tomek nakręcił swój film. Pierwszy pełnometrażowy film. Na studiach oczywiście reżyserował jakieś etiudy, ale to nie było nic poważnego, skrócona wersja Quo vadis i Anna Karenina w kwadrans. Kiedyś przyniósł wódkę i kasetę wideo.

— Pokażę ci dzisiaj moje etiudy. — Machnął mi kasetą przed nosem.

— Przecież wiesz, że nie mam magnetowidu...

— Nic nie szkodzi. Wszystko ci opowiem...

I tak siedzieliśmy do rana. Przed północą Tomek w ogóle nie mówił o swoich filmach, tylko o tym, co zrobi, jak już będzie sławny i kobiety będą za nim szaleć.

— Z żadną się nie ożenię, rozumiesz? Z żadną. Mężczyzna musi mieć wybór. Wolny wybór. Napij się ze mną... Za kobiety!

Kiedy minęła północ, Tomek uroczyście wyjął kasetę z pudełka, odsunął blokadę osłaniającą taśmę i zaczął mi opowiadać;

— Tutaj... — wskazał palcem na kawałek taśmy... — tutaj, rozumiesz, jest początek filmu. Napisy. Dokładnie jeden napis: Tomek Kowalski przedstawia. Miałem dać napis: Tomasz Kowalski przedstawia, ale uznałem, że Tomasz brzmi drętwo. Powiedz, brzmi drętwo?

— Brzmi — zgodziłem się dla świętego spokoju.

— Nie podoba ci się moje imię — powiedział smutno.

Potem przewinął palcem kawałek taśmy i zaczął opowiadać o kolejnych napisach na jego filmie. Nawet nie wiem, kiedy się zdrzemnąłem. Gdy się obudziłem, Tomek był przy końcu kasety.

— I tu pojawia się napis: Koniec. Powiedz, ale szczerze... Podobało ci się?

— Bardzo. To najlepszy film, o jakim mi opowiadano — odpowiedziałem i pobiegłem do łazienki.

Kiedy klęczałem nad muszlą klozetową, wydając z siebie dźwięki nie będące w żadnym razie dalszym ciągiem recenzji, Tomek stanął w drzwiach i powiedział:

— Jesteś moim najlepszym przyjacielem, wiesz?

Skinąłem głową.

— Posuń się — powiedział po chwili Tomek.

Ale to wszystko były przeżycia twórcy niedojrzałego, reżysera próbującego dopiero swoich sił w trudnej, filmowej materii. Teraz Tomek w swojej chwale utalentowanego debiutanta zwracał wprost do umywalki.

— Jak się czujesz? — zapytałem z troską.

Przez ostatnie lata mimo widocznego postępu, jeżeli chodzi o działalność artystyczną, Tomek nieustannie zaniedbywał gastronomię. Ja zaś zdążyłem odkryć, że można wypić całkiem spore ilości alkoholu i dobrze się czuć, także na drugi dzień, jednakże pod dwoma warunkami. Po pierwsze, trzeba przerwać, kiedy organizm zaczyna się buntować, po drugie, cały czas jeść odpowiednie rzeczy w odpowiednich ilościach. Tomek wczoraj nie zjadł nic, od kiedy wyszliśmy z pubu, choć mu to uparcie proponowałem. A dzisiaj na premierze swojego filmu będzie wyglądać na bardzo zmęczonego.

— Kręcimisiewgłowie — powiedział młody reżyser i na poparcie tej tezy zatoczył się i zbił lustro w łazience. — Oprzeaszam...

— W porządku. Za chwilę posprzątam. Może się położysz spać?

— Nie mogę. Muszę przygotować się do konferencji prasowej...

— Jest dziesiąta. Prześpij się.

— Na piłbysiępi wa. Naczka wkę.

— Masz tu aspirynę i kładź się spać.

To dziwne, ale posłuchał i przestał się buntować. Z trudem dowlókl się do kanapy.

— Tomek? Śpisz już?

— No...

— Tomek, posłuchaj mnie, to ważne.

— Słucham...

— Tomku, mam dla ciebie ważną misję. Tylko ty możesz to zrobić...

— Czy to niebezpieczne?

— Trochę. Posłuchaj, gdybyś źle się poczuł, obiecaj mi, że wstaniesz i pójdziesz do łazienki.

Obiecujesz?

— Słowo harcerza.

Uspokoilem się i wyszedłem kupić coś do jedzenia. Przede wszystkim z myślą o moim chorym przyjacielu. Na pewno dobrze mu zrobi jakiś bulion. Wracając do domu, przypomniałem sobie, że Tomek nigdy nie był harcerzem.

Kiedy wszedłem do pokoju, reżyser z zamkniętymi oczami siedział na łóżku i rękami wykonywał dziwne ruchy, jakby chciał coś znaleźć.

— Co robisz? — zapytałem poważnie zaniepokojony.

— Szukam sopluczki... — odparł, najwyraźniej zadowolony z dobrze spełnionej misji.

Gdy zbliżała się trzecia po południu, a Tomek od dwóch godzin rozmawiał z wymyślnymi dziennikarzami, wepchnąłem go siłą pod prysznic.

— Może pana zaskoczę — mówił Tomek — ale Julia Roberts zupełnie mi się nie podoba. Jest za szczupła. Ja lubię, wie pan, takie kobiety, które mają troszeczkę ciała. Dlatego, mimo nacisków wytwórni, sam zagrałem główną rolę żeńską. Auć!!! — wrzasnął, kiedy odkręciłem wodę.

Po dwóch minutach zapytałem:

— Wytrzeźwiałeś?

Tomek spojrzał na mnie i machnął ręką.

— Proszę pana, ten Oskar już dawno mi się należał... Chociaż przyznaję, jestem zaskoczony...

Żeby nie zamarznął, zmieniłem strumień wody na ciepły. Potem znowu na zimny.

— Nie sądzę, by można było porównywać to, co robię, do filmów Woody’ego Allena czy Olivera Stone’a. Choć oczywiście wpisują się one w nurt kina egzystencjalnego pozbawionego ambicji ludycznych... — kontynuował wywiad Tomek.

Za piętnaście czwarta zupełnie zrozpaczony zakręciłem kran, próbując nie myśleć o stanie moich liczników wody. Pozostała już tylko jedna jedyna nadzieja. Jeśli zawiedzie, dzisiejszej premiery filmu *Kobieta na drodze* nie zaszczyli reżyser.

Po projekcji na scenę wyjdzie producent i powie:

— Proszę państwa, dziękuję za te oklaski w imieniu reżysera. Pan Tomasz niestety obecnie leży pijany w mieszkaniu swojego przyjaciela. Przemówienie w jego imieniu przeczyta pan Jakub Woźniak. Prosimy na scenę.

Jupitery oslepiają mnie tak, że nie widzę nikogo na sali. Przypuszczam, że tak jest dla mnie lepiej. Wyciągam z kieszeni pomietą, mokrą kartkę.

— Przepraszam — mówię do mikrofonu, — ale Tomek pisał przemówienie, kiedy stał pod prysznicem. Chciałbym z góry wyjaśnić, że niezupełnie dotyczy ono dzisiejszego spotkania, aczkolwiek pozostaje w związku z filmem, który Tomek nakręcił i który przed chwilą państwo obejrzel. Otóż jest to przemówienie na okoliczność wręczenia Tomkowi Oscara za najlepszy film zagraniczny, które to przemówienie Tomek zamierza wygłosić podczas oscarowej gali w Hollywood. Jest ono prawdopodobnie po angielsku, nie można już tego stwierdzić, gdyż kartka jest zbyt nasiąknięta wodą.

Zaparzyłem w kubku kawę z sześciu łyżeczek, dosypałem trochę cukru i wcisnąłem pół cytryny. Napełniłem kubek wrzątkiem tylko, by zalać kawę. Resztę naczynia wypełniłem wodką. Zaniósłem napój Tomkowi siedzącemu na podłodze w kabinie prysznicowej. Spojrzał na mnie z głęboką wdzięcznością.

— Jesteś moim najlepszym przyjacielem — powiedział.

— Wypij kawkę. — Podałem mu kubek.

— Gorący kubek? — zapytał.

— Coś w tym rodzaju.

Dwadzieścia minut później zupełnie trzeźwy młody reżyser zdejmował mokrą koszulę, a ja zastanawiałem się, co mógłbym mu pożyczyć do ubrania na premierowy wieczór. Nie było już czasu, żeby jechać do niego. Niestety dobór stroju nie był rzeczą prostą. Tomek jest niski i raczej szeroki, ja zdecydowanie wyższy i szczuplejszy, choć nie tak wysoki i nie tak szczupły, jakbym chciał. Zupełnie poważnie myślę już o tym, czy nie iść we wtorek na spotkanie stowarzyszenia bigorektyków.

— Gdybym wiedział, że po wódce wytrzeźwiejesz, już rano dałbym ci się napić — mówiłem, próbując wepchnąć Tomka w jakieś moje spodnie.

— Przecież cię prosiłem o trochę alkoholu.

— Prosiłeś, prosiłeś, ale skąd mogłem wiedzieć, że to na poważnie, a nie z pijaństwa. Nie, nie wiesz w nie na pewno. — Tomek nie mieścił się w żadnych moich spodniach. — Przy-
mierz jeszcze te.

— Wiesz co, daj mi jeszcze trochę, to już zupełnie będę trzeźwy.

— Ani się waż. Masz za chwilę premierę.

— To przynajmniej weź ze sobą trochę, na wypadek gdyby znowu zaczęło mi się kręcić w głowie.

— Będzie na miejscu. Obawiam się, że pójdziesz do kina w krótkich spodniach.

Tomek spojrział w lustro.

— Totalna awangarda. — Uśmiechnął się do swojego odbicia.

Artyści to mają dobrze.

Ewelina

Wstawanie o siódmej rano jest czynnością wymagającą ogromnego samozaparcia. Choć tym razem nie śnił mi się Greg i rano świeciło nawet przez chwilę słońce, nie miałam najmniejszej ochoty wstawać z łóżka. To prawda, że nie czekały mnie w nim większe przyjemności niż ciepła kołdra i miękka poduszka, ale czy świat poza łóżkiem miał dla mnie jakieś ciekawsze propozycje? Czy nie milej byłoby jeszcze chwilę poleżeć? To prawdziwe barbarzyństwo ze strony mojego szefa, że oczekuje mnie codziennie o dziewiątej, niezależnie od tego, jak długo przyjdzie nam pracować wieczorem. Wszystkie zajęcia po godzinach szef kwituje nienormalnym czasem pracy. W porządku, rozumiem i nie mam pretensji, że takie dni jak dzisiaj zdarzają się dość często. Ale dlaczego to działa tylko w jedną stronę? Dlaczego dzisiaj nie mogłabym przyjść do pracy... powiedzmy o dwunastej?

Moja firma bardzo mnie denerwuje. Od dawna mówię sobie, że powinnam rzucić tę pracę. Nie mam nawet szefa, który by mnie podrywał. Wiem, że w czasach gdy coraz więcej kobiet skarży się na molestowanie seksualne w miejscu pracy, a co trzecia sekretarka sypia ze swoim przełożonym, nie powinnam wyrażać nieostrożnie takich życzeń. Niemniej przystojny szef, który w kulturalny sposób by mnie uwodził, stanowiłby bardzo ważne wzbogacenie mojego życia zawodowego. Nie, dlatego nawet, że jestem zwolenniczką romansów biurowych. Wiem, że konsekwencje takich przygód bywają mało zabawne. Dlatego wcale nie jestem pewna, czy chciałabym „skonsumować” taki romans. Gdyby jednak choć trochę mój szef mnie podrywał, o ile przyjemniej przychodziłabym do pracy i o ile większe miałabym szansę na podwyżkę.

Niestety mój szef zupełnie się mną nie interesuje, chociaż w zasadzie jest całkiem przystojny. Na początku robiłam, co mogłam, żeby zwrócić jego uwagę. Przychodziłam na zebrania zawsze w krótkiej spódnicy, wkładałam obcisłe bluzki na odprawy, regularnie odwiedzałam fryzjera i oczywiście starałam się, jak mogłam, pracować najlepiej i najefektywniej ze wszystkich. Przyniosło to skutek, kiedy odeszła szefowa działu i mój dyrektor wskazał na mnie jako jej następczynię. Wtedy zupełnie poważnie myślałam, że wpadłam mu w oko. Nie okazywał tego po sobie i tym bardziej mi to imponowało, że wiemy o tym tylko ja i on.

— Będzie pani najmłodszym szefem marketingu w naszej branży. Jestem głęboko przekonany, że będzie pani także najlepszym szefem marketingu w naszej branży — mówił mój szef, wręczając mi nowy angaż. — Mam jednakże do pani jedną prośbę — powiedział po chwili. — Oczywiście może pani odmówić jej spełnienia, gdyż, jak powiedziałem, jest to wyłącznie osobista prośba. Chciałbym zasugerować pani kogoś na stanowisko asystenta...

— Będę miała własnego asystenta?! — Ucieszyłam się wprost nieprawdopodobnie. Awans, podwyżka i jeszcze własny asystent. „Asystent” — powiedział szef, więc nie asystentka!

— Tak, w związku z rozwojem działu jest to konieczne. I przyznaję, że mam kogoś, kto powinien spełniać wszelkie wymagania. Nie zamierzam jednak niczego narzucać, jeżeli pani ma lepszego kandydata...

— Nie mam w tej chwili żadnego kandydata, panie dyrektorze...

— Świetnie... Zatem jeśli pani pozwoli, umówię go na spotkanie. Będzie pani miała okazję go poznać i sprawdzić w rozmowie jego kwalifikacje. Ręczę za jego dobre przygotowanie, aczkolwiek ostatecznie słowo należy do pani. Jeżeli przypadnie pani do gustu, to chciałbym go wypróbować. Zatrudnilibyśmy go na okres próbny i oczywiście, jeżeli po tym okresie uzna pani, że jest jednak mało przydatny, proszę mi to śmiało powiedzieć.

Tak, więc dyrektor wcisnął mi jakiegoś znajomego albo kuzyna na asystenta i nie miałam jak odmówić. Owszem, jeżeli w ciągu trzech miesięcy jego okresu próbnego podłoży mi się, to z pewnością wykorzystam szansę, żeby się go pozbyć. Jeśli nie, to będę pod obserwacją do końca mojej pracy w tej firmie...

Moja radość z posiadania asystenta trwała, więc dość krótko. Przestało mnie nawet obchodzić to, jak będzie wyglądał, szybko uświadomiłam sobie, że będzie ode mnie młodszy, a poza tym nawet gdyby był w moim wieku, w żaden sposób nie wypada się wikłać w jakiegokolwiek związku z podwładnym. Jedyną nadzieją były coraz częstsze, z racji mojego nowego stanowiska, kontakty z dyrektorem.

Mój asystent okazał się całkiem pojętny i już wkrótce udało mi się przerzucić na niego całą pracę, której nie lubiłam wykonywać. Sobie pozostawiłam tylko te obowiązki, które uważałam za przyjemne, i sprawy najbardziej kluczowe. Od dnia, w którym zatrudniono mojego asystenta, towarzyszy mi, bowiem lęk, że w którymś momencie zechce wygryźć mnie ze stanowiska. Nie mogłam też liczyć na poparcie dawnych koleżanek z działu, które podejrzewały mnie o rozliczne niegodziwości, dzięki którym uzyskałam awans.

Michał, mój asystent, wykonywał wszystkie nudne biurowe zajęcia, które nie pozwalały mu nabrać orientacji w sprawach ogólnych. Niestety, jest on osobnikiem dość ciekawym i udaje znaczne zaangażowanie w pracy, przez co jestem zmuszona do ukrywania przed nim niektórych danych i czynności, które wykonuję. Wygląda to bardzo zabawnie, kiedy mój asystent wchodzi do pokoju, a ja nerwowo chowam do biurka papiery albo szybko zmieniam ekran na monitorze. Czasem, żeby spokojnie popracować, przychodzę do pracy wieczorami — wtedy nikt nie obserwuje tego, co piszę i gdzie dzwonię.

Ten gnojek z każdym dniem był jednak coraz bardziej ciekawski. Mimo że nie udało mi się ustalić powiązań, jakie łączyły go z osobą dyrektora, straciłam do niego resztę zaufania, kiedy powiedział:

— Jesteś taka zapracowana. — Nieopatrznie zaproponowałam mu kiedyś przejście na „ty”. — A ja mam wrażenie, że ciągle robię tylko jakieś niepotrzebne drobiazgi, kiedy prawdziwa praca nadal skupia się na tobie. Pozwól mi zająć się czymś bardziej odpowiedzialnym. Będę mógł w ten sposób ulżyć ci... Daj mi szansę.

— Zadania, które ci powierzam, nie są żadnymi niepotrzebnymi drobiazgami — zaczęłam ostro, ale szybko przypomniałam sobie, że ostatnio kazałam mu zatemperować paczkę ołówków, więc spuściłam z tonu. — Każdy z nas musi wykonywać różne rzeczy i nawet jeśli wydają mu się mało istotne, to są one nieodzowne dla prawidłowego funkcjonowania firmy.

— Myślisz o tych ołówkach? — zapytał mój wredny asystent. Straciłam dla niego resztę sympatii.

— O ołówkach też. — Gdyby, chociaż umiał je zatemperować! Oczy bym sobie wykłuła, gdybym tak temperowała konturówki. — Masz jednak całkowitą rację, że jestem bardzo zapracowana. Radzę sobie doskonale, niemniej już wkrótce nasza firma zwiększy produkcję i wtedy będzie jeszcze więcej pracy. Twoje możliwości wykraczają, jak już zdążyłam się zorientować, ponad temperowanie ołówków, choć byłoby dobrze, żebyś tę czynność jeszcze trochę poćwi- czył, a na pewno dojdiesz do jako takiej wprawy...

Roześmiał się sztucznie. Widać, że moje uwagi uraziły jego miłość własną.

— W każdym razie, jeśli oczekujesz bardziej ambitnych wyzwań — ciągnęłam bezlitośnie — to na pewno je dostaniesz. Rzeczywiście są pewne sprawy, z którymi, jeśli ci podpowiem, poradzisz sobie mimo braku doświadczenia. Po południu dostaniesz ode mnie pierwszą sprawę, którą będziesz musiał załatwić samodzielnie. A teraz idź... poukładać gazety rocznikami. Straszny w nich bałagan.

Mój asystent udając zadowolenie, opuścił gabinet. A ja musiałam teraz szybko wymyślić dla niego jakieś zadanie wyglądające na bardzo ważne i odpowiedzialne. Takie, które nie ma nie wspólnego z tym, czym naprawdę się zajmujemy. I najlepiej zupełnie niewykonalne, żeby mu przytrzeć nosa. W końcu zbliżały się już trzy miesiące, od kiedy ze mną pracuje, i w końcu musiałam znaleźć jakiś dowód jego nieprzydatności lepszy od źle zatemperowanych ołówków czy nieumiejętności korzystania z centrali telefonicznej.

Kiedy przyszedł do mnie pochwalić się, że poukładał prasę nie tylko według roczników, ale także alfabetycznie, biorąc pod uwagę tytuły, uśmiechnęłam się i powiedziałam:

— Wiem, że to zadanie może się okazać dla ciebie za trudne. Skoro jednak w twoim odczuciu wcześniej wskazywane prace uznałeś za łatwe i niezbyt istotne, chciałabym tym razem przekazać ci sprawę ogromnej wagi. Jakiś czas temu wpadłam na pomysł zainteresowania telewizji książką Grzegorza Zubielowicza. Jak wiesz, ma się ona ukazać w ciągu dwóch miesięcy. Dotychczas nie prowadziliśmy wspólnych kampanii promocyjnych. Chciałabym, żebyś spróbował załatwić dla tego tytułu patronat medialny Dwójki. Oczywiście, nie będę miała pretensji, jeśli ci się nie uda. A teraz, jeśli pozwolisz, zerknę, jak ci poszło z prasą.

Pewny siebie poprowadził mnie w stronę regału z gazetami.

— Te półki to roczniki, na dole najstarsze tłumaczył mi swój nowatorski sposób układania prasy na regale. Od lewej do prawej układałem magazyny w kolejności alfabetycznej. Dla ułatwienia powkładałem także tekturki z wypisanymi literami, żeby łatwo było się zorientować...

Przyjrzałam się półkom i zapytałam:

— Michał, dlaczego w takim razie „Megaron” stoi pod B, a „Playboy” pod E?

Spojrzałam na mojego asystenta, który zrobił się purpurowy.

— No... bo tak jest. — Wyciągnął po jednym z magazynów. — „Megaron” to „Biuletyn Nowości Wydawniczych”. — Wskazał palcem. — Dlatego stoi pod B.

— A „Playboy”?

— „Edycja polska”. — Pokazał mi grzbiet pisma.

Wszystko wydawało się takie piękne. Kiedyś już próbowałam sama rozmawiać z telewizją o książkach i zawsze kończyło się to kompletnym fiaskiem. Na dyrektora marketingu nie działały ani prośby, ani groźby, ani moja uroda. Wyjątkowy typ. Nie potrafiłam mu sprzedać dużo lepszych tytułów niż książka Zubielowicza, która z pewnością trafi na przemiał, wkrótce po wyjściu z drukami. Byłam pewna, że kaktus mi wyrośnie prędzej, niż ten dzieciak załatwi coś w telewizji.

Trzy dni później mój asystent przyszedł do mojego gabinetu i powiedział tonem podniosłym:

— Załatwione.

Myślałam, że chwali się, iż udało mu się poukładać prasę według tytułów, a nie podtytułów czy napisów na okładkach (czasopisma kobiece ułożył według nazwisk aktorek i prezenterek telewizyjnych, których fotografie znajdowały się na pierwszej stronie).

— Czy mógłbyś przyjść później, teraz mam coś pilnego...

— Ale...

— Co ale?

— Załatwiłem tę telewizję, jak mi kazałaś...

Myślałam, że spadnę z krzesła.

— Powiedziałam już, że teraz nie mam czasu.

Spłoszony wyszedł z pokoju. Co ja teraz zrobię... Jak to się stało? To niemożliwe! To niemożliwe!

Jedyne, co mogłam zrobić, to jak najdłużej nie rozmawiać z nim na ten temat, żeby pomyślał, że to jednak mało istotne i nie ma się, z czego cieszyć. Po chwili zadzwonił telefon.

— Gratuluję, pani Ewelino!

To był dyrektor.

— Dziękuję, panie dyrektorze... A właściwie o co chodzi?

— Dowiedziałem się właśnie, że udało się załatwić patronat Dwójki dla naszej nowej książki.

— A tak, rzeczywiście. To nic takiego, panie dyrektorze. Standardowa procedura...

— Niech pani nie będzie taka skromna, pani Ewelino. Wiem, że spory udział w tym osiągnięciu ma pani asystent. Cieszę się z tego, tym bardziej, że to ja go pani poleciłem. To chyba przesądza sprawę jego angażu na dalszy okres. Chciałbym także, żeby pani zaproponowała dla niego podwyżkę, powiedzmy, dwudziestoprocentową... Proszę to tylko dobrze uzasadnić. Jeszcze raz gratuluję.

Co ja narobiłam! Tak chciałam być sprytna...

— Michał! — zawołałam mojego asystenta przez telefon — chodź tu i opowiedz wszystko.

Opowiadaj, jak to zrobiłeś.

— Tak jak mi kazałaś.

— To znaczy?

— Poszedłem z tym prosto do dyrektora.

— I?

— Przekonałem go, że warto się zaangażować.

— Nie było to chyba trudne, to bardzo ciekawy tytuł...

— On powiedział, że będzie to z pewnością najgorsza książka roku, ale zrobi to dla mnie.

— Dla ciebie?

Nic już nie rozumiałam.

— To mój wuj.

Katastrofa? Kompletna katastrofa!

Jakub

Siedzę sam w pełnej sali kinowej. Sam, bo Tomek, chociaż w krótkich spodniach, to jednak jest bohaterem wieczoru i zajął honorowe miejsce, razem z producentem, scenografem, scenarzystą, operatorem i oczywiście aktorami. Siedzę sam, bo nikogo tu nie znam, prócz Tomka. Sam, bo wokół jest pełno ładnych dziewczyn tulących się do swoich facetów. A ja jestem sam.

Zawsze przerażała mnie taka samotność. Kiedy wszyscy wkoło świetnie się bawią, kiedy są szczęśliwi. Najgorsze są walentynki, ale walentynki są tylko raz w roku. Z góry wiadomo, którego lutego i można się jakoś przygotować. Na przykład zaszyć gdzieś w puszczy; nie wychodzić z domu, nie oglądać telewizji i nie odbierać telefonów. Z walentynkami można sobie poradzić, przy odrobinie inicjatywy. Znacznie gorzej jest w pozostałe dni roku, kiedy na zupełnie nie przygotowanego człowieka spada nagle romantyczna atmosfera. Przechodzisz przez stare miasto, zamyślony nawet nie zauważasz, że już zrobiło się ciemno. Iluminowane kamienice wyglądają dużo ładniej niż za dnia, ktoś gra jazz na saksofonie... Mijają cię pary. Starsi, w twoim wieku, młodzi. Spoglądasz na nich z zazdrością, zastanawiasz się, jak to możliwe, że innym się układa. Chciałbyś teraz objąć swoją dziewczynę i pocałować ją. Ale nie ma żadnej „twojej dziewczyny”. Nie ma nikogo, kto chciałby być tu teraz z tobą.

Nagle, gdy w kinie zgasły światła, poczułem się koszmarnie samotny. Nie, dlatego, że to będzie film o miłości. Nie, dlatego, że mam dwadzieścia siedem lat i od czasów studiów umówiłem się tylko z jedną dziewczyną. Zresztą, nie przyszła. Poczułem się tak bez konkretnego powodu. Jakby świat się rozpadał. Od wczoraj nie zmieniło się nic, oprócz stanu licznika wody. Właściwie wczorajszego dnia nie powinienem w ogóle wspominać, w końcu krzyczałem w pubie, że nie mam dziewczyny. To nie jest najlepszy sposób na zainteresowanie sobą kogokolwiek, choć akurat wczoraj okazał się skuteczny.

Tomek ma coś, co trzyma go na powierzchni. Nakręcił swój film, jest z tego strasznie dumny i widać to po nim, nawet, gdy ma straszego kaca. Tomek jest artystą, wcześniej czy później kobiety zaczną się nim interesować, choćby kręcił bardzo złe filmy. Przecież nawet w złych filmach muszą grać ładne aktorki. Pewnie zaraz po premierze dostanie mnóstwo wizytówek i karteczek z numerem komórki do różnych obdarzonych (również talentem) kobiet.

Co ze mną? Moja przyszłość nie maluje się tak kolorowo. Prawdopodobnie niebawem stracę pracę w każdym razie szef już mi to obiecał i, jak sędzę, słowa dotrzyma niezależnie od moich

starań. Z wiekiem nie staję się ani mądrzejszy, ani wyższy, ani bardziej przystojny. Jeśli kiedyś robiłem jakieś wrażenie na dziewczynach, to teraz już tylko uśmiechają się do mnie kelnerki (oczywiście licząc na napiwek).

Film Tomka zaczął się już kilka minut temu. A może były to jeszcze reklamy sponsorów? Nie jestem pewny, czy pierwsze sceny miały coś wspólnego z fabułą, jako że nie potrafię skupić się na ekranie. Jutro przeczytam recenzje i na ich podstawie podzielę się „swoimi” uwagami z Tomkiem. A później jeszcze raz wybiorę się na ten film. Sam. No właśnie, sam.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak się rozklejam. Powiniennem się już przyzwyczaić do tego, że nie mam kobiety. Nawet Agnieszka już do mnie nie dzwoni. Nie mam do niej o to pretensji, wręcz odwrotnie, bardzo mi na tym zależało. Nie potrafiłbym ułożyć sobie z nią życia. Rany! Ostatnio łapię się na takich sformułowaniach, jak: „ułożyć sobie z kimś życie”, „być na stałe”, „związać się na poważnie”. Nigdy wcześniej nie myślałem ani nie mówiłem takich rzeczy. Chyba zacznę się starzeć.

Czy coś przegapiłem, czy pozbawiłem siebie jakiejś szansy? Wiem, czego najbardziej żałuję — tego, jak wyszło z Ewelina. Nic na to nie poradzę teraz i nie poradziłbym wtedy. Ale bardzo żałuję. Od tamtej pory ciągle wracam do niej myślami, zastanawiam się, co teraz robi, z kim jest... Jeśli mam być szczerzy, to przy tym ostatnim ciarki przechodzą mi po krzyżu. Myśl, że Ewelina jest z jakimś facetem, wcale nie jest dla mnie miła. Nie mam prawa być zazdrosny, nie oczekuję od niej celibatu, ale jednak nie chcę myśleć, że jest z innym facetem. To głupie, ale nic na to nie poradzę.

Myślałem wiele razy, żeby ją odnaleźć. Może przez uczelnię znalazłbym adres jej rodziny. Może wystarczyłoby przepytac koleżanki z mojego roku któraś z nich mogła przecież mieć z Ewelina bliższy kontakt. Za każdym razem strach sprawiał, że kończyło się tylko na zamiarach. Moja wyobraźnia nie uporała się z kłopotem bezpośredniej rozmowy z Ewelina. Przecież nie mogłem tak po prostu powiedzieć „Cześć! Co u ciebie?”. Nie jestem pewny, co powinienem w takiej sytuacji zrobić. Ciekawe, czy nadal wygląda wspaniale. A jeśli nie wygląda? Nie, to raczej pewne, że wygląda tak samo dobrze, jeśli nawet nie lepiej. Jeśli ktoś się zmienił, to tylko ja. Od tamtej pory przytyłem, a przy dokładniejszym przyjrzeniu się linii mojego czoła można dostrzec pierwsze symptomy łysiny. Tak w każdym razie mnie się wydaje, choć mogę nie mieć racji, co do powiększania się powierzchni mojego czoła. W końcu cierpię na bigoreksję. Będę musiał z tym iść do jakiegoś psychologa. Najlepiej kobiety. Nie zamężnej. Ładnej. Bez faceta. Gdzie ja taką znajdę?

Nie wiem, o co chodzi w tym filmie. Od dłuższego czasu jakaś dziewczyna jedzie na hulajnodze. Nie narzekam jest naprawdę ładna i ma zgrabne nogi. Widać, że nie na darmo Tomek spędził prawie miesiąc na castingach w różnych częściach Polski. Muszę przyznać, że mój przyjaciel ma dobry gust, co do kobiet, choć nie jestem pewny, jaki z niego filmowiec. Ta dziewczyna, bohaterka filmu, jedzie na tej hulajnodze przez jakieś miasteczko, potem przez pole, wieś, znowu pole. Oprócz nóg dziewczyny i dziewczyny w całości kamera pokazuje krajobrazy. Zupełnie normalne, choć podejrzewam, że Tomek wybierał plenery razem ze scenografem przez dobry miesiąc.

Dziewczyna, która gra główną bohaterkę, siedzi przy Tomku i co chwila zerka na swojego reżysera. Tomek nie może tego nie widzieć, chociaż trzyma się za głowę, na której ma wielki kompres. Na pewno wolałby być w lepszej formie, zwłaszcza, że siedzi przy nim taka piękność. Aktorka musiała jednak zignorować jego zaloty jeszcze na planie filmowym, skoro nie mówił mi, że udał mu się jakiś romans. Myślę, że pochwaliliby się upolowaniem takiej laski.

Ciekawe, ile jeszcze potrwa ten film. Powinienem wyjść do toalety, ale boję się, że Tomek zauważy moje wyjście, i będę musiał potem długo się tłumaczyć. Czy naprawdę nie mogłem wytrzymać tych trzech godzin w jednym miejscu? Dlaczego rozboleł mnie brzuch, czy jego film był tak zły? Mógłbym spróbować cichutko wymknąć się na korytarz. Jest jednak bardzo ciemno teraz bohaterka jedzie na hulajnodze w nocy i na pewno wychodząc, zwróci na siebie uwagę. Obudzę kogoś i wystraszony zacznie krzyczeć, kopnę w brzuch ciężarną albo nadepnę torebkę szeleszczących cukierków. Jeśli spróbuję wyjść do toalety, to musi się to skończyć katastrofą. Zostanę, więc na miejscu i pooglądam film.

Zanim jednak skoncentruję się na filmie, włączę na chwilę telefon, żeby sprawdzić, czy nie dostałem e-maila. WAP to dla mnie prawdziwe dobrodziejstwo w tym wielkim przekleństwie ludzkości, jakim jest telefon komórkowy. Czytałem w gazecie, że, od kiedy komórki stały się powszechne, w zamkach ukazuje się coraz mniej duchów. Nie wiem, jaki to ma związek, wiem natomiast, że kiedyś, gdy czekało się na ważny telefon od dziewczyny albo w sprawie nowej pracy, trzeba było cały czas siedzieć w domu. Jeśli ktoś był odważny albo nie zależało mu na dziewczynie, to kupował automatyczną sekretarkę i mógł wyjść i robić cokolwiek. Teraz mamy telefony komórkowe, więc nie musimy spędzać całych dni w domu. Za to jeśli zależy nam na rozmowie co dwie minuty, sięgamy nerwowo do kieszeni, bo gdzieś pojawił się dźwięk podobny do naszego dzwonka. A jeśli melodia jest dość popularna, to wyciągamy telefon, co pół minuty.

Mój aparat jest dość cichy. Jeśli mam go w marynarce i idę przez miasto, prawie nigdy nie słyszę, jak dzwoni. Jakiś czas temu chciałem umówić się z dziewczyną pracującą w firmie, która jest klientem mojej. Ładną, postawną blondynką. Zadzwoiłem do niej z pracy.

— Cześć, tu Kuba.

— Cześć, Kubo. Jest jakiś problem z dostawą?

— Nie, dlaczego? Dzwonię, bo chciałem z tobą porozmawiać. Tak bardziej prywatnie.

— Słuchaj, teraz mamy tu straszny kocioł. Zadzwoię do ciebie za godzinę, półtorej...

— Ale ja zaraz wychodzę z pracy...

— OK. Podaj mi swoją komórkę. Zadzwoię, jak tylko będę mogła.

Podyktowałem jej swój numer i wyszedłem z biura. Tak się składało, że najbliższe dwie godziny musiałem spędzić na załatwianiu różnych spraw na mieście. W dodatku mój aparat zaczynał szwankować w przyszłym tygodniu chciałem kupić nowy. Telefon nieraz tylko świecił kolorową diodą, sygnalizując połączenie, ale nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Chodziłem po mieście z telefonem w ręku, co chwila na niego zerkając. Jadąc autobusem i w napięciu gapiąc się na wyświetlacz telefonu, wzbudzałem niezdrowe zainteresowanie współpasażerów.

— Właśnie idzie „Stawka większa niż życie” — wytłumaczyłem swoje zachowanie starszej pani siedzącej naprzeciwko mnie, z niepokojem obserwującej moje poczynania. — Ten odcinek, kiedy Klossa prawie zdekonspirowali — dodałem po chwili.

Staruszka uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Po trzech godzinach gapienia się w telefon schowałem go do kieszeni zupełnie zrezygnowany. I wtedy usłyszałem ostry, strasznie głośny dzwonek, tak głośny, że wszyscy ludzie na ulicy spojrzeli na mnie. To dzwoniła moja koleżanka.

— Przepraszam, że tak długo czekałeś. — Usłyszałem w słuchawce.

Umówiłem się z nią na najbliższy piątek. Nie przyszła, a jej firma przestała u nas kupować akcesoria. Szef zapytał mnie, jak to zrobiłem, że zniechęciłem naszego najlepszego klienta, który kupował u nas „od zawsze”. Wtedy też po raz pierwszy powiedział, że mnie wyleje.

Ewelina

Mój dyrektor jest osobą bardzo nieśmiałą. Do tej pory nie potrafiłam zrozumieć jego dwuznacznego zachowania. Z jednej strony awansował mnie, najmłodszą i najatrakcyjniejszą dziewczynę w dziale (w firmie), z drugiej nie potrafił nigdy zrobić tego kolejnego kroku. Być może ma jakieś straszne kompleksy na punkcie swojej męskości. Zawsze unika publicznych przemówień. Gdy trzeba się gdzieś pokazać, powiedzieć coś dla prasy — zawsze dyrektor wskazuje na mnie. „Pani to zrobi znakomicie, pani Ewelino” — mówi, a mnie nie pozostaje nic innego, jak zrobić to naprawdę znakomicie. Czasem są z tym pewne problemy, na przykład w sytuacji, gdy dyrektor wysyła mnie na rozmowę w sprawie książki, o której właśnie się dowiedziałam, że mamy zamiar ją wydać. Tak było ostatnio kiedy przysłał do mnie dziennikarkę z „Polityki”.

— W państwa planach wydawniczych znajduje się książka *Kangury* Ludgardy Damber — zaczęła dziennikarka.

— Tak... Wczoraj dyrektor mówił mi coś o tej książce, ale zapomniałam, co. Jest to kontynuacja serii popularnonaukowej, której wydawania jakiś czas temu zaniechaliśmy. Nasza seria „Spotkania z przyrodą” cieszyła się niegdyś niemałą popularnością, postanowiliśmy więc podtrzymać dobre tradycje i przybliżyć naszym czytelnikom ten ciekawy gatunek ssaków.

— Podtytuł tej książki brzmi „Wiersze wybrane”, chyba więc nie chodzi o literaturę popularnonaukową. — W oczach dziennikarki dostrzegłam kpinę.

— Ach... Pani chodzi o *Kangury* tej znakomitej poetki...

— Damber — podpowiedziała mi dziennikarka.

— Oczywiście. Ostatnio do planu wydawniczego włączyliśmy książkę *Kangury. Boks i skakanie* traktującą o tych zwierzętach. Wszystkim w wydawnictwie mylą się te tytuły. Myślałam, że pani... Boże, co za nieporozumienie...

— Naszych czytelników szczególnie interesują sportowe dokonania kangurów.

— A szkoda, bo to naprawdę ciekawa książka. Autor opisuje w niej historię...

— Jeśli pani pozwoli, to wolałabym wrócić do poezji — przerwała mi bezczelnie moja rozmówczyni.

— Ależ proszę. Pani Gamber...

— Damber — poprawiła mnie znów dziennikarka.

— A jak ja powiedziałam?

— Powiedziała pani Gamber. Mniejsza z tym.

— Zwykle przejęzyczenie. Więc wiersze pani Damber zainteresowały nas ze względu na wspaniałe opisy australijskiej przyrody...

— Rozumiem, że ten zbiór będzie zawierał wyłącznie nowe wiersze...

— Nie, oczywiście, te stare, najbardziej popularne także...

— To dziwne, co pani mówi, gdyż pani Damber jest znana przede wszystkim ze swoich elegii opisujących los polskiego emigranta na odległym kontynencie...

O nie. Ona wie o tym więcej ode mnie.

— To prawda. My jednak, przyznaję, dość przewrotnie, chcielibyśmy zwrócić uwagę także na jej dokonania w dziedzinie poezji apolitycznej, ukierunkowanej na przeżywanie przyrody, na przykład walk godowych kangurów, opisanych z niezwykłą swadą i ogromną wrażliwością...

— Ale wiersz *Kangury*, który państwu posłużył za tytuł zbioru, jest wierszem o wyjątkowym znaczeniu politycznym...

— To prawda. W taki sposób został odczytany. Ale dzisiaj, kiedy te sprawy należą już do przeszłości, młodego czytelnika mogą zainteresować w tym wierszu także inne elementy.

— Na przykład?

— No... kangury.

— Bardzo ciekawe. Pani pozwoli, że zacytuję ją w artykule.

— Ależ oczywiście.

Innym przykładem nieśmiałości mojego dyrektora jest to, jak czasem chce być miły. Na przykład wchodzi do mnie rano i mówi jakiś komplement, ot, choćby „Ale ładnie pani dzisiaj wygląda, pani Ewelino”.

Biedaczek, tak się krępuje, że nie potrafi przy tym na mnie spojrzeć, tylko wbija wzrok w Michała. Naprawdę urocze.

Dzisiaj w drodze do pracy postanowiłam uwieść dyrektora. Myślę, że to jedyny sposób utrwalenia mojej pozycji w firmie, po tym co zrobił mi ostatnio mój asystent. Muszę się liczyć z tym, że to dopiero początek nieszczęść, bo jeśli ktoś ma wujka dyrektora w telewizji, to pewnie ma także ciotkę dyrektorkę w ministerstwie.

— Zrób mi kawę — wydałam polecenie Michałowi, kiedy przyszedłam do pracy.

Od tej pory nie dam mu żadnej sprawy, z której może wynikać coś dobrego dla firmy, gdyby ją załatwił. Muszę wymyślić coś takiego, żeby było to zupełnie bezsensowne i nie miało nic wspólnego z rzeczywistymi działaniami marketingowymi.

— Fajnie, że idziemy dzisiaj na premierę, prawda? — powiedział mój asystent, kiedy podawał mi kawę.

Filizanka wypadła mi z ręki.

— Naprawdę nie ma sensu, żeby ciebie ciągnąć do kina — powiedziałam, kiedy już pozbiegaliśmy skorupki. — Z tego, co słyszałam, ten film jest trochę nudny.

— Dyrektor chciał, żebym też był. Wiesz, tak na wszelki wypadek... Mogę się na coś przydać.

Dyrektor chciał. Boże, pierwsza okazja, żebym została z dyrektorem wieczorem sam na sam, pierwsza tak znakomita okazja... Premiera filmu, na której będziemy siedzieli obok siebie, potem bankiet, który na pewno się przeciągnie do późna, dyrektor zaproponuje mi podwiezienie do domu, a ja wtedy... Miałam taki świetny plan, a on kazał przyjść temu idiotcie...

— Jestem tak podniecony. Uwielbiam filmy Tomka Kowalskiego — paplał mój asystent.

Nie wytrzymałam i zwróciłam mu uwagę;

— Chyba go z kimś pomyliłeś. To przecież debiutant.

Rzeczywiście, to jest jego pierwszy pełnometrażowy film. Ale znam jego dwie etiudy, skróconą wersję *Quo vadis* i *Anna Karenina w kwadrans*. Dlatego spodziewam się najlepszego po tej premierze. Kowalski to objawienie młodego kina. Bardzo się cieszę, że będę mógł go wreszcie poznać.

Wiedziałam, że pracuję z idiotą, ale że aż z takim?

W kinie nie siedziałam wcale koło dyrektora. Jakoś tak dziwnie się zakręcił i usiadł w rzędzie przede mną razem z moim asystentem. Niby, dlatego, że tam były miejsca pośrodku, a ja będę wychodzić na scenę, więc powinnam siedzieć blisko przejścia. Jeszcze zanim usiedliśmy, wpadł na nas reżyser Kowalski. Był w krótkich spodniach na gumce i w dziwnej koszuli z podwiniętymi rękawami. Włosy na głowie reżysera były mokre, w rękę artysta trzymał chustkę, z której wypadały bryłki lodu.

— Bardzo panią przepraszam — powiedział reżyser, kiedy potrącił mnie, zatrzymując się głową na moim biuście.

Miałam wrażenie, że czuć od niego kawę i wódkę.

— Panie reżyserze powiedziałam pozwoli pan, że przedstawię mojego dyrektora...

Filmowiec jakby się ocknął i podał rękę dyrektorowi.

— Tomek Kowalski... Uwielbiam wasze książki. Zwłaszcza *Dziennik Bridget Jones*. Kupiłem sobie obie części.

— To nie my wydaliśmy *Bridget Jones* — powiedział skromnie dyrektor.

Reżyser podrapał się po czaszce srodze zmartwiony. Nagle się rozpogodził:

— W takim razie powinniście to zrobić — powiedział do dyrektora. — To świetna książka... Przepraszam, ale muszę już iść...

— Panie reżyserze — zatrzymał go mój asystent, którego celowo nie zamierzałam przedstawić. — Panie reżyserze, widziałem wszystkie pana filmy... Czy mogę prosić o autograf...

Filmowiec zatrzymał się trochę zdziwiony. Sekundę później odnalazł się w sytuacji i zaczął szukać po kieszeniach. Mój asystent błyskawicznie podał mu czystą kartkę i OSTRO ZATEM-PEROWANY OŁÓWEK.

— Dla Michała — powiedział.

Reżyser gestem ręki kazał mu się obrócić. Mój asystent z niespotykaną w pracy lotnością odczytał ten gest i nadstawił filmowcowi plecy. Kowalski oparł się na nim i zaczął bazgrać po kartce. Na końcu złożył zamaszty podpis, którego ostatni element był najwyraźniej kropką, gdyż artysta wziął spory zamach i wbił ołówek w plecy Michała, tak że ten wyprostował się gwałtownie...

Kiedy reżyser odszedł, mój asystent z dumą pokazał mi idealnie zatemperowany ołówek, którym został ugodzony, mówiąc:

— Ćwiczyłem po pracy...

Po czym zaczął oglądać z różnych stron kartkę z autografem. Kiedy zerknęłam mu przez ramię, udało mi się przeczytać napis: „W dniu urodzin Stasiowi. Tomek K [ogromna dziura]”. Wyglądało na to, że reżyser postawił kropkę po literze K kropkę, którą jakiś czas z dumą będzie nosić na plecach mój asystent.

W trakcie seansu nie potrafiłam skoncentrować się na filmie, tylko cały czas zerkałam w stronę dyrektora wymieniającego ciągle jakieś uwagi z Michałem. O czym oni mogą tak cały czas gadać? Chyba nie o filmie?

Obudziły mnie zapalone światła i gromkie oklaski. Ludzie dokoła mnie nagradzali film brawami na stojąco. Szybko dołączyłam do szeregu i klaskałam wraz z innymi. Potem nastąpiły oficjalne przemówienia. Po bełkocie reżysera, niedorzecznych słowach producenta i szczebio-cie odtwórczyni głównej roli przyszedł czas na sponsorów. Moja firma znajdowała się na liście zaraz po producencie hulajnóg, które były używane podczas kręcenia filmu. Na szczęście tym razem nic nie mogło mnie zaskoczyć. Przemówienie przygotowałam sobie wcześniej już od tygodnia leżało na moim biurku... O Boże! Leżało tam i pewnie nadal leży... Nie mam ze sobą przemówienia!

— Prosimy panią Ewelinę Wagner! — Usłyszałam ze sceny.

Podchodząc do mikrofonu, starałam się równo, spokojnie, głęboko oddychać.

— Dobry wieczór... — powiedziałam niepewnie. — Wyznam państwu szczerze... — Co ja im chciałam powiedzieć szczerze? — Przyznam, że kiedy pan Tomasz Kowalski przyszedł do naszego wydawnictwa, myśleliśmy, że postanowił sobie z nas zażartować. Kiedy jednak zaczął opowiadać o swoim przedsięwzięciu, przedstawił wszystkie szczegóły i początek scenariusza, zrozumieliśmy, że to nie żarty. Zrozumieliśmy, że on naprawdę chce zekranizować wiersz Marka Grzybczyńskiego *Kobieta na drodze*. Nadal jednak nie wiedzieliśmy, czy ten film to żart czy zapowiedź zupełnie nowego kina artystycznego. Teraz już wiemy, Tomasz Kowalski nakręcił prawdziwie nowatorskie arcydzieło. Pokazał, że można sfilmować nie tylko powieści Sienkiewicza, nie tylko *Pana Tadeusza*, ale że można zrobić z sześciowersowego wiersza trzygodzinny, trzymający w napięciu film akcji! Cieszymy się, że nasze wydawnictwo miało w tym przedsięwzięciu swój udział. Gratulujemy i trzymamy kciuki. Panie Tomaszu, jeszcze tyle znakomitych wierszy do sfilmowania! Nasze wydawnictwo zawsze chętnie panu pomoże.

Dostałam oklaski. Na siedząco, ale zawsze. Dyrektor pogratulował mi świetnej pamięci. Myślał, że wkułam tekst przemówienia. Michał miał minę, jakby wiedział, że zostało ono na moim biurku. Jutro muszę szybko wyrzucić je do kosza. Ale najpierw je podre — już raz widziałam, jak Michał przegląda moje śmieci.

Po części oficjalnej zaczął się bankiet. Zastanawiałam się, jak się pozbyć mojego asystenta, żeby nie przeszkadzał mi we flirtowaniu z dyrektorem, kiedy ten powiedział:

— To my już pójdziemy.

Jakie my? Kto? Gdzie?

— Przecież bankiet dopiero się rozpoczyna...

— Nie, nie... Pani zostanie i bawi się jak najlepiej. Michał trochę źle się czuje, odwiozę go do domu...

— Ale później pan wróci, prawda? — zapytałam jak idiotka.

— Ja także czuję się zmęczony. W ogóle nie spałem na seansie. Położę się dzisiaj wcześniej.

Kiedy odchodzili, dyrektor myśląc, że już nie patrzę, wziął mojego asystenta za rękę. Zrozumiałam, że jednak wcale nie jest nieśmiały.

Jakub

Kiedy usłyszałem jej nazwisko, nie wierzyłem, że to ona. To, że znam tylko jedną Ewelinę Wagner, to, że tylko jedną Ewelinę Wagner pamiętam, nic jeszcze nie znaczy. Kiedy stanęła przy mikrofonie, nadal nie mogłem uwierzyć. A jednak to była Ewelina.

Czy to nastrój chwili, czy głód seksualny, nie wiem, ale wyglądała piękniej, niż ją zapamiętałem. Kilka lat temu była olśniewającą dziewczyną, jedną z wielu olśniewających dziewczyn, które znałem albo miałem nadzieję poznać bliżej. Tu, w kinie, przyćmiewała wszystkie aktorki, prezenterki, dziennikarki, wszystkie mniej lub bardziej wystrojone kobiety. Była bezkonkurencyjna. Była gwiazdą. Prawdziwą gwiazdą filmu. Wycięta z oscarowej gali, w prowincjonalnym kinie prowincjonalnego kraju błyszczała prawdziwym blaskiem, przy którym wszystko inne traciło znaczenie.

Słuchałem tego, co mówi Ewelina, chłonałem jej głos i rozpaczliwie kombinowałem, co zrobić, żeby tym razem ta kobieta nie wymknęła mi się. Żeby wykorzystać niespodziewany dar losu, nieoczekiwaną szansę, która stanęła przede mną. Szybko w myślach uporządkowałem dalszy ciąg wieczoru: przemówienia potrwają jeszcze chwilę, potem na górze, w restauracji odbędzie się bankiet. Czy może się zdarzyć, że Ewelina wyjdzie zaraz po przemówieniu? Co wtedy zrobić?

Serce biło mi gwałtownie, miałem wrażenie, jakby miało ochotę na zawał albo coś w tym rodzaju. Wsłuchałem się w słowa Eweliny i znalazłem w nich ratunek. Ewelina pracuje w wydawnictwie, jeżeli nie będzie jej na bankiecie, dotrę do niej przez Tomka, który zdaje się, dobrze ją zna. Wyobraziłem sobie siebie, jak przychodzę do wydawnictwa z bukietem kwiatów, jak rzucam zgrabnymi komplementami i delikatnie wypytuję Ewelinę o jej obecne życie wszystko dokładnie zaplanowane i przygotowane. Żadnej improwizacji. Ta wizja mnie uspokaja i skoro już Ewelinę odnalazłem, lub inaczej, skoro sama się odnalazła, chyba wolałem, żeby opuściła bankiet. To dawało mi kilka dni na przygotowania. Także możliwość konsultacji moich kroków z Tomkiem, a może nawet coś więcej niż duchowe wsparcie z jego strony. Kto wie, w jakich układach w tej chwili jest Tomek z Ewelina!

Dla pewności, że nie spotkam Eweliny na bankiecie, postanowiłem chyłkiem się z niego wymknąć. Kiedy ustawiałem się w kolejce do szatni, ni stąd, ni zowąd pojawił się Tomek.

— O, tutaj jesteś! — zawołał na mój widok. — Wszędzie cię szukałem. Jak film?

— Cudowny. Ambitny. Odważny.

— Dziękuję ci, nawet jeśli to nieprawda. Dziękuję, że to powiedziałeś... Czy ty gdzieś wychodzisz?

— Ja... Właściwie... — zaplątałem się.

— Nie żartuj. Impreza dopiero się zaczyna. Chodź, przedstawię cię wszystkim. Poznasz świetnych ludzi. Jest parę tajnych aktorek. — Pociągnął mnie w stronę restauracji.

— Słuchaj, znasz Ewelinę Wagner?

— Wagner? To ta z wydawnictwa? Ta, co przemawiała. Pewnie, że znam. Świetna, nie? Ale daj sobie spokój strasznie oschła.

— Tomku, to jest Ewelina.

— Wiem, jak ma na imię.

— Nie zrozumiałeś mnie. To jest Ewelina. MOJA Ewelina.

Mój przyjaciel stanął zaskoczony.

— Nie żartuj. Jesteś pewien?

— Tak jak tego, że nakręciłeś film.

— O kurde...

— Co o niej wiesz?

— Niewiele. Jest miła, ale nie dała mi się poderwać. Strasznie służbowa. Ostra kobitka. No, ale stary... I ty chciałeś wyjść z bankietu? Wal do niej jak w dym...

— Nie jestem przygotowany... Nie wiem, co powiedzieć...

Tomek spojrzał na mnie uważnie.

— Wiesz, co powiedzieć. Wiesz.

Miał rację. Chciałem przed nią uciec. Jestem tchórzem. Weszliśmy do restauracji. Tomek w ciągu trzech godzin seansu solidnie się przespał i był pełen energii. Błyskawicznie zlokalizował Ewelinę.

— Pójdę z tobą — powiedział. — Idziemy teraz, zanim wszyscy faceci zaczną się koło niej kręcić.

— Nie... Dam sobie radę — sam próbowałem oponować.

— I będziesz się czaił przez pół godziny? Idziesz ze mną, przynajmniej będę miał pewność, że z nią porozmawiasz.

— Ale...

— Nie rób dymu — powiedział krótko reżyser i ruszył w stronę Eweliny.

Poszedłem za nim, żeby nie robić dymu.

— Dziękuję pani za wspaniałe słowa pod adresem mojego filmu — rozpoczął Tomek.

Miałem ochotę uciec, ale Tomek jedną ręką dyskretnie trzymał mnie za pasek od spodni.

— Czy zna pani mojego najlepszego przyjaciela, Kubę Woźniaka? — zapytał.

Ewelina spojrzała na mnie dopiero w tym momencie.

— Kuba? To ty?

— Tak, to ja.

— Rety... To wy się znacie? — udał zdziwienie Tomek.

— My z Kubą — zaczęła Ewelina i przerwała, jakby nie chciała dokończyć. — My... Znamy się ze studiów.

— Niesamowite. Słuchajcie, muszę was zostawić, rozumiecie, wszyscy chcą ze mną pogadać. Zwłaszcza z prasą muszę porozmawiać, zanim się upiję.

— Po pijanemu też sobie radzi z prasą — powiedziałem, kiedy Tomek odszedł. — Pięknie wyglądasz.

— Jesteś miły... Ale wiesz, jak to jest, lata lecą...

— Wyglądasz jeszcze ładniej niż wtedy. Naprawdę.

— Nie wiem, co powiedzieć... Ty też wyglądasz całkiem nieźle. Stałeś się... — szukała chwilę słowa... — dojrzałszy.

— Dziękuję.

— Słyszałem, że świetnie sobie radzisz.

— Myślisz o wydawnictwie? Wiesz, to nie to samo co Pepsi czy Syrena Group. To niewielka państwowa firma i niezbyt duże pieniądze.

— Ważne, jak ty się w tym czujesz, czy to jest to, co chcesz robić...

— Nie jestem pewna. Lubię książki i pracę z nimi. Czasem jednak wolałabym sprzedawać parówki. Parówki ludzie na pewno kupią.

— A książki niekoniecznie?

— Dokładnie. A ty, co porabiasz?

Mam jej powiedzieć, że jestem bliski wylania z firmy sprzedającej miski dla psów i kotów?

— Trochę handluję antykami. — To było dobre, ale nie przekonało jej do końca. Czuję, że muszę powiedzieć coś jeszcze. — Poza tym kręcę się w filmie.

— Robiłeś coś przy tym? — Zdaje się, że to ja zainteresowało.

— Przy tym? Niewiele. Właściwie tylko cucilem reżysera przed premierą...

Uznała to za żart i zaczęła się śmiać.

— Dobrze! A poważnie? Co robisz? Światło? Scenografia? Scenariusz?

Światło? Scenografia? Scenariusz?

— Scenariusz. Pracujemy z Tomkiem nad czymś nowym.

Miałem wrażenie, jakbym jej trochę zaimponował.

— Wiesz, naprawdę mnie zaskakujesz...

Siebie też. Mam nadzieję, że Tomek nie spije się za szybko i zdąży go przygotować na wypadek, gdyby Ewelina coś wspomniała o „czymś nowym” w związku ze mną.

— No, nie bądź taki skromny... Powiedz coś więcej... Co to będzie? Ekranizacja jakiegoś wiersza? — wyciągała ze mnie Ewelina.

— Nie, to coś zupełnie innego. Zupełnie.

Żebym się tylko nie zaplątał.

— Wiesz, takie filmy jak ten... Tomek chciał pokazać klasę tym wszystkim krytykom... Ale wie doskonale, że fortuny nie zarobi na kinie ambitnym. W każdym razie tak bardzo ambitnym. Chcemy zrobić coś lżejszego.

— I słusznie — zgodziła się Ewelina.

— To będzie zupełnie nowe zjawisko w polskim filmie — ciągnąłem natchniony. — Film, który nie będzie ani głupią komedyjką, ani ciężkim, niezjadalnym obyczajowcem dla snobów...

— Macie już tytuł? — zapytała, zanurzając palce w swoich włosach.

Mamy tytuł?

— Życie z blondynką... — powiedziałem trochę niepewnie.

— Życie z blondynką — powtórzyła Ewelina. — Ty to wymyśliłeś?

Spodobało jej się czy nie?

— To tylko tytuł roboczy — zastosowałem unik.

— Twój?

Zwalić to na Tomka?

— Mój.

— Świetne. Już chcę to obejrzeć.

Uff...

— Kim będzie ta blondynka?

— To dziewczyna, którą główny bohater poznaje na studiach...

— Czyli to nie ona jest główną bohaterką?

— Jest. Mamy parę głównych bohaterów. Poznają się na studiach, coś między nimi zaiskrzyło...

— I?

— I nic. Ona jest z innym, on z inną. Oboje nie potrafią wyjść ze swego życia i spotkać się we wspólnym. Ich drogi się rozchodzą. On przerywa studia, bo sobie nie radzi, albo radzi sobie, ale chce uciec od niej jak najdalej. Nie wiem, jeszcze nad tym pracujemy. Po kilku latach spotykają się przypadkowo.

— To trochę tak jak my?

— Tak.

— I co się dalej stanie?

— Ich związki nie były udane. Będą chcieli spróbować jeszcze raz.

— To może być ciekawy film. Pod warunkiem, że nie będzie śmiertelnie poważny.

— Chcielibyśmy, żeby był dość zabawny. Coś jak Dziennik Bridget Jones. Tylko zamiast jednej dziewczyny jest ich dwoje, dziewczyna i chłopak. I to chłopak jest większym nieudacznikiem i pechowcem.

— Fajne. Zróbcie to. Może chwycić. Tylko pilnuj Tomka, żeby nie robił zbyt długich ujęć hulajnogi.

Zaśmiałem się.

— Przypilnuję go na pewno.

W końcu zdobyłem się, żeby zapytać:

— A jak Greg? Jesteście wciąż razem?

— Greg? — Ewelina zrobiła pauzę. — Tak, planujemy ślub.

A ja, głupi, myślałem, że może coś się zmieni...

Ewelina

Bezsensowność jest okropna. Przewracam się z boku na bok i nie potrafię zasnąć. Czytałam w „Newsweeku”, że co trzeci Polak ma problemy ze snem, nie mam więc prawa nawet poczuć się szczególnie wyróżniona.

Mogłabym poczytać. Zdaje się, że na półce stoi także książka o bezsensowności, którą dał mi ktoś z zaprzyjaźnionego wydawnictwa. Jednak bardzo boją mnie oczy, kiedy tylko zabieram się za czytanie. Pewnie powinnam jednak nosić okulary, ale nie potrafię siebie przekonać, że będę w nich dobrze wyglądać. Tylko założę szkła na nos i od razu mam pięć lat więcej.

Cały czas moje chaotyczne myśli powracają do wydarzeń wieczoru. Do tej pory nie mogę się pogodzić z odkryciem, że mój dyrektor jest gejem. I że mój asystent jest gejem, to drugie jest jeszcze trudniejsze do przyswojenia, gdyż podobno homoseksualiści są z reguły inteligentni.

Szef rozczarował mnie bardzo. Zamiast mojego romansu z nim jest romans między nim a Michałem. Jestem, oczywiście tolerancyjna i wyrozumiała, ale dlaczego, do jasnej cholery, to właśnie mój szef i mój asystent? Czy nie mogło być tak jak w normalnej firmie, że dyrektor sypia z sekretarką? Dlaczego ja zawsze mam pecha?

Monika kazałaby mi poszukać dobrych stron w tej sytuacji. W zagranicznych filmach i książkach kobiety zawsze mają jakiegoś przyjaciela geja. Mają wspólne tematy (kuchnia, garderoba, zdrowie, faceci), mogą wymieniać doświadczenia i wspierać się w trudnych chwilach (solidarność jajników?). Gej zawsze jest dobrym doradcą, jeśli chodzi o sprawy sercowe. Zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym poradzić się mojego dyrektora w jakiejś sprawie sercowej.

— Panie dyrektorze — powiem, kiedy wejdę do gabinetu chciałabym pana prosić o radę w sprawie osobistej...

— Oczywiście, pani Ewelino. My, geje, zawsze chętnie dajemy rady kobietom w sprawach natury osobistej...

— Dziękuję bardzo, panie dyrektorze...

— Zanim jednak wszystko mi pani opowie, chciałbym, by nasze stosunki były mniej oficjalne — mówi dyrektor, rozlewając dyrektorskie wino do dyrektorskich kieliszków. — Mów mi Genek proponuje, podając sto gramów reńskiego.

— Ewelina. — Podaję dyrektorowi rękę, a po chwili całujemy się serdecznie w oba policzki. Cmok, cmok.

— Ewelinko, kochanie, mów, w czym problem...

— Genek, wiesz, chodzi o mężczyznę...

— Moja droga, zawsze chodzi o mężczyznę! Uwiódł cię i porzucił?! Jak ja to wszystko znam! — Dyrektor aż podniósł się z dyrektorskiego fotela.

— Niezupełnie. W każdym razie nie ten.

— Zatem?

— Poznaliśmy się jeszcze na studiach. To bardzo miły chłopak, przyjaciel tego reżysera Kowalskiego. Był na bankiecie po premierze.

— Średniego wzrostu, niższy ode mnie, dobrze zbudowany, ale nie żaden kulturysta, czarne włosy, niebieskie oczy...

— Tak! Tak!

— Bardzo przystojny... Niestety, nie mam przy tobie najmniejszych szans...

— Och, przestań! A co z Michałem?

Dyrektor machnął ręką.

— To jeszcze dzieciak. Nie wie, co to prawdziwa miłość. I czasem mam wrażenie, że jest niebawale głupi... Nie wiem, jak sobie z nim dajesz radę... Ale wracajmy do ciebie. Co zaszło między tobą a tym przystojniakiem?

— Nic takiego. Spotkaliśmy się kilka razy na studiach, ale nic z tego nie wynikło. Byłam wtedy z innym facetem i sądziłam, że będzie to miłość do końca życia...

— Och, jakie to romantyczne... Nie przerywaj sobie, mów!

— Ale po kilku latach okazało się, że jednak nie. Żona i dzieci były ważniejsze...

— Wiem, o czym mówisz... Przeżyłem dokładnie to samo...

— Wczoraj na bankiecie spotkałam znowu Kubę. Był sam, na palcu nie miał obrączki... Pomyślałam, że może... I on chyba też pomyślał...

— Cudownie, moja droga, naprawdę cudownie.

— Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zapytał mnie o Grega, tamtego faceta, z którym byłam wcześniej. Pojęcia nie mam, dlaczego powiedziałam mu, że bierzemy ślub...

— Coś takiego! — Dyrektor był najwyraźniej zdumiony. — A on, co na to?

— Pogratulował i powiedział, że ma nadzieję, że go zawiadomię o terminie. Ale miałam wrażenie, że coś w nim zgasło...

— I co? Poszedł podrywać inne dziewczyny?

— Nie. Musiał zająć się swoim przyjacielem. Kowalski pod wpływem emocji związanych z premierą szybko się upił i Kuba musiał się nim zaopiekować. Przede wszystkim zmuszał dziennikarzy, z którymi Kowalski rozmawiał, żeby przysłali do niego teksty do autoryzacji, bo inaczej wytoczą im sprawę.

— Co znaczy mieć takiego przyjaciela... Rozumiem jednak, że nie chciałaś, by sobie pomyślał, że czekałaś na niego, czy coś w tym rodzaju, i dlatego powiedziałaś mu o ślubie.

— Tak! Dokładnie!

Jednak gej zawsze zrozumie kobietę!

— Nie martw się. Potraktowałaś go ostro, ale to jeszcze nic straconego. Musisz tylko jakoś sprawić, żebyście jeszcze raz trafili na siebie, zupełnie przypadkiem — radził mój przyjaciel dyrektor.

— Ale jak?

— Słyszałem, że Kowalski będzie niedługo robił casting do nowego filmu. Zgłoś się na przesłuchanie.

— Nie żartuj. Ja, aktorką? Ja nie potrafię!

— A co potrafiła ta dziewczyna, która grała główną rolę w *Kobiecie na drodze*? Musiała tylko się nauczyć jeździć na hulajnodze, a i to jej nie wychodziło przez pierwszą godzinę filmu.

Dyrektor mi zaimponował — najwyraźniej nie spał na filmie.

— Mówię ci, Ewelino, naprawdę masz szansę zrobić karierę w filmie! Jeśli chcesz, to zadzwonię do mojego przyjaciela z telewizji i zaraz coś wymyślimy!

Jaki on miły, jaki przyjacielski...

— Genek, dziękuję ci za to wszystko, ale bardziej niż na roli w filmie zależy mi na tym, żeby spotkać się z Kubą i jakoś wszystko odkręcić.

Dyrektor spojrzał na mnie przytomniej.

— No tak, oczywiście. Ale nie myślę, że musisz zrobić coś szczególnego... Jeśli jemu zależy, to sam przystąpi do działania...

— Ale chyba powinnam go jakoś zachęcić...

— Pomyślmy... Może jednak zadzwonisz do Kowalskiego, powiesz mu coś miłego o filmie i że jesteś bardzo ciekawa tej ich nowej komedii...

— To będzie komedia? Myślałam, że film obyczajowy?

— Dowiedz się u źródła. Możesz też wypytać go o Kubę. Na pewno powie przyjacielowi, że dzwoniłaś...

Może dyrektor ma rację. Na pewno ma rację. W końcu jest gejem i zna się na mężczyznach.

Na drugi dzień Michała nie było. Dzwonił, że się rozchorował. Zapytałam, czy coś mu nie zaszkodziło. Przez moment nie wiedział, co powiedzieć. Potem stwierdził, że chyba coś zjadł niestrawnego. W każdym razie dzisiaj idzie do lekarza.

Postanowiłam iść do dyrektora i poprosić go o radę w sprawie Kuby. Niestety, okazało się, że wziął urlop do końca tygodnia. Pozostały mi zatem sprawdzone metody, czyli telefon do Dominiki.

— Cześć! — Usłyszałam w słuchawce głos Dominiki. — Nie mogę teraz rozmawiać. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału. Jeśli to ty, Ewe, to przestań myśleć o Gregu.

Mogłaby już zmienić ten komunikat na sekretarce. Przecież ja naprawdę staram się nie myśleć o Gregu. Wcale o nim nie myślę. Cholerny Greg! Dlaczego się nie rozwiódł...

— Wychodzę na spotkanie do Klubu Księgarza — powiedziałam kadrowej.

Po chwili siedziałam w parku i zastanawiałam się, dlaczego powiedziałam Kubie, że biorę ślub z Gregiem. W nocy zasnęłam, zanim znalazłam wyczerpującą odpowiedź, pytanie pozostało więc otwarte.

W parku było spokojnie. Alejkami przechadzały się babcie z wnukami. Zrobiło mi się strasznie smutno, bo pomyślałam, że już niedługo będę wyglądała jak babcia, ale nie będę miała wnuka ani wnuczki. Bo żeby mieć wnuka, trzeba mieć córkę albo syna, a żeby mieć córkę albo syna, trzeba mieć faceta.

Nagle zachciało mi się płakać. Babcie i wnuki były w bezpiecznej odległości, nic nie mogło, więc powstrzymać moich łez. Chyba tylko blokada Leppera, ale Lepper miał widocznie inne sprawy na głowie.

Kiedy już mój makijaż całkiem się rozmył, usłyszałam za sobą kroki. Ktoś chodził po trawie. Gorączkowo zaczęłam wycierać twarz chusteczkami i szukać lusterka. Płkanie w parku to jednak nie był najlepszy pomysł. Trzeba było jechać do domu.

Zanim zdążyłam uporządkować swoją twarz, zza ławki wyszła dziewczyna z koszyczkiem pełnym jakiegoś zielska. Wydała mi się znajoma.

— Agnieszka? — zapytałam nieśmiało.

— Tak... — odpowiedziała — a ty jesteś...

— Ewelina — podpowiedziałam.

— Prawda, pamiętam...

Ulżyło mi. W końcu to nie wstyd płakać przy znajomych, a zwłaszcza, jeśli znajomy też jest kobietą.

— Czy coś się stało? — zapytała Agnieszka.

— Niby nie... Tak mi się nagle zrobiło smutno...

Miałam ochotę jej o wszystkim opowiedzieć, ale chciałam, żeby musiała to trochę ze mnie wyciągnąć.

— Nic nie dzieje się samo. Daj mi rękę.

Po scenie z pompką rowerową w filmie *Kobieta na drodze* powinnam chyba zawahać się, ale że ją przespałam i tylko później ktoś mi opowiadał na bankiecie, posłusznie podałam Agnieszce rękę.

Wróżka przyglądała się moim palcom.

— Sądziłam, że wróży się z linii dłoni — pozwoliłam sobie zauważyć.

— Tak, zwykle tak — zgodziła się ze mną Agnieszka. — Sama malujesz?

— Co? — Nie rozumiałam, o czym mówi.

— Paznokcie. Ładne wzorki.

A ja myślałam, że ona chce mi powróżyć.

— Tak — odpowiedziałam zawiedziona. — Nauczyła mnie koleżanka. Trwa to długo, ale się opłaca. Można sporo zaoszczędzić.

— Naprawdę ładne.

— Dziękuję. — Chciałam zabrać jej rękę.

— Poczekaj. — Przytrzymała mi dłoń Agnieszka. — Nie chcesz, żebym ci powróżyła?

— Jasne, że chcę...

Agnieszka obróciła moją dłoń i zaczęła ją studiować.

— Piękna linia życia... Będziesz długo żyła...

„Jeśli w samotności, to nie jest to dobra wiadomość” — pomyślałam.

— Linia głowy, no, no... Linia sukcesu też niczego sobie. Sukces przyjdzie po trzydziestce.

— A facet? — zapytałam, skoro już zaczęła o sukcesach.

— Żadnego faceta tu nie widzę — powiedziała.

— O nie! — przeraziłam się nie na żarty.

— Spokojnie, tylko żartowałam. Widzę dwójkę dzieci.

— Chłopiec i dziewczynka?

— Nie wiem, nie mam ultrasonografu.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że jestem w ciąży? To byłby prawdziwy cud. W dodatku cud niepożądany.

— A co, nie bierzesz tabletek? — Agnieszka miała dość sadystyczne poczucie humoru. — Te dzieci to jeszcze nie teraz. Najpierw musisz znaleźć faceta.

— Jak mam go znaleźć?

— Moja droga, sam cię nie znajdzie. Wiesz, jacy są faceci. Przyjdź do mnie jutro, dam ci zioła, które sprawią, że... Zresztą, co ci będę reklamować. Zobaczysz sama.

— Bardzo bym chciała.

Jakub

Kiedy zbliża się koniec miesiąca, nie podpisuję w pracy listy obecności. Taki trochę przesądny jestem. Może wpadam w przesadę, ale traktuję poważnie niektóre słowa mojego szefa te, które mówią o zwolnieniach, braku premii, opóźnieniu w przelewie pensji na konta pracowników. Kiedy szef mówi o rozwoju, podwyżkach, nowych wspaniałych perspektywach, jakie są przed nami, słucham mało uważnie i staram się opanować wzbierający entuzjazm. Nie jest to szczególnie trudne, dlatego że każdą ze swoich huuuuuuurraoptymistycznych zapowiedzi szef kończy słowami: „Dlatego właśnie teraz musimy zacisnąć na chwilę pasa i w tym miesiącu będziecie musieli sobie jeszcze jakoś poradzić bez tych nowych komputerów” (albo nowych zszywaczy, albo nowych segregatorów).

I dlatego po piętnastym nie podpisuję listy. To znaczy podpisuję ją, ale zawsze o jeden dzień do tyłu. Przychodzę rano i składam swój podpis w rubryce oznaczającej dzień wczorajszy. Jest to możliwe tylko dzięki bardzo liberalnemu podejściu kadrowej i temu, że szef zawsze przychodzi ostatni, bo odwozi żonę do pracy na dziewiątą i kochankę do pracy na dziesiątą. W firmie najwcześniej jest o 10.30, jeżeli nie ma korków. Zaczynamy pracę o 8.00, więc każdy może się spóźnić do woli. Niepisana umowa pomiędzy nami a kadrową, okupowana indywidualnie różnymi gestami przyjaźni, pozwala nam bez stresu czekać na przystanku na mniej zatłoczone tramwaje.

Szef już kilkakrotnie powiedział mi, że zarabiam zbyt dużo w stosunku do tego, co z siebie daję, że na moje miejsce można zatrudnić kogoś o dużo mniejszych kwalifikacjach, za odpowiednio mniejszą pensję. Przez chwilę zmotywowało mnie to do pracy i przyznaję, naprawdę się przyłożyłem. Nie jestem bowiem przywiązany do mojej firmy, jedynie do comiesięcznych poborów, które otrzymuję całkiem regularnie. Mobilizacja negatywna na krótszą metę jest dość skuteczna, zwłaszcza, jeśli w poniedziałkowej „Wyborczej” nie ma żadnych ciekawych ogłoszeń. Poza tym narzekania szefa sprawiły, że pokajałem się i w głębi ducha przyznałem do winy. To prawda, nie pracowałem ostatnio na sto procent. Bywały dni, kiedy pracowałem tylko godzinę, bywały i takie, gdy pracowałem pół godziny. Sporą część czasu spędzanego w mojej dotychczasowej pracy poświęcałem na poszukiwania nowej. Bardzo pochłonięły mnie także rozgrywki ligowe piłkarskiej ekstraklasy, a przede wszystkim los mojej ulubionej drużyny. Nie wspomnę już o innych zabijających czas zajęciach związanych z Internetem — takich jak irc, czat czy

rozmowy na Gadu-Gadu. Dużo energii kosztowało mnie także utrzymywanie więzi korespondencyjnej ze znajomymi, ale tu nikt nie powinien mieć do mnie najmniejszych pretensji, gdyż część moich kolegów i koleżanek pracowała w firmach, z którymi handlowaliśmy. Moje dobre stosunki z nimi nie pozostawały bez korzystnego wpływu na zamówienia.

Wiem, że mógłbym pracować więcej. Narosło jednak we mnie przekonanie, że w ciągu bardzo dobrze zorganizowanej, naprawdę intensywnej godziny pracy jestem w stanie zrobić więcej niż moi koledzy w ciągu całego dnia. Przekonanie takie powstało w wyniku obserwacji. Na przykład mój kolega Roman, dwa razy ode mnie starszy i obdarzony naturą wyjątkowo refleksyjną, większą część czasu spędzał, spoglądając w okno (szef nie dał mu komputera, a przecież na coś musiał patrzeć).

— Co robisz, Romku? — pytano go nieraz, żeby sprawdzić.

— Myślę — odpowiadał po chwili Romek.

W firmie utarło się powiedzenie, że Romek myśli, więc jest.

Inny typ pracownika reprezentuje Marzenka. Marzenka jest bardzo sympatyczną dziewczyną mającą pewne problemy z przebiegiem procesów decyzyjnych. Dotyczy to nawet spraw pozornie mało skomplikowanych.

— Chcesz kawy czy herbaty? — pytam rano Marzenkę.

— Kawy — mówi Marzenka. — Nie, herbaty. Nie, jednak kawy. Poczekaj, muszę się zastanowić.

W sprawach większej wagi Marzenka radzi się znanych jej autorytetów. Na przykład Romka.

— Romku, poradź mi, bo nie wiem... Czy mogę jutro przyjść do pracy w tej bordowej spódniczce i żółtej bluzeczce, tej, którą miałam wczoraj? — pyta Marzenka.

— Pomyślę o tym — odpowiada Romek i wszyscy są pewni, że to zrobi.

Marzenka z pewnością wolałaby zasięgnąć w tej sprawie opinii koleżanek, niestety takich w naszej firmie akurat jak na lekarstwo. Dlatego autorytet Romka musi wystarczyć, pod warunkiem że Romek nie ma akurat swojego dnia liberalizmu i nie odpowiada (mniej więcej po trzech godzinach) w ten sposób:

— Przemyslałem to i sądzę, że powinnaś zrobić tak, jak chcesz.

Marzenka czasami musi się odwołać do autorytetów potężniejszych od Romka. Dzieje się tak, kiedy załatwia jakąś sprawę, która wykracza poza jej kompetencje. Marzenka udaje się wówczas do swojego przełożonego, który z kolei udaje, że jest zapracowany i każe każdemu czekać pół godziny przed gabinetem, zanim go przyjmie. Obliczyłem to z zegarkiem w rękę. Kiedy pół godziny mija, Marzenka wchodzi do szefa i prosi o radę:

— Szefie, niech mi pan poradzi, bo nie wiem... Czy te żółte segregatory, w których trzymamy faktury, mogą stać obok segregatorów zielonych, w których są wuzetki?

Przez pierwszy miesiąc szef zdawał się zadowolony z autorytetu, jakim cieszy się w oczach Marzenki. Po jakimś jednak czasie znudziła mu się rola wyroczeni.

— Proszę nie zawracać mi głowy drobiazgami — powiedział Marzence, a ona przybiegła do pokoju spłakana.

Do końca dnia tylko beczała i nikt nie potrafił jej pocieszyć, nawet Romek. Na drugi dzień Marzenka przyszła z podpuchniętymi oczami i oświadczyła:

— Całą noc myślałam o tym, czy dwa zamówienia jednego klienta powinno się zszywać czy spinać... Ja naprawdę nie mogę ponosić odpowiedzialności za wszystko!

Nie chciałem wtedy mówić, że problem Marzenki jest natury czysto akademickiej, gdyż właśnie wczoraj, kiedy płakała, skończyły się nam zarówno zszywki, jak i spinacze, a szef zapowiedział chwilowe oszczędności, co oznacza, że w tym roku zszywek i spinaczy już nie będzie. Bałem się, że wdam się w rozważania na temat organizacji naszej firmy, największego producenta misek dla psów i kotów, albo będę musiał posłużyć Marzence radą, czy ma jutro iść do fryzjera czy nie. A był to akurat miesiąc, w którym bardzo intensywnie pracowałem, próbując zmienić niesłuszną, złą opinię szefa na mój temat. Niestety, pod koniec tego miesiąca, dokładnie w ostatni dzień, tradycyjnie będący w naszej firmie świętem, szef postanowił mi to święto zepsuć.

— Jakiś czas temu — powiedział — zgłosiłem wiele zastrzeżeń do twojej pracy.

Mam taki głupi zwyczaj, że przerywam swojemu szefowi. Innym ludziom tego nie robię, bo czuję, że nie wypada, ale mojemu szefowi natychmiast przerywam, gdy mówi coś głupiego. Taki odruch obronny.

— Jeżeli chodzi o raporty tygodniowe — przerwałem szefowi — to chciałem zauważyć, że nie tylko nie zalegam z żadnym, ale nawet składam je przed ustalonym terminem. Raport z tego tygodnia złożyłem już w czwartek.

— Więc... — próbował kontynuować szef.

— Więc nie jest tak, że nie słucham tego, co się do mnie mówi — ponownie przerwałem szefowi. — Podobnie ma się sprawa z pozyskiwaniem nowych klientów. Tylko w tym tygodniu moje obroty wyniosą czterdzieści siedem tysięcy, co w porównaniu ze średnią efektów z poprzedniego półrocza oznacza sześćdziesięcioprocentowy wzrost. Także na tle innych pracowników zanotowałem wzrost stosześćdziesięcioprocentowy, więc generalnie jestem w tej chwili najlepszy.

— Zatem... — odezwał się mój szef, a ja uznałem za stosowne przerwać mu jeszcze raz.

— W innej kwestii, o której wtedy rozmawialiśmy, też zanotowałem znaczny postęp. Od dobrych trzech tygodni utrzymuję na biurku całkowity porządek. Uporządkowałem także archiwum dokumentów, aby można było łatwo z niego korzystać w wypadku, gdy nie ma mnie w firmie.

— Mimo to — doszedł wreszcie do głosu mój szef — uważam, że nadal nie dajesz z siebie wszystkiego i, prawdę mówiąc, sędzę, że się opieprzasz. Kiedyś przynajmniej udawałeś, że pracujesz, i miałaś na biurku stertę dokumentów, które co prawda mogły irytować kogoś przyzwyczajonego do porządku, ale zarazem dawały gwarancje, że przy jakiejś okazji w końcu na nie spojrzysz. Teraz nawet nie chce ci się wyjmować papierów z segregatorów. Ponieważ moje

ostrzeżenia dotąd nie trafiały do ciebie w sposób skuteczny, postanowiłem obciąć twoją pensję o trzydzieści procent. Potraktuj to jako ostrzeżenie, że wcale nie musisz zarabiać tyle, ile wydaje ci się, że musisz. Poza tym za kilka tygodni upłynie rok od twojego przyścia do nas. Muszę cię uprzedzić, że będę cię cały czas obserwował, żeby w rocznicę twojego zatrudnienia ocenić twoją przydatność. Zobaczę, czy należy cię przesunąć na inne, mniej samodzielne stanowisko, czy może po prostu zwolnić.

Tak powiedział mój szef. Od tamtej pory zacząłem powoli wynosić swoje osobiste rzeczy z biura żeby być przygotowanym.

Dzisiaj tradycyjnie podpisałem listę za wczoraj. O 10.00 przyszedł do mnie szef (kochanka chora albo zwolniona z pracy). W jednej ręce trzymał jakieś pismo, w drugiej listę obecności.

— Zapomniałeś się podpisać — powiedział, podtykając mi listę pod nos. — Podpisz się, żeby się nie okazało, że cię dzisiaj nie ma.

Przyznaję, mimo że nie było następnych zamachów na moje pieniądze, czułem się bardzo zagrożony. Intuicja podpowiedziała mi, że coś jest nie tak. Kazałem mojemu komputerowi wyłączyć się i włączyć w trybie MS-DOS.

— A teraz — powiedział szef, kiedy bardzo się ociągając, by dać czas komputerowi, złożyłem w końcu swój podpis — tak jak zapowiadałem ci to wcześniej... — Tryumfalnie rzucił mi na biurko wypowiedzenie umowy o pracę.

— Pieprz się! — burknąłem szefowi w nos, wbiłem z klawiatury polecenie <format c:> złapałem za teczkę i wybiegłem z pokoju ile sił w nogach. Nie czekając na windę, zbiegłem po schodach na parter, minąłem znużonego portiera i zatrzymałem się dopiero przed budynkiem. Wyciągnąłem komórkę i wybrałem numer znajomego lekarza. W tym czasie mój komputer w nie odwracalnym procesie wyczyścił zawartość całego mojego dysku, który na swoje potrzeby wcześniej skopiowałem. Mój szef nie znajdzie na nim nic, co mógłby wykorzystać przeciwko mnie, nie znajdzie też bazy adresowej moich klientów.

— Dawid, posłuchaj, kiepsko się czuję... Możesz mnie przyjąć? Najlepiej zaraz — poprosiłem kolegę.

— No dobrze, ale co ci da, że wystawię ci zwolnienie od dzisiaj — rozważał znajomy internista, gdy siedziałem już u niego w gabinecie. Przecież podpisałeś listę, więc nawet jeśli nie podpisałeś wymówienia, szef będzie miał dowód, że ci je wręczył. Lista jest dowodem na to, że byłeś w pracy.

— W niedzielę.

— Słucham?

— Że byłem w pracy w niedzielę. Podpisałem się w rubryce „niedziela”.

Dawno nie pamiętam, żeby Dawid śmiał się tak głośno. Mnie też udzieliła się jego wesołość i chociaż wcale nie było mi do śmiechu, rechotaliśmy razem na całą przychodnię.

— Ale co dalej? — zapytał Dawid, wręczając mi zwolnienie. — Nie będę mógł cię leczyć w nieskończoność...

— Ten miesiąc już z głowy, miesiąc mógłbym jeszcze u ciebie pochorować, potem mam miesięczne wymówienie. W tym czasie będę szukał pracy...

— Powodzenia. — Uścisnął mi dłoń.

Powodzenie z pewnością będzie mi potrzebne.

Ewelina

— Pani Ludgardo — powiedział uroczyście dyrektor do otyłej, starej baby ubranej w bluzę z kangurem na piersiach — to pani Ewelina Wagner, szefowa działu reklamy.

— Bardzo miło mi panią poznać — bąknęłam nieśmiało.

— Mów mi Ludka — powiedziała Ludgarda Damber. — W Australii wszyscy mówimy sobie na ty, jestem przyzwyczajona. Będziemy razem pracować, więc tak chyba łatwiej...

Spojrzałam na wąsy Ludgardy i wcale nie byłam pewna, że będzie nam się razem łatwiej pracować, kiedy będziemy do siebie mówić po imieniu tak jak w Australii. A w ogóle, to, po co ona tu przyjechała aż z Australii?

— Dwadzieścia cztery godziny w samolocie — powiedziała Ludgarda. — Coś straszego. Ale chyba nie powinnam narzekać, bo wylądowaliśmy na lotnisku, a nie na jakimś wieżowcu. No, ale tu nie ma takich wieżowców jak w Sydney.

Spojrzałam na dyrektora, ale on był wręcz zachwycony każdym słowem poetki Damber.

— Mąż mi mówi — ciągnęła swój wywód poetka, — „Po co ty tak jeździsz do tej Polski?”. Mąż jest Australijczykiem. „Ty, inwalidka, musisz sama jeździć, tak jakby Polska nie mogła przyjechać tutaj”.

Spojrzałam na dyrektora jeszcze raz, coraz bardziej zaniepokojona.

— A ja na to mężowi: „Ty się módl, żebym w Polsce nie została”. A wiecie, co na to ten mój wstrętny mąż?

Dyrektor uśmiechnął się zachęcająco.

— „Zostań, zostań. Będziesz miała bliżej do Sztokholmu!”

— Ha, ha! Pyszne! — ucieszył się dyrektor.

— Wiecie, tę nagrodę to mogliby mi zacząć w ratach wypłacać, bo jak dostanę tyle pieniędzy w wieku Szymborskiej, to już mi się mogą nie przydać!

— W ratach! Świetny koncept — dyrektor bawił się znakomicie. — Doskonale. Prawda, pani Ewelino?

— Doskonale — zgodziłam się z dyrektorem.

Przypomniało mi się, że nie zapłaciłam ostatniej raty za mojego robota kuchennego. Znowu dolożą mi odsetki.

— Nie ma to jak wrócić do kraju — mówiła poetka Damber.

— Tu jest prawdziwa żywiolowa publiczność. Tu są moi wielbiciele. Tutaj potrafią docenić prawdziwą poezję. Nie to, co w Australii. Na wieczory poetyckie nikt prawie nie przychodzi. Jak jest sto osób, to się wszyscy bardzo cieszą. Ich tam tylko interesują polowania na kangury!

— Polowania na kangury! Ha, ha, ha! — coraz sztuczniej śmiał się dyrektor.

— Obawiam się, że od czasu, kiedy wyjechała pani z Polski, sporo się tu zmieniło — postanowiłam trochę schłodzić atmosferę. — My także bardzo się cieszymy, kiedy na spotkaniu literackim mamy sto osób.

Dyrektor spojrział na mnie groźnie.

— To prawda, ale to też rezultat pewnego znudzenia literackiej publiczności. Przecież tych wszystkich pisarzy ludzie kultury mają, na co dzień i doskonale wiedzą, co mogą od nich usłyszeć. Co innego nasza gwiazda z Australii. Publiczność stęskniła się za panią. Będą tłumy większe niż na księdzu Twardowskim.

— Ksiądz Twardowski? Czy to ten, którego zabili ubecy? — zapytała Ludgarda Damber.

— Nie, tamten nazywał się Popiełuszko — sprostowałam.

— I know... Już wiem... Tyle lat mnie tu nie było... Tyle wspomnień... Tyle cierpień...

— Ludgarda była za komuny poetką prześladowaną — wyjaśnił mi dyrektor. — Nikt nie chciał jej drukować.

W to mogłam uwierzyć. Zdążyłam już wydobyć z redakcji kilka wierszy autorstwa Damber.

— Tak było. Cenzura nie pozwalała. Moje wiersze krążyły wyłącznie w trzecim obiegu.

Trzeci obieg? Kanalizacja?

— Obawiam się, że nie słyszałam dotąd o trzecim obiegu...

— Młodzież, młodzież... Ty miałaś ze trzy latka, jak był stan wojenny... Ty nic nie pamiętasz...

— Poezja Ludgardy była tak radykalnie postępową, że nawet drugi obieg nie chciał jej publikować. Krążyły tylko egzemplarze przemycane z Australii w importowanych muszlach klozetowych.

— Takie były czasy... Poezja w muszli klozetowej... — wzruszyła się poetka.

— Na szczęście dzisiaj możemy już wydać wszystko zupełnie oficjalnie — dyrektor był wyjątkowo zadowolony z siebie.

— Tak jest. To, jaki jest pierwszy nakład? — zapytała Damber. — Rozumiem, że nie zechce pan ryzykować wiele... Trzydzieści, czterdzieści tysięcy?

— Trzydzieści? Czterdzieści? — nie wytrzymałam. — Może od razu sto?

Właśnie. Skoro mamy doprowadzić firmę do upadku? Dlaczego nie sto tysięcy wierszy Ludgardy Damber?

— Myśleliśmy na początek o dziewięciuset... — Dyrektor miał bardzo niepewną minę.

— Dziewięćset tysięcy? Coś takiego! Nawet nie przypuszczałam! No, ale pan zna rynek, pan wie, ile może się sprzedać... — ucieszyła się poetka Damber.

Dyrektor zrobił się purpurowy.

— Miałem na myśli dziewięćset egzemplarzy... — wyjaśnił, patrząc w podłogę.

Teraz poetka Damber spurpurowiała.

— Ależ, Genek! Tyle to się sprzeda w pierwszy dzień!

Dyrektor wbił wzrok w moje nogi.

Parę dni temu ucieszyłoby mnie to.

— Hm... Hku... Eeee... Ten, tego... — próbował coś powiedzieć dyrektor. — Widzisz, Ludka, ministerstwo odmówiło przyznania dotacji...

Kiedy dyrektor powiedział w ministerstwie, że chce wydać wiersze Ludgardy Damber, urzędnik buchnął mu śmiechem w twarz (poskarżył mi się później).

— Dobra, pośmialiśmy się, a teraz poważnie — powiedział ważny urzędnik, kiedy się uspokoił.

— Ale ja mówię poważnie — wyznał dyrektor.

Urzędnik spojrzał na dyrektora badawczym wzrokiem.

— Pan to sobie przemyślał? Pan w ogóle czytał jej wiersze?

— Czytałem powiedział nieśmiało dyrektor.

Urzędnik nadal patrzył na niego bardzo poważnie.

— Jeden — dodał po chwili mój szef. — Niecały — dodał po następnej chwili. — Właściwie to tylko tytuł — jęknął.

— To pan je sobie przeczyta, a potem wyda coś innego — powiedział ważny urzędnik. — A jeśli przypadkiem się panu spodobają, nie wiem, czy to możliwe, ale gdyby, to niech pan wie jedno, ministerstwo grosza nie umoczy w tym interesie. — huknął na pożegnanie urzędnik.

Kiedy dyrektor wychodził z gabinetu urzędnika, usłyszał, jak ten mówi do kogoś przez telefon.

— Daj szefa. To ja. Słuchaj, nie uwierzysz, kto chce wydać Ludgardę Damber. Tak, dobrze słyszałeś, tę Damber...

Dyrektor miał kontrakt jeszcze na dwa lata, ale jestem pewna, że wtedy poczuł się zagrożony.

— Czytałaś te wiersze, które mamy wydać? — Trzy dni temu przybiegła do mnie szefowa redakcji z rękopisem w ręku.

— Jakie wiersze? — zapytałam, choć domyślałam się, o co chodzi.

— *Kangury*. Ludgardy Damber. To coś nieprawdopodobnego! To najgorsza rzecz, jaką od lat czytałam. Mówiłam o tym dyrektorowi, a on, że to kwestia gustu. Wydaliśmy już wiele góvien, ale to będzie największe. Cały nakład pójdzie na przemiał. W dodatku wszyscy nas wyśmiejają! Masz, poczytaj sobie. — Rzuciła mi rękopis na biurko.

— I wiesz, co — ściszyła głos — mnie to śmierdzi. Nawet dyrektor nie jest takim idiotą, żeby wydać Damber. Bez łapówki to nie przeszło...

Ludgarda Damber zerwała się z krzesła jak oparzona.

— Coś takiego! No tak! Czerwoni rządzą! Nic się nie zmieniło!

— Ależ, Lodziu! — Zerwał się za nią dyrektor. — Po prostu musimy pomyśleć o dotacji z innego źródła... Gdybyś przekonała ambasadora... Przecież masz obywatelstwo australijskie...

— Pomyślę o tym. Ale najpierw pozwolicie, że przejdę się po mieście, żeby się uspokoić...

— Czy mam kazać komuś, żeby cię oprowadził? — zapytał lizusowsko dyrektor.

Zadrzałam.

Na szczęście poetka Damber poczuła się urażona propozycją dyrektora.

— Poradzę sobie. Nie tak wiele się tu znowu zmieniło — powiedziała i wyszła.

Chciałam wyjść, ale dyrektor zatrzymał mnie jeszcze w gabinecie.

— Pani Ewelino — powiedział zmęczonym głosem. — Chciałbym, żeby pani przygotowała kampanię promocyjną *Kangurów*. Największe miasta Polski. Biblioteki, domy kultury. Niech pani zamówi też najlepszych prowadzących. Najlepiej kogoś z radia, z Trójki. Dobrze by było, żeby wszystko trwało dwa, trzy tygodnie. Ludgarda nie może być dłużej w Polsce. Ze względu na jej zdrowie musi pani pamiętać, żeby spotkania nie były częściej, niż co dwa dni. Na miejscu dobry hotel w centrum miasta. Dla niej. Kierowca może przyjeżdżać.

— Kierowca?

— No przecież nie każemy jej latać samolotem. To starsza osoba. Będzie jeździć służbowym mercedesem.

Służbowy mercedes to zakup, za który wyleciał poprzedni dyrektor. Tłumaczył się, że biednych firm nie stać na kupowanie byle, czego. Rada nadzorcza nie wykazała zrozumienia. Jej członkowie jeździli gorszymi modelami. Mercedes został jednak kupiony, i to za gotówkę, więc teraz mój dyrektor może nim szpanować i kłuć w oczy innych wydawców. Niewiarygodne, że odstąpi swój śliczny samochodzik na dwa, trzy tygodnie do wożenia Ludgardy Damber.

— Zresztą pani też będzie nim jeździć — dokończył.

— Panie dyrektorze, z tego, co słyszałam i co czytałam... — próbowałam jakoś oponować.

— Pani Ewelino... Ludgarda jest osobą kontrowersyjną. Jej twórczość budzi emocje. Ma ciągle wielu przeciwników. Są to głównie zaszłości z czasów poprzedniego ustroju. Nie wszyscy potrafili postawić grubą kreskę. Jak sama pani słyszała, te sprawy polityczne nadal ciągną się za nią. Ale wszystko to są syndromy wielkości, wielkości ciągle niedocenianej w naszym kraju. Dlatego musimy poświęcić jak największe środki na promocję *Kangurów*. Niech to będzie największa promocja w historii wydawnictwa.

Zdębiałam. Wydać Damber to rejs na „Titanicu”. Ktoś może się uratować. Wydać na promocję Damber to już „Kursk”.

— Jeszcze jedno — zatrzymał mnie w drzwiach dyrektor. — Niech pani nie zaniedba mediów. Może pani rozdawać dowolną liczbę egzemplarzy. Przede wszystkim telewizja. Michał załatwił już wywiad w Dwójce, ale są jeszcze inne kanały. I „Wysokie Obcasy”, Wywiad. To byłoby bardzo dobre. Wiem, że nie powinniśmy tego robić, ale jeśli będzie pani potrzebowała dać komuś prezent... To jakoś to załatwimy. Rozumie mnie pani?

Chyba tak.

„Wysokie Obcasy”. Michał załatwił. Prezent. Więzienie.

Jakub

Bezrobotni mają dużo czasu. Niby nie jestem bezrobotny, bo mam przecież zwolnienie lekarskie. Mam jednak tyle czasu, co bezrobotny i tyle samo dobrych pomysłów. Kupiłem wczoraj „Wyborczą” i bardzo pobieżnie przejrzałem dodatek „Praca”. Wszystkie ogłoszenia wywoływały u mnie wyłącznie poczucie bezsilności i obniżyły moją samoocenę poniżej minimum, jakie przynależne jest każdemu, nawet kompletnemu durniowi.

Nie chce mi się jeszcze szukać pracy. To zajęcie bardzo czasochłonne i stresujące. Skoro okoliczności życiowe zaoferowały mi urlop, postanowiłem skorzystać ze swobody i trochę odpocząć. Pogoda za oknem jest, co prawda beznadziejna, ale ja próbuję się nie załamywać i robić te wszystkie rzeczy, na które zwykle brakuje mi czasu i sił.

Wstałem dzisiaj z łóżka o trzeciej po południu. Zrobiłem sobie mocną kawę, żeby przegonić uczucie senności. Zabrałem się przez chwilę za przeglądanie „Wyborczej”, ale szybko rzuciłem ją do kąta. Miałem robić rzeczy przyjemne w końcu jestem na urlopie, zbieram energię, która będzie mi potrzebna później, żeby znaleźć świetną pracę. Będę potrzebował bardzo dużo energii. Co dzisiaj, we wtorek, mógłbym zrobić przyjemnego? Mój wzrok trafił na wizytówkę leżącą na kuchennym stole. Wytarłem ją z masła, zdjąłem z niej przyklepione kawałki ryżu z wczorajszej kolacji (mam sporo czasu, mogę, więc chodzić po jedzenie do odległego baru z chińszczyzną). Była to wizytówka prezesa stowarzyszenia bigorektyków. Przecież dzisiaj jest spotkanie! Grupa wsparcia i zajęcia na siłowni... Właściwie nie miałem lepszego pomysłu na wieczór. Wyspałem się, zjadłem resztki chińszczyzny i postanowiłem zobaczyć się z bigorektykami. Zaszkoślić mi to nie może, a pewnie wręcz odwrotnie, trochę się podbuduję psychicznie (a może i fizycznie, skoro jest tam siłownia). Wszystko to mi się przyda, kiedy będę walczył o nowe stanowisko i kobietę.

Nie byłem pewien, jak należy się ubrać na siłownię. Na wszelki wypadek wzięłem do torby szorty i koszulkę jeszcze z czasów studenckich. Na siebie włożyłem dżinsy i bluzę. Wyglądałem więc na wpół-sportowo.

Dotarłem na miejsce jak zwykle spóźniony. Tylko kwadrans, ale już zaczęli. Najwyraźniej punktualność jest cechą bigorektyków. Portier wpuścił mnie do całkiem sporej sali gimnastycznej, w której ustawiono w rzędach krzesła. Na nich siedzieli młodzi mężczyźni w dresach z lamпасami, krótko obcięci. Byli wielcy, niewiarygodnie umięśnieni i wyglądali na członków jakiegoś gangu. Natychmiast cofnąłem się i zamierzałem uciec z tego miejsca, ale w drzwiach zatrzymał mnie prezes.

— Cieszę się, że pan się zdecydował. — Uśmiechnął się szeroko na mój widok. — Nie będzie pan żałował. Zaraz pana przedstawię wszystkim... Mamy taki zwyczaj, że nowo przybyły opowiada wszystkim swoją historię...

Znalazłem się w kropce.

— Właściwie, to ja tylko na moment... — Próbowałem uniknąć opowiadania o swoich problemach bandzie dresiarzy.

— Nieśmiałość to pierwsza cecha, jaką nauczy się pan tutaj zwalczać w sobie. — Prezes złapał mnie za ramię i pociągnął na środek sali.

— Koledzy — zwrócił się do zgromadzonych — chciałbym przedstawić wam naszego nowego członka. Pokażmy mu, że bigorektycy stanowią wspólnotę i że ta wspólnota jest naszą siłą!

Bigorektycy wstali i zgodnym chórem krzyknęli:

— Razem! Razem! Razem!

Nogi mi zdrząły. Jak mogłem być takim durniem i dać się wciągnąć w pułapkę jakiegoś fanatycznego zgromadzenia religijnego? Każdy z tych osiłków mógł mnie jedną ręką podnieść i rzucić na odległość dwudziestu metrów.

Wszyscy, oprócz prezesa i mnie, usiedli.

— Proszę szanownego kolegę, żeby przedstawił się nam i opowiedział trochę o swoim problemie — powiedział prezes, patrząc na mnie.

Do drzwi było jakieś dziesięć metrów. Jeśli portier jest z nimi w zмовie, a na to wygląda, to nie ujdę stąd żywy. Postanowiłem wykonywać bardzo płynne, łagodne ruchy, postępując tak jak na Animal Planet kazali zachowywać się wobec dzikich bestii.

— Jestem Kuba... — oświadczyłem zgromadzeniu. Przyjęto to ze spokojem i zrozumieniem. Uznałem, że mogę mówić dalej. — Właściwie to od niedawna jestem bigorektykiem. Wcześniej nawet nie wiedziałem, że istnieje taka choroba.

Słuchali mnie. Nikt nie zamierzał mnie bić.

— Mój kolega, reżyser filmowy, Tomek Kowalski, może widzieliście któryś z jego filmów? W zeszłym tygodniu była premiera jego *Kobiety na drodze*, bardzo piękna historia... Prasa sporo o tym pisała...

Sala milczała. Nikt nie ogląda filmów Tomka Kowalskiego. W każdym razie nie bigorektycy.

— Tomek powiedział, że wszystkie moje problemy mogą się łączyć z bigoreksją. Na początku mu nie wierzyłem. Potem jednak uznałem potęgę faktów. Zrozumiałem, że całe moje dotychczasowe życie, a przede wszystkim moje kontakty z kobietami, były naznaczone przez bigoreksję...

Pomruk zadowolenia rozległ się na sali. Moi słuchacze najwyraźniej odnaleźli w moich słowach kawałek bliskiego im świata.

— Już moja pierwsza dziewczyna zostawiła mnie przez bigoreksję — popuściłem wodze fantazji. Miała na imię Renata. Była bardzo ładna i niedoświadczona. Chciała powierzyć mi swoje uczucia, chciała poznać wraz ze mną smak miłości. Była dziewczyną. Wiele razy kusiała

mnie swoimi wdziękami. Umawiała się ze mną w romantycznych miejscach. Ale ja nie byłem gotowy. Nie byłem w stanie sprostać jej wymaganiom. Zawsze, kiedy jej ręka sięgała, by rozpiąć któryś z guzików mojej koszuli, uciekałem jej. Spotykaliśmy się prawie dwa lata. Bardzo ją kochałem i bardzo chciałem to z nią zrobić, ale przerażała mnie myśl, że zobaczy moje cheralawe ciało i nie będzie się jej podobać. W dzieciństwie dużo chorowałem, dlatego nie rozwijałem się prawidłowo. W końcu Renata zostawiła mnie dla faceta, który poszedł z nią do łóżka na drugiej randce. Długo nie mogłem się pozbierać. Bigoreksja zniszczyła najpiękniejszą miłość w moim życiu...

Głośny szmer rozszedł się wśród publiczności. Przerażony cofnąłem się pod ścianę, ale w oczach moich słuchaczy nie dostrzegłem agresji, tylko głębokie współczucie. Może jednak uda mi się wyjść stąd żywy i w jednym kawałku.

— Chciałem chodzić na siłownię. Chciałem ćwiczyć, kształtować swoje ciało, by mogło się podobać kobietom — ciągnąłem dalej swoją historię. Niestety! Lekarze zabronili mi wysiłku fizycznego. Nie wolno mi było nawet podnosić do góry pół kilograma, więc musiałem zawsze pić piwo w butelkach zero trzydzieści trzy. Na partnerkę swojego życia wybrałem kobietę, która straciła wzrok. Szybko zdobyłem uczucia dziewczyny, która w swej niewinności myślała, że poświęcam się dla niej. Nie wiedziała, że jej ułomność jest dla mnie zaletą... Przy niej mniej krępowałem się swoim ciałem. Po pewnym czasie poszliśmy razem do łóżka. Było nam cudownie. Nagle, w chwili, gdy szczytowała, wydarzył się cud. Moja kochanka krzyknęła: „Ja widzę! Miłość przywróciła jej wzrok!”

Zrobiłem pauzę, żeby sprawdzić, jak moja opowieść jest przyjmowana przez członków stowarzyszenia. Niektórzy mieli w oczach łzy. Wszyscy słuchali z najwyższą powagą.

— Przyjaciele! Powinienem być się cieszyć jak szalony! Radować, że moja ukochana znowu widzi i to dzięki mojej miłości. Zamiast tego zachowałem się niegodziwie. Chwyciłem ubranie i uciekłem przed jej wzrokiem. Nie chciałem, by zobaczyła moje nieatrakcyjne ciało... nigdy więcej nie ośmieliłem się z nią spotkać...

To, co się działo na sali, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Mężczyźni płakali, pożyczali sobie wzajemnie chusteczki do nosa. Nagle zrobiło mi się bardzo smutno... Tak smutno, że sam sięgnąłem po chusteczkę... Nie wiem, jak to się stało, ale w którymś momencie uwierzyłem w historię, którą wymyśliłem. Przekroczyłem granicę kłamstwa i stałem się nieszczęśliwym bigorektykiem, uwięzionym przez własną przypadłość. Łzy leciały mi ciurkiem...

— To najsmutniejsza historia, jaką usłyszałem w tym miejscu — powiedział wzruszony prezes. — Naprawdę najsmutniejsza.

Prezes podszedł do mnie i objął swoimi mocnymi ramionami. Nie mogłem go powstrzymać, górę brały emocje. Prezes po chwili mnie puścił, ale tuż za nim zobaczyłem, jak ustawia się kolejka facetów w dresach, którzy zamierzali mnie uściskać.

— Pamiętaj, Kuba — prezes niepostrzeżenie przeszedł na „ty”, ale nie miałem mu tego za złe w tych okolicznościach — pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć. Na każdego z nas. Proś, a na pewno ci pomożemy.

Słuchałem tego wzruszony, w objęciach ogromnego kulturysty, który siąkając nosem, powtarzał:

— To takie smutne, bracie... Takie smutne...

Tego wieczoru wyściskało mnie pięćdziesięciu pięciu facetów. Będę musiał jechać na prześwietlenie, bo prawdopodobnie mam coś złamane. Jeszcze nie wiem co, bo boli mnie wszystko.

Ewelina

Jedną z najważniejszych rzeczy, które należy wykonać po przyjściu do pracy, jest przegląd prasy. Rzecz jasna oprócz nakazania asystentowi zrobienia sobie kawy i zrobienia sobie same-mu kawy (ta parzona przez Michała ciągle nie nadaje się do picia). W poniedziałki czytania jest dużo więcej, bo trzeba przeczytać także gazety z soboty.

Lekturę zaczęłam od „Wysokich Obcasów”. Niedawno odmówili mi zrobienia wywiadu z Ludgardą Damber. Jakoś nie potrafiłam zaproponować im prezentu w zamian za artykuł. Jedynie, co mi przyszło do głowy, to ofiarować redakcji kilka egzemplarzy *Kangurów* na konkursy dla czytelników.

— Co, pozbywacie się nakładu? — zapytała złośliwie redaktorka.

Tymczasem w nowym numerze „Wysokich Obcasów” znalazłam wywiad z reżyserem Tomkiem Kowalskim, zatytułowany *Twórca kina kobiecego feministka w męskim ciele*.

„**Wysokie Obcasy**”: Reprezentuje pan kino eksperymentatorskie. Kiedy narodził się w panu pomysł, aby ekranizować wiersze?

Tomek Kowalski: Dawno, jeszcze w czasie studiów. Przyznaję, że spore wrażenie wywarł na mnie *Pan Tadeusz*, Andrzeja Wajdy. Pomyślałem wówczas, że czas na sonety.

WO: Sfilmował pan jednak krótki wiersz Michała Grzybczyńskiego.

TK: Cóż, tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Sfilmowanie sonetów krymskich czy ode-skich to ogromne przedsięwzięcie. Właściwie superprodukcja wymagająca wielu zdjęć za granicą, a nawet pod wodą. Debiutant nie może liczyć na finansowe wsparcie tak ryzykownego przedsięwzięcia. Poza tym sonety Mickiewicza jako cykl bardziej nadają się na serial telewizyjny.

WO: Dlaczego wybrał pan hulajnogę jako środek lokomocji bohaterki?

TK: Przyczyny są, co najmniej dwie. Po pierwsze, hulajnoga jest ekologiczna i nie stanowi zagrożenia dla pieszych. Miałem dosyć filmów, w których bohaterowie ruszają z piskiem opon albo ścigają się po mieście, bezsensownie wypalając galony paliwa. Po drugie, jeśli przysłuchamy się dobrze, to słowo „hulajnoga” jest bardzo dwuznaczne, pociągająco frywolne... Ktoś nawet powiedział, że bohaterka tego filmu to taka hulajnoga...

WO: Czym się pan kierował, wybierając obsadę?

TK: Powiem szczerze, urodą i stanem cywilnym. Wybieraliśmy tylko ładne, niezamężne dziewczyny. Nie zamierzam udawać, że w tej branży decyduje talent i umiejętności aktorskie.

WO: Czy teraz po sukcesie *Kobiety na drodze*, filmu entuzjastycznie przyjmowanego przez krytyków i publiczność znajdzie pan sponsorów, którzy będą gotowi wyłożyć poważne sumy na ekranizację sonetów?

TK: W pewnym sensie przestało mnie to interesować. Ja jestem pionierem, poszukuję ciągle nowych wyzwań. Swoim filmem udowodniłem, że możliwe jest przenoszenie na ekran pojedynczych wierszy. Drzwi są otwarte, teraz mogą po tę materię sięgać inni. A jest z czego czerpać znakomita większość poezji nie doczekała się jeszcze swojej ekranizacji.

WO: Nie będzie, więc kolejnych ekranizacji wierszy?

TK: Mam nadzieję, że będą, ale nakręci je już ktoś inny.

WO: Dlaczego w pańskim filmie wszystkie role zagrały kobiety? Czy kobiety aktorki są lepsze od mężczyzn aktorów?

TK: Ten film jest przełomowy w historii polskiej kinematografii, nie tylko ze względu na punkt wyjścia scenariusza. To początek nowego kina, kina kobiecego. Mówię o tym, mając świadomość, że to określenie przywołuje skojarzenia z kinem mniejszości etnicznych, przede wszystkim z kinem murzyńskim. Rola kobiet w kinematografii polskiej, a także, właściwie nawet przede wszystkim w życiu społecznym i politycznym naszego kraju jest ciągle marginalna. Jestem prekursorem kina kobiecego, ponieważ uważam, że tylko takie kino może oddać w pełni obraz problemów współczesnej kobiety.

WO: Czy można mówić o kinie kobiecym, jeżeli za kamerą stoi reżyser mężczyzna?

TK: Ktoś się musiał odważyć. Ktoś musiał przełamać lody. Żadna kobieta wcześniej nie podjęła wyzwania. Zrobiłem to ja i mam nadzieję, że ten film przemówi do wyobraźni kobiet. Może dzięki niemu uwierzą, że mogą stworzyć samowystarczalne kino, w którym aktorki nie będą wreszcie odgrywały roli ozdoby. Jeśli chodzi o mój wpływ jako reżysera to pracowałem ze znakomitymi aktorkami i byłem bardzo „miękki”. Słuchałem ich sugestii, nie upierałem się przy swoich koncepcjach. Zachęcałem do wzięcia większej odpowiedzialności za własną grę.

WO: Ilu mężczyzn było w ekipie filmowej?

TK: Skompletowanie żeńskiej obsługi technicznej nie jest w tej chwili możliwe. Poza tym nikt nie chciał pracować dla idei, a ja wybierając współpracowników, musiałem się kierować także tym, czy stać mnie na nich. Dlatego po drugiej stronie kamery było wielu mężczyzn.

WO: Czy scena z pompką do hulajnogi jest pochwałą miłości lesbijskiej?

TK: Jest pochwałą miłości w ogóle. Nie chciałbym tworzyć do tego dodatkowej filozofii.

WO: Jaki będzie pana następny film?

TK: Pracuję w tej chwili nad projektem komedii obyczajowej. Nosi ona roboczy tytuł *Życie z blondynką*. Pomysłodawcą filmu jest mój przyjaciel, Kuba Woźniak, i na nim spocznie też odpowiedzialność za powstanie scenariusza. Chcemy pokazać dwoje młodych Polaków, reprezentantów swojego pokolenia. Pomiedzy nimi powstaje uczucie, jednak jego spełnienie okaże się dość trudne. Ich związek komplikuje z jednej strony bigoreksja bohatera, z drugiej obsesyjne uczucie, jakim bohaterka darzy starszego, żonatego mężczyznę.

WO: Czy w tym filmie zagrają wyłącznie kobiety?

TK: Prawdopodobnie tak. Waham się jednak, czy samemu nie zagrać głównej roli. Przyznaję, że zainspirował mnie Jerzy Stuhr, który zawsze obsadza siebie w swoich filmach. Zważywszy, że nie wiem, kiedy ktoś inny zaproponuje mi jakąś rolę w filmie, jest to propozycja, nad którą muszę się poważnie zastanowić.

WO: Dziękuję za rozmowę i życzę sukcesów na festiwalu w Wenecji, gdzie będzie prezentowana pańska *Kobieta na drodze*.

Ledwie skończyłam czytanie wywiadu, kiedy bez pukania wbiegła do mnie szefowa redakcji, strasznie zdenerwowana.

— Słyszałaś nowiny? Słyszałaś, co ten głupek znowu wymyślił?

— Nie słyszałam — odpowiedziałam, — bo od rana tylko przeglądałam prasę.

— *Kiwi!* Antologia poezji nowozelandzkich tubylców!

— Co takiego?

— I wiesz, kto to dla nas tłumaczy?

— Nie mów, że Damber?

— Oczywiście, że Damber! Najwybitniejsza polska poetka. Wcisnęła mu swoje tłumaczenie. Przyniósł mi tekst wczoraj przed czwartą, żebym nie zdążyła zrobić awantury. Tak się składało, że wieczorem miałam być w redakcji „Literatury na Świecie”. Pomyślałam sobie, ja mogę się nie znać, niech oni na to spojrzą.

— I?

— Dawno się tak nie ubawili. Nie dość, że tłumaczka ma problemy z polskim, tyle lat go nie używała, to jeszcze słabo u niej z angielskim...

— Z angielskim? Tubylcy pisali po angielsku?

— Oczywiście, że nie. Ale my wydamy przekład nie wprost. Przekład z angielskiego. To będzie skandal!

— A co dyrektor? Powiedziałaś mu?

— Powiedziałam i dodałam też, że nikt z mojej redakcji literackiej nie podejmie się tego. Wiesz, co mi powiedział? Że zatrudnimy kogoś z zewnątrz, na umowę zlecenie. To już zaklepane! Nic się nie da zrobić. Wspaniale. Chyba trzeba zacząć szukać pracy, bo wydawnictwo niedługo upadnie...

Ledwie skończyła to mówić, a w drzwiach stanęła sama Ludgarda Damber.

— Wracam z telewizji... Taki wstyd, tak się zdenerwowałam... — narzekała od progu.

— Proszę, niech pani wejdzie... To znaczy wejść... Siadaj. Może napijesz się kawy?

— Wy mnie wszyscy chcecie wykończyć, żeby mi honorarium nie wypłacić... Z moim ciśnieniem kawa?

— W takim razie, Michał, zrób pani Ludgardzie herbaty... — zdecydowałam. — Ale weź z mojej szafki.

Może z ekspresową mój asystent jakoś sobie poradzi.

— Co się stało w tej telewizji?

— Ach, zaraz, tylko odsapnę... Taki dyshonor...

Szefowa redakcji spojrzała na mnie wymownie. Michał nic nie mówił, tylko zrobił herbatę, o dziwo, sypaną. Może rozdarł mu się woreczek?

— Z cukrem czy bez? — zapytał.

— Bez. Lekarz mi nie pozwala. Żadnego tłuszczu, żadnego cukru, a i tak mnie dziennikarze wykończą. Jak księżną Dianę — odpowiedziała wyczerpująco poetka Damber.

— No niech pani powie, co się stało — ponagliła ją szefowa redakcji.

— Wiecie, rozmawiała ze mną taka młodzianka dziennikarka. W wieku Eweliny. I wiecie, jak mnie nazwała? Nie domyślicie się nigdy. Powiedziała, że jestem w Polsce poetką nieznaną. Coś takiego! Takie nieuctwo! Taka ignorancja!

— To rzeczywiście straszne — powiedziałam.

— Dziwna ta herbata — zauważyła Damber. — Ale może ja jestem odzwyczajona.

Dziwne, ale Michał potrafi tak zaparzyć czarną herbatę, że wygląda jak zielona. W dodatku pływają w niej ogromne fusy.

Poetka dopiła herbatkę do końca i zaczęła się żegnać.

— Dziękuję. Mam nadzieję, że nie była zatruta. Idę do dyrektora namówić go na dodruk mojej książki. Do widzenia.

— Do widzenia.

— Ślicznie wyglądasz w tej sukience. — Wróciła, żeby mi to powiedzieć. — Prawdziwa miss!

— Dziękuję — odpowiedziałam lekko zaniepokojona. Może ta herbata jednak jej zaszkodziła?

Kiedy wyszła, zawołałam Michała.

— Skąd wzięłaś herbatę, którą dałaś pani Damber?

— No, z twojej szafki.

— To był lipton? Ekspresowa?

— Nie... Taka liściasta.

— Jaka liściasta? Tam nie było żadnej liściastej.

— Była. W słoiczku.

— Pokaż!

Po chwili mój asystent przyniósł mi pusty słoik, w którym znajdowały się zioła od Agnieszki. Zioła na miłość. Ten debil zaparzył wszystkie Ludgardzie Damber. Teraz już nigdy nie znajdę faceta.

— Pomyśl, będziesz mogła wyjechać do Australii — pocieszała mnie Dominika, kiedy opowiedziałam jej o wszystkim.

Jakub

Śniło mi się, że pracuję w biurze. Nie wiem, co to było za biuro, ale bardzo przypominało moją ostatnią firmę. Nie sprzedawaliśmy jednak psich misek. Tak naprawdę, to nie wiem, co sprzedawaliśmy, ale jestem pewny, że nie były to psie miski.

Szef przyjął do pracy nową dziewczynę. Była to Ally McBeal. Trochę mnie to zaskoczyło, ale nie tak bardzo, jak powinno. W śnie wszystko ma swoją logikę i nikt się nie zastanawia, jak to możliwe. Oprowadzałem Ally po firmie, pokazując jej, gdzie co jest, i przedstawiając wszystkich pracowników. Na koniec zaprowadziłem ją do automatu z kawą. Ally zapytała mnie, czy romanse między pracownikami są u nas zabronione. Odpowiedziałem, że chyba nie, ale jest tu dopiero pierwszy dzień i powinna dać sobie trochę czasu. Wiem, to, co powiedziałem, było głupie i nie na miejscu. W każdym razie Ally nie przejęła się tym zupełnie i zaczęła mnie całować!

Całowałem się z Ally McBeal! Wow! To już coś w moim smętnym życiu. Prawda, że to mi się tylko śniło i zaraz się obudziłem, ale jakie to było realne! Niesamowite. Z całego biura ja! Wiem, że to był sen, ale równie dobrze mogło mi się przyśnić, jak Ally całuje się z kimś innym, na przykład z moim szefem albo z Romkiem. Gorsze rzeczy już mi się śniły (na przykład Grzegorz Miecugow całujący się z Moniką Sewiolo). Poczuję się naprawdę wyróżniony. Czemu się obudziłem? Ally wyraźnie miała ochotę na coś więcej. Nie mogłem jeszcze pospać?

Spojrzałem z wyrzutem na budzik. Był w tej sprawie głównym podejrzanym, chociaż nie pamiętam, kiedy ostatnio go nakręcałem. Chyba tydzień temu. Od kiedy nie chodzę do pracy, śpiam dość nieregularnie (wtedy, kiedy mi się chce).

Wstałem i zrobiłem sobie herbatę. Rozpamiętywałem mój pocałunek z Ally McBeal... I nagle zrobiło mi się strasznie przykro, że najlepsze, co mi się przytrafiło w nocy od kilku miesięcy, to właśnie ten pocałunek... Czy zamiast Ally nie mogłaby to być prawdziwa kobieta i prawdziwe życie? Na przykład Ewelina... Czy mogę coś zrobić, żeby nie brała tego ślubu?

— Powiedzmy sobie szczerze — zwróciłem się do lodówki — nie mam żadnych szans. Ewelina była już z Gregiem, kiedy ją poznałem. Mówiła o nim w taki sposób, że można było wyć z zazdrości. To jakiś cholerny ideał. Przystojny, bogaty, męski. Gdzie mi do niego? Spojrzałem w lustro. Zobaczyłem bezrobotnego, leniwego, zaspanego durnia w poplamionym szlafroku. — Gdzie mi do niego? — powtórzyłem, żeby lodówka dobrze zrozumiała, co o tym myślę.

Czułem ciągle na ustach smak pocałunku z Ally. Czy mam spędzić resztę życia samotnie tylko dlatego, że Agnieszka jest nie do zniesienia, a Ewelina mnie nie chce?

Wziąłem kubek z herbatą i włączyłem komputer. Postanowiłem poszukać sobie kobiety przez Internet. Zważywszy, że ostatnio schodzę tylko raz dziennie do sklepu spożywczego i zgubiłem gdzieś maszynkę do golenia, to dla mnie jedyna szansa, żeby poznać kogoś podobnego do mnie (zapewne także pod względem zarostu).

Znalazłem stronę www.spotkania.pl <<http://www.spotkania.pl>>. Tomek mówił, że jest tam sporo ofert dziewczyn. Niestety najpierw trzeba się zalogować. Pierwsza rubryka i od razu konsternacja: login. Patrząc na puste okienko i zastanawiam się, co wpisać. Wszystkie dobre loginy na pewno są już zajęte.

Wziąłem komórkę. Mam chyba do wygadania jakieś bezpłatne minuty. Wybrałem numer Tomka.

— Cześć! Jak tam? — Usłyszałem radosny głos przyjaciela. — Właśnie czytam swój wywiad w „Wysokich Obcasach”. Sporo skrócili, ale naprawdę super. I bardzo dobrze wyszedłem na zdjęciach. Ze dwadzieścia kilogramów mniej.

— Gratuluję. Wiesz, wszedłem na tę stronę, o której mi mówiłeś, spotkania.pl.

— I co, znalazłeś coś?

— Jeszcze się nie zalogowałem.

— No to na co czekasz?

— To nie jest takie proste! W końcu nie mogę podpisać się „króliczek” albo „Maciuś”, bo żadna szanująca się niewiasta mi nie odpisze. Wyjdę na idiotę.

— To podpisz się Arnold.

Co filmowiec to filmowiec.

— Zwariowałeś? Pomyśli sobie, że jestem jakimś kulturystą. Wymyśl coś lepszego.

— Bezdomny. To znaczy Bezsenny. Od *Bezsenny w Seattle*. Kobiety uwielbiają ten film. Wbiłem „bezsenny”, chociaż wydawało mi się to głupie. Niestety ten login był już zajęty.

— To może Obywatel Kane. — Tomek sięgnął po klasykę.

— Zajęte.

— To może Mel?

— Jak Mel Gibson?

— Nie. Jak Mel Brooks. Ten od komedii.

— Czemu od razu nie Woody Allen? Niestety też już zajęte.

— A Harry? Z tego filmu *Kiedy Harry poznał Sally*?

— Odpada.

— Słuchaj, a może podpiszesz się swoim imieniem.

— ???

— Próbowaleś?

— No nie, bo...

- To spróbuj.
 - Weszło!
 - A widzisz! Trzeba tak było od razu. Baw się dobrze.
- Spróbuję.

Teraz przede mną formularze. Muszę opisać swój kolor oczu, włosy, wzrost, wagę. Przy wadze kłamię. Muszę też podać imię, nazwisko i adres zamieszkania. Zmyślam coś. Druga kolumna: Twój ideał kobiety. Włosy, oczy niech będzie niebieskooka blondynka. Gorzej, że trzeba wpisać wymiary: wzrost, waga, biust, talia, biodra. Wzrost jeszcze rozumiem, może waga też ma sens w ekstremalnych przypadkach, ale biust? Wymarzonego ilorazu inteligencji jakoś nie każą wpisywać. Próbuję nie wypełniać rubryk i wysłać formularz. Niestety! Formularz wraca z komunikatem: nie wypełniłeś rubryki BIUST. Oczywiście czysty, więc muszę od nowa podawać swój kolor oczu i inne dane. W „biuście” sprytnie wpisuję zero, podobnie w talii i biodrach. Bo i jakie to ma znaczenie? Wyślij! Zła wartość pola BIUST. Formularz oczywiście czysty. A ja już jestem głęboko zirytowany, bo jakoś wcześniej nie zastanawiałem się, ile w talii ma mieć kobieta mojego życia.

W końcu mogłem zacząć wybierać wśród ogłoszeń. Najpierw dokładnie czytałem i analizowałem wszystkie anonse. Co tu wybrać? Rozłączyłem się z Internetem, napisałem list, połączyłem się ponownie, zalogowałem na stronie i wysłałem swój list do wszystkich kobiet młodszych ode mnie i z mojego miasta.

Cześć!

Z wielkim uporem brnąłem przez procedury rejestracyjne, wścibskie formularze zmuszające mnie do określenia rozmiarów biustu mojego ideału kobiety, przepytujące mnie z mojego stosunku do scenowania i żeglarstwa, wreszcie czekałem w napięciu na mail potwierdzający, że zrobiłem to, jak trzeba, a wszystko po to, żeby móc napisać do Ciebie. Wiem, że nie są to wysiłki porównywalne z pokonaniem smoka, zdobyciem grodu czy nawet zakupami w Auchan. Nie sądzę też, że bym Ci tym specjalnie zaimponował to, że spędziłem nad tym wszystkim blisko godzinę, w większej części próbując znaleźć sobie jakiś sensowny login, nie jest szczególnym powodem do dumy. W każdym razie nie dajmy sobie wmawiać, że internauci to straszne lenie jak się okazuje, dużo łatwiej (i szybciej) jest podejść do dziewczyny na dyskotece.

Wczoraj wieczorem byłem na spacerze w parku. Wracając do domu, zobaczyłem, jak w moim kierunku biegnie ładna, młoda dziewczyna. Nie, nie miałem złudzeń za moimi plecami znajdował się jej chłopak, narzeczony, może tatuś, choć pewnie jednak to pierwsze. Nie mogłem się nie odwrócić. Było jeszcze gorzej po chwili się całowali. Nie, to nie jest najlepszy widok dla kogoś, kto niedawno rozstał się ze swoją kobietą. Obyło się bez głębokich westchnień i zawistnych jęków poszedłem sobie dalej, lecz w głowie kołatała mi jedna myśl: niedobrze jest być samemu. Żadne odkrycie.

Coś z tym trzeba zrobić. Nie pomogą farmaceutyki (chyba że rozboli mnie od tego głowa), TVN 24 też nie znajdzie rozwiązania, walka o podwyżkę raczej też nie pomoże (więcej godzin po pracy w pracy). Można poczytać Kundere (dokończyć „Walc pożegnalny”), tylko to też nic nie da, choć wielce satysfakcjonujące. Pozostają dobre rady przyjaciela: „Tyle czasu spędzasz w Sieci, poznaj kogoś przez Internet”.

Oczywiście wykręcą się, jak mogą. Dlatego że to dobre dla skrajnych introwertyków i nieśmiałców, bo to minimum wysiłku (jakże się myliłem: i, ponieważ trudno o zaufanie... Czytam na Interii wywiad z Joasią Kołaczkowską z mojego ukochanego Kabaretu Potem, która przyznaje, że swojego męża poznała przez Internet. No nie! Asia Kołaczkowska — może nie Miss Zielonej Góry, ale przecież pełna wszelkich kobiecych przymiotów, osoba znana i prowadząca jakże aktywny tryb życia (ciągłe występy w różnych miejscach) ktoś taki chyba nie narzeka na izolację towarzyską. Jeśli tak... to może ja też powinienem spróbować. I tak się zaczęło Wielkie Logowanie. No, ale czego się nie robi dla kobiety!

Najważniejsze nie wpadać w popłoch. Najgorzej, jak ktoś chce za dużo dobrego napisać o sobie, pokazać, jaki jest czuły, wrażliwy, męski. W przyptywie emocji ludzie robią i piszą rzeczy rozpaczliwe.

Gdybym był Leszkiem Millerem, dałbym Ci gruszkę, która wyrosła na wierzbie.

Gdybym był Januszem Gajosem, usiłowałbym Cię zaprosić na filiżankę kawy Pedros.

Gdybym był Adamem Małyszem, skoczyłbym dla Ciebie na bank (co tam poczta!).

Gdybym był Adamem Michnikiem, poświęciłbym Ci wydanie specjalne „Wysokich Obcasów” (chyba że ich nie nosisz).

Gdybym był Jerzym Urbanem, obiecałbym Ci powiedzieć TAK.

Gdybym był Andrzejem Lepperem, zaraz bym zablokował Ci wszystkie drogi do innych mężczyzn.

Gdybym był Gabrielem Janowskim, osłodziłbym Ci życie polskim cukrem.

Ale nie jestem żadnym z nich, a instynkt samozachowawczy mówi mi, żeby już kończyć. Więc jeśli reagujesz choć odrobinę na moje poczucie humoru, jeśli nie masz mnie za bałwana i niecnotę albo chciałabyś zrozumieć, o co mi chodzi, dowiedzieć się, czy głosowałem na Leppera, dlaczego lubię Kundere, jaki rozmiar biustu wpisałem w formularzu, czy występowałem w „Big Brotherze”, czy byłem kiedyś w Kabulu (ewentualnie zadać mi jakieś inne z samorzutnie narzucających się pytań), to nie wahaj się, PISZ. Ja czekam... z niecierpliwością.

Kuba

Ewelina

Tego dnia nawet nie mogłam przeczytać w spokoju gazet. Zaraz po dziewiątej wpadł podeks-cytowany Michał. Widziałam w jego oczach, że jest z siebie wyjątkowo dumny.

— Zrób mi kawę — powiedziałam, zanim zdążył pochwalić się swoim kolejnym sukcesem.

— Zrobię dwie. Za chwilę będziesz miała gościa — powiedział i wybiegł z pokoju.

— Jakiego znowu gościa? Mógłbyś następnym razem mówić mi wcześniej, jeśli mnie z kimś umawiasz — strofowałam go, kiedy wrócił porozlewać kawę na moje biurko.

— Załatwiłem coś wspaniałego! Zaraz przyjdzie tu dziennikarka z jakiegoś pisma kobiecego, zapomniałem tytułu. Chce napisać ogromny artykuł o Ludgardzie Damber.

— Z jakiej strony zamierza ją przedstawić? — Postanowiłam sprawdzić.

— Z dobrej! Oczywiście, że z dobrej.

— Sama się zgłosiła?

— Nie, zadzwoniłem do niej. Obiecałem, że zapłacimy za jej przejazd do Australii.

— Rozumiem. Coś ty powiedział?! — wrzasnęłam. — Po co ma jechać do Australii, przecież Damber jest teraz w Polsce?

Co za idiota.

— Wiem, że Ludgarda Damber jest w Polsce, nawet już ją dzisiaj widziałem. Bilety do Australii to prezent.

Wybiegłam ze swojego pokoju i nie zważając na protesty sekretarki, weszłam do gabinetu dyrektora. Szef miał właśnie w ręku magazyn „Inaczej”. Wyglądał na bardzo speszonego. Kiedy zobaczyłam jego minę, straciłam swój bojowy zapał. Szef należy do tego pokolenia gejów, którzy kryją się ze swoim homoseksualizmem i nie przedstawiają się „Cześć, jestem Piotrek. Jestem pedałem”.

— Ostatni numer był kiepski — powiedziałam, żeby jakoś zacząć.

— Słucham? — Dyrektor nie bardzo wiedział, o czym mówię.

— Gazeta. Ostatni numer był słaby. Kiepscy faceci.

— Nie czytałem ostatniego numeru. Ten trafił do mnie przypadkiem. — Dalej udawał, że nie jest homo. — Przejrzałem z ciekawości.

— Mają rubrykę o książkach — odpowiedziałam mu.

— Właśnie ją przeglądałem — odparł z ulgą.

Po co ja tu w ogóle przyszłam...

— Czy pan wie, że Michał zaproponował dziennikarce z jakiegoś pisma kobiecego, że za-
fundujemy jej wycieczkę do Australii w zamian za artykuł o Damber? — powiedziałam oburzo-
na.

Moja złość powróciła ze zdwojoną siłą.

— I co? Napisze?

— Nie widzi pan w tym nic złego?

— Inni wydawcy tak robią.

— To jest ŁAPÓWKA.

— Jakoś to rozliczymy.

— Pan chyba nic nie rozumie. Ja nie chcę iść do więzienia...

— Po co takie mocne słowa, pani Ewelino...

— Panie dyrektorze, kiedy ta kobieta tu przyjdzie, wyślę ją prosto do pana i nie będę z nią
w ogóle rozmawiać. Następnym razem niech pańska sekretarka przekupuje dziennikarzy, żeby
dobrze pisali o tej grafomance, a nie mój asystent! Na razie to ja odpowiadam za jego pracę.
I nie chcę wiedzieć nic o żadnych wycieczkach do Australii, safarii w Afryce ani o kupowaniu
prezentów. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

— Skąd pani wie o safari? — przeraził się dyrektor.

Trzasnęłam drzwiami i wyszłam. Może stracę pracę, ale przynajmniej nie pójdę siedzieć.

W moim pokoju czekała jakaś kobieta. Michał zabawiał ją rozmową, podczas gdy ona piła
kawę, siedząc tyłem do mnie.

— Tylko nie klasa turystyczna... Tyle godzin w samolocie, musi być odrobina komfortu —
mówiła do mojego asystenta.

— O! Już jest moja szefowa! — Michał ucieszył się na mój widok.

Najwyraźniej w negocjacjach z dziennikarką przestało mu się powodzić.

Kobieta wstała i obróciła się w moją stronę.

— Panie pozwolę, że je przedstawię... — Michał nie zauważył, jak blednę. — To jest pani
Patrycja Michalak z „Z Gorącego Życia Gwiazd na Żywo” A to moja szefowa, Ewelina Wa-
gner...

— My się znamy — wycedziłam przez zęby.

Patrycja uśmiechnęła się niewinnie.

— Tak dawno się nie widziałyśmy — zaczęła. — Tyle się zmieniło...

— Nie tak wiele — odpowiedziałam. — Ja pamięci nie straciłam.

Michał nic nie rozumiał i patrzył na mnie zdumiony. Zaczął chyłkiem przesuwać się w stronę
wyjścia.

— Michał, zostań! — rozkazałam. — Pilnuj pani, żeby nie wyniosła czegoś z biura. Uważaj
też na kieszenie.

Mój asystent zgłupiał kompletnie, ale zatrzymał się tam, gdzie stał, i spoglądał na mnie
z przerażeniem.

— Myślałam, że po tylu latach spróbujesz mi wybaczyć. — Uśmiechnęła się znowu Patrycja. — W końcu Greg sowicie ci wynagrodził stratę.

Nie dość, że jest złodziejką, to jeszcze jest bezczelna.

— Skąd możesz wiedzieć, co Greg mi wynagrodził, a co nie?! — zapytałam.

— Sam mi powiedział. Zrobiłaś na tym całkiem dobry interes. Greg stwierdził, że sprytnie to sobie wymyśliłaś.

Tylko obecność Michała uchroniła ją przed uderzeniem. Pod ręką miałam spory słownik, więc na pewno by zabolalo.

— Nie kłam! Greg nigdy by tak nie powiedział.

Patrycja machnęła ręką.

— Co ty wiesz o Gregu! Cały czas nie mówił ci wszystkiego.

— Co ty insynuujesz?

A obok słownika leżą *Kangury* sześćset stron w twardej oprawie. Zaraz jej przywałę.

— Ja nic nie insynuuję. To są fakty, których być może nie znasz. Zapewne Greg nie pochwalił ci się wcale, że mnie znalazł? I od tamtej pory cały czas spotykał się ze mną...

— O czym ty mówisz?

To nie może być prawda. Nie może. Nie Greg.

— Myślałaś, że zawsze będziesz miała wszystko? Że Greg będzie cię utrzymywał, a ty będziesz spotykać się z kim zechcesz za jego plecami?

— Nikogo nie okradłam! Greg chciał mi coś dać, to dał. Widać miał ochotę.

— Zabrałam ci różne rzeczy, bo wiedziałam, że Greg kupi ci nowe, ładniejsze. Ciebie w ogóle nie obchodziło, że nie mam pieniędzy.

— Mogłaś iść do pracy...

Zaraz się rozplaczę. Albo ją zabiję. Sama nie wiem.

— Ty też mogłaś. Ale wolałaś, żeby wszystko kupował ci Greg. Nie masz pojęcia, jak się zdziwiłam, kiedy zaczął mnie pytać, co zrobiłam z twoimi meblami, jak mogłam ukraść ci ubrania... Dzięki mnie Greg przejrzał na oczy. Zajęło mu to kilka lat, zanim wszystko zrozumiał i wreszcie do niego dotarło, jaka jesteś!

— Ja? Jaka ja jestem?

— Ukradłaś mi go!

— Sam od ciebie odszedł, żeby być ze mną.

— Co z tego będziesz miała? On się nigdy nie rozwiedzie ze swoją żoną. Ale właściwie tobie to bez różnicy... Chodzi ci tylko o jego pieniądze...

— Jeśli chcesz wiedzieć, to Greg właśnie rozwiódł się z żoną i niedługo ze mnie zrobi swoją żonę!

— Ty dziwko!!!

Słownik przeleciał obok Patrycji. Za to *Kangury* trafiły ją w nos. Gdzieś pod stołem leży ich cała paczka. Wreszcie się do czegoś przydają.

— Wściekasz się, bo jestem od ciebie lepsza! — krzyczała Patrycja.

Podeszłam do niej i walnęłam ją pierwszym tomem *Potopu* w skórce. Michał schował się pod biurko.

— Co się tu dzieje!?! — Na to wszystko wszedł dyrektor.

Na jego widok puściłam czuprynę Patrycji, ale *Potopu* nie odłożyłam, na wszelki wypadek.

— Mieliśmy drobne nieporozumienie — wyjaśniłam dyrektorowi. — Pani myślała, że pan dyrektor obiecał jej przelot businessclass do Sydney i z powrotem. Tymczasem... złapałam z powrotem złodziejkę za włosy i zaczęłam ją ciągnąć w stronę drzwi... jedyne, co możemy jej zaproponować — mówiłam, mijając zdumionego dyrektora i prowadząc Patrycję przez korytarz — to przelot w jedną stronę trzecią klasą na parter!

Po czym zepchnęłam Patrycję ze schodów.

— Tak potraktuję każdego, kto ośmieli się kłamać, że pan albo ktoś z naszego wydawnictwa zaproponował mu łapówkę za napisanie czegoś o naszych książkach — wytłumaczyłam dyrektorowi.

Nic nie odpowiedział.

Zamknęłam się na klucz w swoim pokoju i płakałam przez resztę dnia.

Jakub

Mam randkę! Przez ostatni tydzień nie udało mi się znaleźć pracy ani zrobić większych zakupów. Nie udało mi się też zadzwonić do Eweliny, chociaż miałem ochotę jeszcze raz spróbować. Za to udało mi się umówić z dziewczyną!

Jeszcze na spotkaniu bigorektyków zauważyłem, że potrafię zainteresować innych wymyśloną historią. Potem usiadłem przed komputerem i napisałem list do nieznajomej, który może zaciekać, zaintrygować, a nawet poruszyć. I odpisała mi jedna dziewczyna! Ma na imię Ewa, jest dwa lata młodsza. Nie wiem, jak wygląda — wiem tylko, że jest blondynką. Prawdziwą czy farbowaną — nie zapytałem.

Mam, więc randkę w ciemno. Nie mogę zakładać, że dziewczyna, z którą mam się spotkać, od razu mi się spodoba. Jeśli poznasz kogoś przez Internet, jest zupełnie inaczej niż w normalnym życiu. Wszystkie dziewczyny, którymi się kiedykolwiek zainteresowałem, zwróciły moją uwagę swoją urodą. Nie każda mogła startować w konkursie „Miss Polonia”, ale miały coś w sobie. Potem dowadywałem się, czy są miłe, inteligentne i czy potrafią gotować. W Sieci jest zupełnie odwrotnie. Możesz najpierw wypytać się o różne rzeczy, wyrobić sobie trochę zdanie o kobiecie, a dopiero potem ją zobaczyć.

Tak naprawdę to dużo lepszy sposób na to, żeby poznać kogoś ciekawego. Dużo lepszy od siedzenia w dyskotecie i wypatrywania ładnych panienek, które później okażą się puste albo próżne, albo nudne. Dziewczyna, z którą korespondowałem, jest naprawdę interesująca. Obym ja się jej spodobał.

Wiem, że będzie z tym trochę kłopotu. Chociaż się ogoliłem, umyłem głowę i ubrałem w czyste rzeczy, nie jestem wcale pewny ani swej urody, ani uroku osobistego. Co gorsza, nie mam fajnej pracy ani samochodu i nie działam w przestępczości zorganizowanej (to podobno kręci dziewczyny). Nie wiem, czy to skutek bigoreksji, czy po prostu niskiej samooceny, ale trochę boję się tego spotkania. Ewa ma dwadzieścia pięć lat, kobiety w tym wieku myślą o stabilizacji, małżeństwie, dzieciach... A ze mnie marna partia...

Tuż przed wyjściem miałem ochotę zdjąć krawat i koszulę, usiąść w ulubionym podkoszulku z napisem: Kult — przed telewizorem i obejrzeć jakiś głupi sitcom. O tej porze powinien być na którymś kanale „13 Posterunek”. A jak nie, to pooglądałbym Anię Przybylską w „Złotopolskich”. Wtedy zadzwonił Tomek.

— Jak tam przygotowania do randki? — przekrzykiwał szum ulicy.

— Gdzie jesteś? Prawie cię nie słyszę!

— W Paryżu. Na seminarium. Już teraz będzie lepiej słyhać, wszedłem do kawiarni. Czy ty rozumiesz coś z tego, co mówi ten facet? — Dał telefon jakiemuś facetowi. Przez chwilę słuchałem francuskiego. — I co, rozumiesz coś? — zapytał Tomek.

— Nic nie rozumiem — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

— Słuchaj, chodzi za mną od godziny i ciągle coś nawija. Ci Francuzi są okropni, nie potrafią po polsku, nie chcą rozmawiać po angielsku... Nie rozumiem. Odczep się! To nie do ciebie. Jak tam randka?

— Chyba nie pójdę...

— Zwariowałeś? Dlaczego?

— Na pewno się jej nie spodobam... Nie mam nawet pracy...

— Jak to nie masz pracy? Przecież trąbię wszystkim na lewo i prawo, że piszesz dla mnie scenariusz... Masz pracę, jesteś scenarzystą.

— Ale ja nie wiem, czy potrafię...

— Nauczysz się. A teraz idź, nie zawieź dziewczyny. Nie bądź dupkiem, może to twoje przeznaczenie.

Nie mogłem nie posłuchać przyjaciela. Kupiłem po drodze kwiaty i pojechałem tramwajem na Stare Miasto. Tu, przy pomniku, miało czekać na mnie moje przeznaczenie.

Było cicho i romantycznie. Na rogu saksofonista wygrywał smutną melodię z *Ojca chrzestnego*. Usiadłem na ławce i położyłem obok kwiaty. Po tych kwiatkach powinna mnie rozpoznać. Minęło dziesięć minut. Siedziałem ciągle na ławce i rozglądałem się wokoło. Może przyszła, spojrzała na mnie i zrezygnowała... Może nie spodobały się jej kwiaty.

— O, cześć! Co tu robisz? — Usłyszałem znajomy głos.

Zza ławki wyszła Ewelina. Miała szarą krótką spódniczkę, czarne półbuty na obcasie, krótki czarny płaszcz i jasną, obcisłą bluzeczkę. Wyglądała kwitnąco.

— Umówiłem się z kimś — odpowiedziałem.

— Ja też.

— To dziewczyna...? — Spojrzała na kwiaty.

— Mam nadzieję... Słabo ją znam...

Roześmiała się.

— Co u ciebie? Jak scenariusz? — zapytała, siadając obok mnie na ławce.

— Życie z blondynką? Kiepsko. Chyba z braku blondynki.

— A Agnieszka?

— Już wystarczająco skomplikowała mi życie. Nie chciałbym ryzykować więcej urojonych ciąż. A jak twój ślub? Chyba go nie przegapiłem?

— Nie będzie żadnego ślubu. Greg jest teraz z Patrycją. Wiesz, tą, która mnie okradła. Opo-
wiadałam ci.

— Pamiętam. Więc jesteś...

— Jestem sama.

Spojrzałem na zegarek.

— Chyba już nie przyjdzie — stwierdziłem.

— Tak myślisz? Poczekaj jeszcze chwilę — poprosiła Ewelina.

Nie wiedziałem, co mówić. Zegar na kościele wybił kwadrans po szóstej. Nagle coś przyszło mi do głowy.

— Ewelina, czy ty...

— Tak?

— Nie, nic. To głupi pomysł.

— Powiedz.

— Nie, daj spokój. Co to za facet, z którym się umówiłaś?

— Nie wiem. Słabo go znam. To zabawne, on ma tak samo na imię jak ty.

— Jak ja?

— Tak. To zabawne, pomyślałam, że może...

— Co?

— Nic. To niemożliwe.

Gołębie zerwały się gwałtownie z dachów kamieniczek.

— Czy ty...? — powiedzieliśmy razem i natychmiast zaczęliśmy się śmiać.

Spojrzałem na Ewelinę. Podałem jej różę. Niebieskie.

— Cieszę się, że przyszłaś.

— Ja też się cieszę. Dziękuję za kwiaty.

— Myślisz, że moglibyśmy spróbować? Że teraz mogłoby nam się udać?

— Czemu nie?

— Nie przeszkadza ci, że nie mam pracy?

— Przecież piszesz scenariusz dla Tomka.

— Ale wiesz, nie mam z tego jeszcze pieniędzy.

— To jasne. Ale jak film będzie się podobał, to sporo zarobisz.

— Może. Tymczasem nie powodzi mi się najlepiej. Nie mam nawet samochodu.

— Miałam faceta, który miał piękny samochód, piękny dom i mnóstwo forsy. Miał też żonę, dzieci i drugą kochankę, o której nie wiedziałam. Nie chcę bogatego faceta. Chcę mieć swojego faceta. Na wyłączność.

— Na wyłączność?

— Mogę mieć na ciebie wyłączność? — Zanurzyła rękę w moich włosach.

— Już mnie masz na wyłączność — odpowiedziałem, a Ewelina zaczęła mnie całować...

Jeśli miałbym porównywać z Ally McBeal... Zresztą, co tu porównywać... Przecież nie śnię...

— Ja nie śnię, prawda? — zapytałem na wszelki wypadek. — Ty tu jesteś?

— Jestem.

— To dobrze. Mogę cię o coś zapytać?

- Pytaj, o co chcesz.
- Czy ty jesteś naturalną blondynką?
- No tak.

Ewelina

Tomek dostał w Wenecji Złotego Lwa. Jest teraz naprawdę sławny i ciągle jeździ po świecie. Przyznał się w końcu, że nie widział jeszcze swojego filmu w całości, bo za każdym razem zasypia po kwadransie. A wszystkie role w filmie zagrały dziewczyny, bo w czasie castingów Tomek nie umiał się zdecydować, która jest najładniejsza. Zatrudnił, więc wszystkie, które mu wpadły w oko, a potem okazało się, że nie ma tylu ról do obsadzenia. Zrezygnował więc z aktorów. Tak powstało Nowe Kino Kobiecte.

Tomek jest teraz z Agnieszka. Podobno to był wypadek przy pracy. Agnieszka tłumaczy się, że zamiast środka na przeczyszczenie zaaplikowała sobie zioła na miłość. Kiedy je wypła, zobaczyła Tomka w telewizji. I tak zakochała się w nim — zupełnie niechcący. Ja jej nie wierzę. Nie chce się przyznać, że Tomek jest fajnym facetem. Nawet ostatnio sporo schudł.

Greg już nie jest z Patrycją! W zeszłym tygodniu zadzwonił do mnie.

— Słuchaj, Ewe, masz może jakiś kontakt z Patrycją?

— Żartujesz? Nie spotykam się ze złodziejkami. A co, już nie mieszkanie razem?

— Tak, mieszkamy... Nie... Dobrze, powiem ci prawdę. Pat mnie okradła. Wyniosła wszystko z mieszkania, nawet krany i karnisze. Zabrała też książeczkę czekową i samochód.

— Samochód? BMW?

— BMW.

Może trudno w to uwierzyć, ale zrobiło mi się żal Grega. Chociaż niewątpliwie zasłużył na to wszystko. Kupiłam mu komplet sztućców i zestaw talerzy. Od kiedy rozwiódł się z żoną, już mu nie idzie tak dobrze w interesach. Kiedyś bardzo mi pomógł, więc tyle przynajmniej mogę zrobić teraz dla niego.

Genek, mój dyrektor-gej, uciekł za granicę. Zrobił to na drugi dzień po tym, jak do firmy przysłano kontrolę z NIK-u. Jest teraz ścigany międzynarodowym listem gończym. Zarzucają mu branie łapówek i świadomą politykę prowadzącą do złych wyników finansowych wydawnictwa. Ponadto dyrektor sprzeniewierzył jakieś ogromne sumy pieniędzy. Przy okazji wydało się też, że wyprowadził pieniądze z innego wydawnictwa, w którym przedtem był szefem i które przez niego upadło.

Michał uciekł razem z nim. Podobno ukrywają się w Brazylii. Mój asystent przed odjazdem jeszcze raz ułożył prasę na regale i zatemperował wszystkie ołówki. Nadal nie mogę znaleźć „Megafonu” nie mam pojęcia, pod jaką literą go umieścił.

Po dwóch tygodniach od ucieczki dyrektora wezwano mnie do ministerstwa. Przyjął mnie szef departamentu. Miał dla mnie propozycję nie do odrzucenia.

— Będzie pani najmłodszym dyrektorem wydawnictwa, o jakim słyszałem. Jestem głęboko przekonany, że będzie pani także najlepszym dyrektorem wydawnictwa, o jakim usłyszę — mówił dyrektor departamentu, wręczając mi nowy angaż.

— Mam jednakże do pani jedną prośbę powiedział po chwili. — Oczywiście może pani odmówić jej spełnienia, gdyż jak powiedziałem, jest to wyłącznie osobista prośba. — Chciałbym zasugerować pani kogoś na stanowisko zastępcy dyrektora.

— Będę miała zastępcę?! — Ucieszyłam się wprost nieprawdopodobnie. Awans, podwyżka i jeszcze zastępca.

— Tak, w związku z prywatyzacją przedsiębiorstwa będzie to konieczne. I przyznaję, że mam kogoś, kto powinien spełniać wszelkie wymagania. Nie zamierzam jednak niczego narzucać, jeżeli pani miałaby lepszego kandydata...

— Nie mam w tej chwili żadnego kandydata, panie dyrektorze...

— Świetnie... Zatem, jeśli pani pozwoli, umówię go na spotkanie. Będzie pani miała okazję go poznać i sprawdzić w rozmowie jego kwalifikacje. Ręczę za jego dobre przygotowanie, aczkolwiek ostateczna decyzja należy do pani.

Mój zastępca okazał się bardzo sympatyczny. Bardzo go lubię, aczkolwiek staram się trzymać go jak najdalej od spraw firmy. Myślę, że mogę już zupełnie spokojnie powiedzieć, że mam w nim przyjaciela-geja. Co prawda, nie próbowałam jeszcze zasięgać u niego rady w sprawach sercowych, ale sądzę, że gdyby zaszła taka potrzeba, to mogę na niego liczyć.

Monika obroniła wreszcie magisterkę z psychologii. Specjalizuje się w leczeniu bigoreksji. Kuba skontaktował ją ze stowarzyszeniem bigorektyków. Ma mnóstwo klientów i wcale nie ma do mnie pretensji, że przerwałam terapię u niej. W końcu nie cierpię na bigoreksję. Monika podobno spotyka się z prezesem stowarzyszenia. Kawał chłopca z niego!

Ludearda Damber przysłała mi z Australii wiersze miłosne. Najgorsze, jakie można napisać. Publikuję je w Internecie pod nazwiskami znajomych, którzy mi się czymś narazili. Oto próbka:

DO EWELINY

Chodzę po plaży w Australii
I myślę o twojej talii.
Straszna mnie chęć rozpiera,
Poznać twojego fryzjera.

Jesteś tak piękna jak zorza,
Pójdę popływać do morza,
Bo gdy cię myślą owionę,
Bez wody spleonę.

Bardzo ciebie kocham,
W nocy nieraz szlocham,
Mąż nic nie rozumie,
Bo kochać nie umie.

Gdybyś chciała ze mną być,
Cudownie mogłabyś żyć,
Na przedmieściu Sydney,
W dzień i w nocy przy mnie.

Kuba pisze scenariusz filmu. Może teraz dużo więcej powiedzieć o życiu z blondynką. Mieszka u mnie, swoją norę wynajmuje studentom. W firmie jeszcze się nie pojawił. Żyje z chorobowego. Nie odbiera telefonu w domu, bo szef go ściga za jakieś zaliczki. Jest mi z nim naprawdę dobrze. Kiedy wracam do domu, zawsze czeka na mnie ciepły obiad. Jest naprawdę cudowny. Bardzo o mnie dba.

Ostatnio zrobiłam Kubie awanturę, bo dostał list od jakiejś Marzenki, która pyta go, w jakiej sukience powinna iść na sylwestra. Bardzo długo musiał mi się tłumaczyć, że ta Marzenka to tylko koleżanka z pracy, która wszystkich się radzi, co robić, i że nie wybiera się z nią na sylwestra, tylko ze mną. Przestałam się na niego gniewać dopiero, gdy przyniósł mi bilety na bal sylwestrowy u dziennikarzy.

Dominika otworzyła pub. Pożyczyła pieniądze od rodziców. Zatrudniła najładniejsze kelnerki w mieście. Kuba czasem tam przychodzi z Tomkiem, kiedy jestem w pracy, i prosi Dominikę, żeby nic mi nie mówiła. Wieczorami często bywamy tam razem.

Teresa bierze ślub. Jest w ciąży, zwolniła się z pracy. Jej narzeczony ją utrzymuje. Ciekawe, kiedy ja...

Cały nakład *Kangurów* i *Kiwi* dałam na przemiał.